



Internetowe rafy, czyli polscy seniorzy zagubieni w cyfrowym świecie

● Masowe oszustwa na „Czyste Powietrze” ● Jak przechrzyć butelkomaty? ● Pierwszy rejs „Batorego”

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych propozycji

Piątek
17.04.2026
Nr 89

Gazeta WROCŁAWSKA

www.gazetawroclawska.pl
Cena 6,50 zł
(w tym 8% VAT)

W legnickim szpitalu zatrudnili doułę. To nowa i bardzo potrzebna specjalizacja **str. 8**



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

„Fatherland”, zrealizowany u nas film Pawlikowskiego, powalczy o Złotą Palmę w Cannes **str. 20**

Rodzice uczniów w Jeleniej Górze domagają się skutecznych działań władz w sprawie radonu **str. 5**



FOT. ALINA GIERAK

REPORTAŻ WROCŁAWSKY TAJNIACY POD BUTEM SZEFA

Naczelnik siał terror i grozę. Kipiał furia

Aneta Kolesińska
Wrocław

„Diabeł w mundurze” - tak policjanci opisują człowieka, który był ich przełożonym w KWP we Wrocławiu. Zdaniem prokuratury znęcał się nad podwładnymi i przekraczał uprawnienia. Pokrzywdzeni opowiedzieli „Gazecie Wrocławskiej”, co przez lata miało się dziać w niejawniej jednostce.

Dawni podkomendni wspominają: Gdy na korytarzu rozlegały się jego kroki, wszyscy pracownicy momentalnie schodzili mu z drogi, modląc się,

żeby ich nie zauważył. Jego obecność w biurze zwiastowała upokorzenia, wrzaski i demonstrację siły. Do tego dochodziły groźby i jeszcze „zeszyt uwag”, w którym naczelnik wydziału służby mundurowej notował „nagany” dla pracowników. - Pomimo podwójnych drzwi w jego gabinecie, wrzaski było słychać w pokoju obok. Nie hamował się. obrażał, poniżał, groził zwolnieniem - wspomina Jan, który pamięta naczelnika jeszcze z czasów przed jego kursem oficerskim.

Ryszard J. służbę w policji zaczynał w lipcu 2003 roku od pracy w Wydziale Prewencji Komisarjatu Policji Wrocław-Krzyki. Pierwsze stanowisko kierowni-

cze objął w marcu 2013 roku, jako kierownik sekcji w Wydziale Techniki Operacyjnej KWP we Wrocławiu. Na tym stanowisku służbę pełnił do maja 2016 roku, aż do awansu na stanowisko zastępcy naczelnika WTO KWP. W sierpniu 2020 r. został naczelnikiem WTO.

Osoby, które zdecydowały się opowiedzieć o swoich przeżyciach, to nie są zwykli policjanci. To nie ci w mundurach, pilnujący porządku na ulicach czy drogach. Ich wydział należy do pionu kryminalnego, a funkcjonariusze tegoż (Wydziału Techniki Operacyjnej) często nazywani są „tajnikami”.

Czytaj str. 14-15



PKO BP EKSTRAKLASA

Dziś mecz Legia - Zagłębie Lubin, Miedziowi grają o fotel lidera str. 31

FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Nasza firmowa krzyżówka i „wieści nie z tej ziemi” str. 26

Nr ISSN 2353-6152

Nr indeksu 350-206



9 772353 615057



REKLAMA

0011496057



W życiu liczy się
SZCZĘŚCIE
Daj mu szansę i graj!



Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

18+



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA WROCŁAWSKA
● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...PONIEDZIAŁEK
● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizyWTOREK
● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinieŚRODA
● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskichCZWARTEK
● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalnePIĄTEK
● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: „GAZETA WROCŁAWSKA” z dostawą do Twojego domu lub biura. Tel. 71 72 76 237, e-mail: bok.prenumerata@polskapress.pl

Janusz Michalczyk

O PRAWIE
DO ZABIJANIA

Serce kontra rozum, emocje przeciw rozsądkowi. Chyba każdy w pierwszym odruchu uzna strzały w Bystrzycy Kłodzkiej za akt sprawiedliwości, choć przecież po to wymyślono policję, by zwykły obywatel nie musiał sięgać po broń. Wszystko wskazuje na to, że w czekającym nas procesie instruktora strzelectwa wiele zależeć będzie od interpretacji prawa do obrony koniecznej.

Po zmianie ustrojowej, na początku lat 90., głośna była w Polsce sprawa kobiety, która w pobliżu własnej posesji zastrzeliła mężczyznę na słupie energetycznym. O ile dobrze pamiętam, facet chciał ukrąść druty, odciął prąd, zgasło światło. Adwokat przekonywał, że kobieta poczuła się zagrożona, wzięła strzelbę, wyszła z domu, zauważyła gościa na słupie i strzeliła do niego, bo uznała, że szykuje się do napadu. Od tego czasu mieliśmy wiele podobnych zdarzeń i za każdym razem sędziowie musieli skrupulatnie odmierzać winę tych, którzy zabili.

Przypomnijcie sobie emocje podczas oglądania filmu „Życzenie śmierci” z Charlesem Bronsonem w roli architekta, który po osobistej tragedii spaceruje nocami i zabija przestępców. Wzbudził tak żywą reakcję u widzów, że nakręcono cztery kolejne, układające się w serię o samorządnym mścicielu. Nie ma przypadku w tym, że motyw zemsty w układzie „porządnego obywatela kontra bandzior” należy do jednych z najbardziej popularnych w kinie czy literaturze. A to dlatego, że łatwo nam utożsamiać się z krzywdzonym człowiekiem, niejako wejść w jego skórę, poczuć strach o bliskich i nieodpartą chęć wyrównania rachunków ze złoczyńcą. Jednocześnie rzecz rozpatrywana na chłodno, przedstawiana w przemyślanych dziełach kultury, jawi się jako niejednoznaczna i nieoczywista.

Clint Eastwood w filmie „Gran Torino” pokazał inną reakcję na zło. Grana przez niego postać ma odwagę, by przeciwstawić się gangowemu prześladowającemu migrantów z Azji. W krytycznej sytuacji przychodzi do prowadzenia, markuje sięgnięcie po pistolet, tamten bez namysłu strzela, co kończy się aresztowaniem. Bohater oddaje życie powodowany przyjaźnią i solidarnością. Tak, to fikcja. Piękna i trudna do wyobrażenia w życiu. Potwierdza jednak intuicję, że prawo do zabijania powinno być mocno limitowane.

”

Przed nami punkt zwrotny w wojnie. Przechodzimy do ataku. Opracowaliśmy innowacje, o których wkrótce usłyszycie cały świat

Serhij Sternenko, doradca ministra obrony Ukrainy

Jedlina-Zdroj bogatsza
o nową bazę zabiegową

W sobotę, 18 kwietnia, Dzień Otwarty. Każdy będzie mógł przyjść w g. 10-14, zwiedzić obiekt i skorzystać z zabiegów za darmo

Paweł Gołębiowski
Wałbrzych

W Jedlinie-Zdroju ożywa znów uzdrowisko. Wczoraj oficjalnie otwarto nową bazę zabiegową w tamtejszym Domu Zdrojowym.

Zabytkowy obiekt w centrum Jedliny-Zdroju, przy Placu Zdrojowym, od lat stał opuszczony. Utworzenie porządnej, nowoczesnej bazy zabiegowej jest pierwszym etapem jego odnawiania.

- Będą tu wykonywane praktycznie takie same zabiegi jak w Szczawnie-Zdroju. Balneoterapia, fizykoterapia i hydroterapia oraz kinezote-

rapia. Nie ma tylko kriokomory - mówi Krzysztof Urbański, prezes Uzdrowiska Szczawno-Jedlina.

Dodaje, że pieniądze na stworzenie nowej bazy zabiegowej na parterze Domu Zdrojowego, 2 mln zł, dostali z Urzędu Marszałkowskiego. Wyposażenie w odpowiednie urządzenia kosztowało około 600 tys. zł, pozostałe koszty to prace remontowe.

Prezes Urbański podkreśla, że mają już zapewnionych 6 milionów złotych na wyremontowanie pozostałej części obiektu (dwóch pięter). Milion to pieniądze pozyskane przez gminę Jedlina-Zdrój, reszta pochodzi

z Urzędu Marszałkowskiego. Czekają zatem Dom Zdrojowy w Jedlinie-Zdroju trzy kolejne etapy remontu: wymiana okien, wyposażenie, remont elewacji. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem to do końca roku w Domu Zdrojowym pojawią się kuracje. Ma być przygotowanych dla nich 66 miejsc w 35 pokojach.

Nowa baza zabiegowa będzie dostępna dla wszystkich od poniedziałku 20 kwietnia. Na razie zabiegi wykonywane będą komercyjnie, ale w Uzdrowisku Szczawno-Jedlina będą starali się, aby w przyszłości można było wykonywać je na NFZ.

ZDJĘCIE DNIA

W środowej akcji kaskadowego pomiaru prędkości policjanci skontrolowali na Dolnym Śląsku 1782 pojazdy. Ujawnili aż 1323 kierujących nierespektujących ograniczeń prędkości. Było 1058 mandatów. 8 kierowców utraciło prawa jazdy, bo przekroczyli prędkość na obszarze zabudowanym powyżej 50 km/h i 5 kierowców za takie wykroczenie poza obszarem zabudowanym. Akcja polegała na tym, że na jednej drodze w tym samym czasie prędkość kontrolowało kilka patroli.

Redakcja



HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Intuicja podpowie dobre rozwiązania. Horoskop dzienny radzi zaufać sobie i nie ignorować wewnętrznego głosu.

Ryby (19.02 - 20.03)
Kreatywność będzie Twoją siłą. Horoskop na dziś to wskazówka, by wykorzystać to i rozwiązać problem w nieoczywisty sposób.

Baran (21.03 - 19.04)
Praca przyniesie satysfakcję. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że wytrwałość się opłaci i zostanie zauważona przez innych.

Byk (20.04 - 20.05)
Czas na nowe pomysły. Horoskop dzienny radzi otworzyć się na zmiany i nie bać się eksperymentować.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Intensywne emocje mogą Cię zaskoczyć. Horoskop na dziś podpowiada, by zachować spokój i działać z rozwagą w każdej sytuacji.

Rak (22.06 - 22.07)
Harmonia będzie dziś ważna. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by szukać równowagi w relacjach i unikać impulsywnych decyzji.

Lew (23.07 - 22.08)
Precyzja przyniesie efekty. Horoskop dzienny wróży, że małe kroki doprowadzą Cię do sporego sukcesu.

Panna (23.08 - 22.09)
Dzień sprzyja działaniom zawodowym. Horoskop na dziś sugeruje, by pokazać swoje talenty i nie bać się zabrać głosu w ważnej sprawie.

Waga (23.09 - 22.10)
Skup się na emocjach i bliskich. Horoskop dzienny na piątek mówi, że wsparcie, którego udzielisz, wróci do Ciebie ze zdwojoną siłą.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Komunikacja będzie kluczem. Horoskop dzienny wróży, że rozmowy otworzą przed Tobą nowe drzwi.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Spokojny dzień przyniesie refleksję. Horoskop na dziś to wyraźna wskazówka, by zadbać o komfort i unikać zbędnych konfliktów.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Dziś energia sprzyja działaniu. Horoskop dzienny na piątek stanowczo podpowiada, by ruszyć z planem i zaskoczyć innych.

PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 9.04

1,4 mld złotych na alkohol

Władze Wrocławia poinformowały, że w 2025 r. w tym mieście sprzedano napoje alkoholowe o wartości ponad 1 mld 386 mln zł. Na statystycznego mieszkańca wypada po 2 tys. zł. Najwięcej pieniędzy wydano na wódkę (41 procent), ponad 38 proc. na piwo i ponad 20 proc. na wino. W ub. roku zamówiony został wzrost wydatków na alkohol: widać niewielki (o 22 mln zł) spadek sprzedaży w 2025 r. wobec 2024

r. Jesienią ub. roku wprowadzono nocny zakaz handlu alkoholem, można więc mieć nadzieję, że statystyka za 2026 r. pokaże efekt tej decyzji.

Przystanek PKP Owsiana?

Rozważane jest utworzenie - w ramach rozbudowy Wrocławskiego Węzła Kolejowego - przystanku przy estakadzie w rejonie ulicy Owsianej. Mógłby on ułatwić pasażerom dotarcie do linii MPK i centrum miasta oraz odblokować Wrocław Główny.

PIĄTEK, 10.04

Trasa rowerowa przy obwodnicy

Wzdłuż obwodnicy zachodniej Wałbrzycha powstanie do końca roku 3,5-kilometrowa trasa rowerowa za 11 mln zł. Polepszy komunikację odległych osiedli - Podzamcza i Piaskowej Góry - z centrum Wałbrzycha.

Uczcili Magierę

W wieku 49 lat zmarł trener piłkarski Jacek Magiera, który prowadził m.in. drużynę Śląska Wrocław. Kibice uczcili pamięć trenera podczas mszy świętej w kościele przy ul. Borowskiej.

Wrócił i zabił

Sąd Rejonowy w Kłodzku aresztował na dwa miesiące Borysa B., podejrzanego o zastrzelenie 26-latką w Bystrzycy Kłodzkiej, zarzucając mu zabójstwo z zamiarem bezpośrednim. Mężczyzna, instruktor strzelectwa, nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że działał w obronie koniecznej. Po awanturze z trzema mężczyznami Borys

B. wrócił do domu po karabinie i ponownie poszedł na spotkanie z napastnikami - już uzbrojony. Sąd zastosował areszt, by podejrzany nie utrudniał śledztwa.

SOBOTA, 11.04

Niebezpieczniej

W 2025 roku na wrocławskich ulicach w wypadkach zginęło 10 osób, czyli o cztery więcej niż w 2024 r. We wszystkich przypadkach zawinili kierowcy.

NIEDZIELA, 12.04

Złodziej uciekał w peletonie

Koło Sobótki policjanci musieli gonić „uczestnika” wyścigu kolarskiego „Ślązański Mnich”. 20-letni złodziej rowerów, uciekając przed mundurowymi, wmieszał się w jadący peleton wyścigu. A że ukradł bardzo dobry rower za 30 tys. zł, zdołał wyprzedzić grupę i - dosłownie - znalazł się w ucieczce! Ale krótko, bo wpadł.

Biegła 71 godzin

Magdalena Sznigriz z Lubina zajęła 3. miejsce w kategorii



FOT. GRAZYNA SZYSZKA

Dolnoślązacy wyznania prawosławnego obchodzili Wielkanoc

OPEN i 1. miejsce wśród kobiet podczas Biegu Kreta na dystansie 377 km (Trójkąt Sudecki). Potrzebowała na to 71 godzin i 28 minut. Magda przez około trzy doby biegła przez góry, praktycznie bez snu, w zmiennych warunkach pogodowych.

Nie żyje Elżbieta Terlikowska

Zmarła Elżbieta „Lalka” Terlikowska - wybitna scenografka, malarka, projektantka kostiumów. Związana była z Wrocławiem, stworzyła ponad sto scenografii, zdobyła szerokie uznanie w Polsce i za granicą. Miała 84 lata.

WTOREK, 14.04

Wirus HIV znów szaleje

W 2025 roku na Dolnym Śląsku odnotowano 445 zakażeń wirusem HIV - o 244 więcej niż w 2024 roku, kiedy było ich 201. Oznacza to wzrost o 121 proc. Wskaźnik wyniósł 15,54 przypadków na 100 tysięcy mieszkańców, podczas gdy średnia krajowa to 7,37. Specjaliści mówią, że to efekt większej liczby przeprowadzanych testów i braku edukacji seksualnej, szczególnie wśród dzieci i młodzieży.

ŚRODA, 15.04

Obrabowali konwój z kasą

Około godziny 12.40 koło skrzyżowania ulic Pereca i Lwowskiej konwój transportujący pieniądze z kantoru do banku został zablokowany przez inny pojazd. Napastnicy doprowadzili do kolizji, uniemożliwiając kierowcy ucieczkę. Sprawcy wyciągnęli z auta gotówkę i zbiegli. Nikomu nic się nie stało. Policja szuka bandytów. **Zebrał GCH**



FOT. POLICJA LUBIN

Między Lubinem a Rudną Chrysler zderzył się z prawidłowo jadącym Audi. Nie żyją obaj kierowcy (25 i 19 lat)

REKLAMA

0011504496

TAURON Festiwal Kwiatów i Sztuki

ODYSEJA CZASU

ZAMEK KSIĄŻ W WAŁBRZYCHU

30.04 - 3.05

WAŁBRZYCH 1426-2026

MECENAS ZAMKU KSIĄŻ

nasz REGION

Wjechała do Pasażu Zielińskiego, bo zaklinował jej się... but

Karolina Kwiatek
Wrocław

Rozpędzone BMW wjechało wczoraj do Pasażu Zielińskiego. Samochód staranował szlaban na parking, a następnie drzwi wejściowe i stoiska wewnątrz galerii. W środku byli ludzie!

Około 30-letnia kobieta straciła panowanie nad samochodem osobowym marki BMW. Auto z impetem wjechało przez drzwi do środka galerii i staranowało stoiska. Na szczęście ani pracownikom, ani klientom nie stała się krzywda. Policja ustalała dokładne przyczyny i okoliczności zdarzenia.

Świadkowie mówili naszemu reporterowi, że kobieta najprawdopodobniej straciła panowanie nad samochodem, ponieważ schylała się po bilet na parking,

który upadł na podłogę auta. Kierowała w szpilkach. Zanim wjechała do galerii, staranowała szlaban wjazdowy na parking.

Wrocławską policję potwierdza ustalenia naszego reportera. Podkomisarz Aleksandra Freus z Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu poinformowała w rozmowie z dziennikarzami, że w trakcie pobierania biletu kobiecie zaklinował się obcas. Szpilka utknęła między pedałami, sprawiając, że kierująca nie była w stanie ściągnąć nogi z gazu.

- Kierująca została ukarana mandatem w wysokości 5 tys. zł oraz 10 punktami karnymi - potwierdza Aleksandra Freus.

Agnieszka Akija, prezes Wrocławskiego Stowarzyszenia Kupców w Pasażu Zielińskiego spodziewa się, że straty będą ogromne. Auto uszkodziło szlaban, drzwi oraz kilka sklepów.

SYCÓW

18-latek kilka razy pchnął nożem 24-latkę i uciekł
To był finał kłótni. Poszkodowany z ciężkimi ranami trafił do szpitala. Napastnik został szybko zatrzymany i aresztowany. Za usiłowanie zabójstwa grozi mu dożywocie.

JELENIA GÓRA

Para wyłudzała pieniądze podszywając się pod inne osoby
34-latek i 26 latka mają 10 zarzutów oszustwa. Zaciągali pożyczki, „kupowali” telefony na dane innych osób, powodując straty w wys. 30 tys. zł. Grozi im do 8 lat więzienia.



JEDLINA-ZDRÓJ

Ukradł samochód z jednej z firm i od razu go rozbił
Policjanci zastali opuszczoną, zniszczoną auto przy płocie. Szybko ustalili i ujęli kierowcę. 18-latek miał 0,6 proc. alkoholu. Wykorzystał to, że w stacyjce... były kluczyki

FOT. POLICJA DOLNOŚLĄSKA

Skradli ponad ćwierć miliona

Reportery Gazety Wrocławskiej
Wrocław

W środę na ul. Lwowskiej we Wrocławiu doszło do napadu na konwój przewożący gotówkę. Nowe fakty: było czterech sprawców, których policja wciąż szuka.

251 181 zł oraz 15 000 funtów brytyjskich. Taką kwotę ukradli złodzieje, którzy napadli w środę (15 kwietnia) na transport gotówki, konwojowanej z kantoru do banku.

Damian Pownuk z Prokuratury Okręgowej we Wrocławiu potwierdza, że policja wciąż prowadzi czynności zmierzające do ustalenia sprawców. Wiadomo jednak, że było ich czterech.

Z dotychczasowych ustaleń wynika, że pracownicy kantoru wymiany walut przy ul.



FOT. JAROSŁAW JAKUBCZAK

We Wrocławiu rozegrały się sceny dość często oglądane w filmach sensacyjnych. Tym razem nie była to fikcja

Pereca mieli przewieźć służbowym autem gotówkę do banku. Jadąc Lwowską, w kierunku Zaporoskiej, na ich pas wjechała jadąca z naprzeciwka Skoda. - Z pojazdu marki Skoda wybiegło dwóch męż-

czyn, którzy wybili boczne szyby samochodu, którym poruszali się pracownicy kantoru, i jednemu z tych pracowników zabrali plecak, w którym znajdowały się pieniądze. Po zderzeniu czołowym, samochód

pracowników kantoru został zastawiony z tyłu przez inny pojazd marki Seat, w którym miało znajdować się kolejnych dwóch mężczyzn. Tym nieuszkodzonym pojazdem, wszyscy sprawcy oddalili się z miejsca zdarzenia - przekazuje prok. Damian Pownuk.

Jak już wcześniej pisaliśmy, samochód z uciekającymi sprawcami jechał na biegu wstecznym ulicą Lwowską. Powodował duże zagrożenie dla innych.

Służby prowadzą postępowanie przygotowawcze w tej sprawie. Nadzoruje je Prokuratura Rejonowa dla Wrocławia Fabryczna.

Nieoficjalnie udało nam się dowiedzieć, że w sprawę są zaangażowane policyjne siły także spozna Wrocławia.

Sprawcom grozi do 15 lat więzienia.

REKLAMA

0011504452



TARCZYŃSKI

Otwórz się na WIĘCEJ!

DOŁĄCZ DO NOWOCZESNEJ FIRMY, KTÓRA ZAPEWNI CI ROZWÓJ I STABILIZACJĘ.

Zatrudnimy specjalistów w działach:

- ☑ Utrzymania Ruchu i Automatyki
- ☑ Technologii
- ☑ Jakości
- ☑ Sprzedaży
- ☑ Zarządzania Produkcją
- ☑ Administracji

Oferujemy:

- ☑ Pracę w zakładzie produkcyjnym w Ujeźdźcu Małym pod Wrocławiem
- ☑ Bezpłatną stołówkę
- ☑ Bony i paczki świąteczne
- ☑ Dofinansowanie do kształcenia (szkoły, studia, kursy, szkolenia)
- ☑ Bilety na koncerty oraz mecze Panthers Wrocław
- ☑ Prywatną opiekę medyczną LUXMED
- ☑ Kartę Multisport
- ☑ Ubezpieczenie na życie
- ☑ Atrakcyjny program poleceń pracowników

Poznaj szczegóły:
tarczynskipraca.pl
726-665-555
rekrutacja@tarczynski.pl

To już koniec marzeń. Pociągi Kolei Dolnośląskich nie pojedą do stolicy

Remigiusz Biały
Wrocław

Plany były ambitne. Ale to już przeszłość. Koleje Dolnośląskie ostatecznie zrezygnowały z pomysłu pociągu bezpośredniego do Warszawy, bo nie ma to sensu.

Tę informację w sierpniu 2023 podaliśmy jako pierwsi. W wywiadzie prezes Kolei Dolnośląskich poinformował, że spółka pracuje nad uruchomieniem połączenia z Wrocławia do stolicy. KD uzyskały nawet zgodę Urzędu Transportu Kolejowego... - Koleje Dolnośląskie występowały o otwarty dostęp na trasie Wrocław - Leszno - Poznań - Warszawa w momencie, gdy stolicę Dolnego Śląska ze stolicą Polski łączyło o wiele mniej par pociągów Intercity niż obecnie. Co warto również zaznaczyć, w chwili składania wniosku przewoźnik narodowy nie realizował ich po trasie przez Leszno i Poznań - mówi Andrzej Padniewski z biura prasowego KD.

Ale teraz już nie ma mowy o uruchomieniu tego pociągu i spółka zrezygnowała z tego. Boiem liczba par pociągów łączących Wrocław z Warszawą znacząco wzrosła. Dodatkowo Inter-



FOT. PIOTR KLIRZANOWSKI

KD zrezygnowały z uruchomienia pociągu do Warszawy, wycofuje się też firma czeska. Na tych torach rzędzi InterCity

city zaczęło realizować połączenia na trasie, o którą wnioskowały KD (przez Leszno i Poznań). Obecnie do Warszawy z Wrocławia dziennie jeździ 20 par pociągów. Połączenia te są realizowane na trzech trasach. Oprócz tej przez Leszno i Poznań, także przez Oleśnicę i Łódź oraz Opole - Częstochowę.

Planowana jest także przebudowa sieci kolejowej w Warszawie. Kolejną stacją, na której planowana jest inwestycja, jest Warszawa Wschodnia. Zasadna tym samym stała się ocena przepustowości linii średnicowej

w Warszawie na odcinku: Zachodnia - Centralna - Wschodnia. Szczególnie stacja Warszawa Centralna jest popularna wśród pasażerów, a pojawiły się wątpliwości dotyczące możliwości realizacji połączeń do Warszawy z zatrzymaniem na tej stacji w perspektywie kilku najbliższych lat. - Dlatego też mimo uzyskania otwartego dostępu na obsługę trasy Wrocław - Leszno - Poznań - Warszawa KD nie planują obecnie uruchomienia połączenia komercyjnego na tym odcinku - mówi Andrzej Padniewski.

Jak ustrzec dzieci przed radonem?

Alina Gierak
Jelenia Góra

W Szkole Podstawowej nr 5 w Jeleniej Górze jest za duże stężenie radonu. Rodzice bali się, że zostanie zamknięta. Po spotkaniu z prezydentem wiadomo, że tak się nie stanie. Ale problem trzeba rozwiązać.

Na spotkanie w sprawie radonu w SP nr 5 prezydent Jeleniej Góry zaprosił rodziców, nauczycieli oraz ekspertów zajmujących się radonem i badaniami stężenia tego gazu. Jakub Kaca, ojciec dwójki dzieci z SP nr 5, podkreślał, że nie ma dla niego teraz ważniejszej sprawy. Podobnie inni rodzice.

- Staliśmy się fachowcami od radonu - mówili gorzko rodzice z „Piątki”.

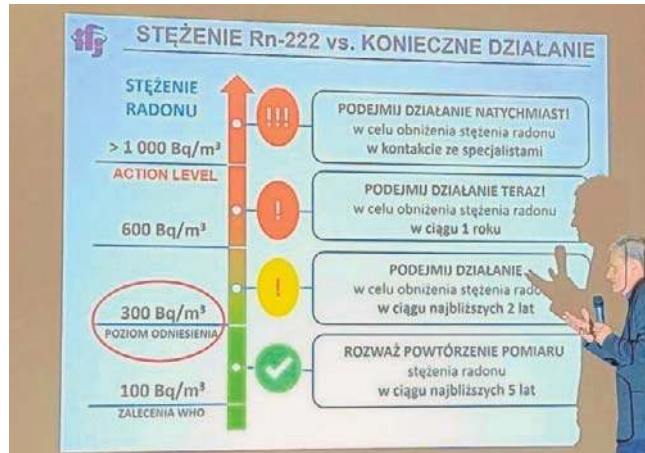
- Chcemy mieć pewność, że nasze dzieci są w szkole bezpieczne, że samorząd zacznie konkretnie działać, a my będziemy traktowani po partnersku - mówi Jakub Kaca.

Sprawa wybuchła miesiąc temu, po upublicznieniu wyników pomiarów stężenia radonu w SP5. Instytut Medycyny Pracy w Łodzi stwierdził, że w niektórych salach normy stężenia ra-

donu przekroczone są 7-8 razy. Rodzice uczniów domagali się natychmiastowej reakcji samorządu, najlepiej wprowadzenia zdalnego nauczania. Do tego nie doszło. Dyrektorka szkoły wykluczyła z użytkowania dwa pomieszczenia, w których przekroczenia radonu były najwyższe. Klasy są wietrzone. Zlecono też kolejne badania. Wyników jeszcze nie ma.

W spotkaniu wzięli udział on-line eksperci z Instytutu Medycyny Pracy, którzy wykonywali badania w tej szkole. To była dobra okazja, by prezydent Jeleniej Góry odniósł się do oświadczenia Instytutu. Jednocześnie podtrzymał, że pomiary zostały wykonane prawidłowo, zgodnie z obowiązującą metodyką, a wyniki badań są wiarygodne (prezydent w komunikacie z 1 kwietnia mówił o wątpliwościach w tej sprawie). Teraz Jerzy Łuźniak przyznał, że jego wypowiedź była nieprecyzyjna, a cytat opinii Instytutu wyrwany z kontekstu.

Joanna Domienik-Andrzejewska z Instytutu Medycyny Pracy podkreśliła, że sytuacja jest złożona i wymaga podejścia etapowego. Zaproponowano rozwiązanie tymczasowe



Na spotkaniu z rodzicami eksperci uspokajali ich i przedstawiali sposoby zmniejszenia promieniowania radonu

- ograniczenie przebywania dzieci w najbardziej narażonych pomieszczeniach do maksymalnie dwóch godzin dziennie. I jest to przestrzegane.

Kierownik Oddziału Higieny Radiacyjnej wojewódzkiego sanepidu Piotr Demczuk wyjaśnił, co robi sanepid, gdy wyniki przekraczają dopuszczalne normy. Jego zdaniem w przypadku SP nr 5 działania były prawidłowe.

Prof. dr hab. Krzysztof Kozak, kierownik Laboratorium Ekspertyz Radiometrycznych

Instytutu Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, uspokajał rodziców: - Zawartość radonu w otoczeniu trzeba monitorować. Pomiary są proste i nieuciążliwe.

Ekspert podkreślał, że mają ogromne doświadczenie w stosowaniu różnych metod redukcji radonu w budynkach i zdeklarował pomoc dla „Piątki”. Rodzice domagali się konkretnów i natychmiastowego działania.

- Metod obniżenia stężenia radonu jest kilka. Od wentyla-

cji i przewietrzania budynków, zwłaszcza piwnic, po uszczelnianie pęknięć w fundamentach oraz miejsc przyłączenia instalacji do budynków, stosowanie folii ochronnych. Dopiero po wizji lokalnej można wybrać metodę, bo każdy budynek jest inny - tłumaczył.

Konkrety po spotkaniu

Prezydent Jerzy Łuźniak zadeklarował:

- SP nr 5 nie zostanie zamknięta,

- samorząd zapewni pełne finansowanie kolejnych działań optymalizacyjnych,

- badania stężenia radonu ze wskazaniem działań optymalizacyjnych będą przeprowadzone we wszystkich jeleniogórskich żłobkach, przedszkolach i szkołach,

- będzie prowadzona akcja edukacyjna o radonie, jak badać jego stężenie i co robić, gdy przekracza dopuszczalne normy,

- będzie prowadzony dialog z rodzicami i działania samorządu w sprawie radonu w SP nr 5 będą transparentne.

- Spotkanie miało znaczenie informacyjne, jednak na obec-

nym etapie konieczne jest przejście od ogólnych deklaracji do konkretnych działań, harmonogramów i pełnej transparentności - mówi radny Mariusz Gierus.

- My, rodzice, zawarliśmy umowę słowną, będziemy monitorować zobowiązanie prezydenta miasta, ale również dziękujemy mu za przyznanie się do błędów z ostatniego briefingu oraz chęć dalszej pomocy szkole. Potrzebny jest stały dialog i transparentne podejście do napraw, dzięki temu nie będzie już potrzeby zamiatania sprawy pod dywan, bo my, rodzice, nie dopuścimy do tego - podsumował Jakub Kaca.

Radon to bezwonny i bezbarwny naturalny gaz promieniotwórczy. Ma wpływ na zdrowie, o czym świadczyć może wysoka zachorowalność na nowotwory płuc u górników, którzy wydobywali uran. Pierwiastek ten został uznany jako drugi, po paleniu tytoniu, czynnik rakotwórczy w przypadku nowotworów płuc. Dlatego też w wielu krajach przed rozpoczęciem budowy domu kontroluje się tak zwany potencjał radonowy terenu pod budowę.

REKLAMA

0211504494

Wrocław nie marnuje: Razem dla Ziemi

Zapraszamy na
Piknik Ekologiczny

#WROCLAW
NIEMARNUJE

🕒 26 kwietnia 2026 r.
(niedziela)
godz. 12:00–16:00

📍 Ogród Staromiejski
im. Mikołaja Kopernika
przy ul. Teatralnej

Bądź EKO i dołącz do nas! Weź udział w warsztatach, daj drugie życie książkom, ubraniom i zabawkom! Odkryj mapę „Wrocław nie marnuje” i zobacz, jak łatwo dbać o środowisko każdego dnia!

Nie marnuj okazji na świetną zabawę – dołącz do nas 26 kwietnia!



Rozkopali centrum Jeleniej Góry. Granit zamiast asfaltu

Alina Gierak
Jelenia Góra

Władze Jeleniej Góry wypowiedziały wojnę asfaltowi i betonozi. Na ulicach starówki asfalt i zastępowany jest granitową kostką, by przywrócić historyczny charakter tego miejsca.

Wcześniej przebudowano m.in. ulice Krótką i Długą. Teraz asfalt znika z kolejnych. Trwają prace przy: ul. Solnej - trwa obecnie układanie nowej nawierzchni z kostki brukowej. Prace realizowane są etapami i obejmują przygotowanie podłoża oraz systematyczne układanie kolejnych



Znika asfalt, ale, niestety, zabrakło miejsca na zielen

fragmentów jezdni. Przy ul. Szkolnej - prowadzone są równoległe prace na sieci wodociągowej oraz gazowej. Na ul. Drucianej ustawiono już nowe krawężniki. Kontynuowane są roboty związane z siecią wodociagową

Wymienione zostanie również oświetlenie przy tych ulicach. Przebudowę dróg poprzedzi remont sieci wodociągowej wraz z przyłączami oraz kanalizacji deszczowej. Wykonawcą inwestycji jest firma Kama Infrastruktura z Mysłakowic. Koszt wszystkich prac wyniesie około 2,8 mln zł. Mają się zakończyć jeszcze w kwietniu, zanim do miasta zawita Jarmark Staroci i Osobliwości.

Legnica. Podali stawki za wodę i odbiór ścieków do... 2029 roku!

Edyta Golisz
Jelenia Legnica

Mieszkańcy Legnicy płacą drożej za wodę i odprowadzanie ścieków. - Główną przyczyną zmian są rosnące koszty funkcjonowania całego systemu wodociągowo-kanalizacyjnego - mówi prezes wodociągów.

- W ostatnich latach koszty funkcjonowania systemu wzrosły o kilkadziesiąt procent, szczególnie w obszarze energii i materiałów. Robimy wszystko, aby utrzymać bezpieczeństwo i ciągłość usług przy możliwie najmniejszym obciążeniu - podkreślał na konferencji prasowej Paweł Gambal, prezes Legnickiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji S.A.

Nowe stawki zostały zatwierdzone przez Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie. Dokonano szczegółowej analizy projektu taryfy, uwzględniając m.in. planowane wydatki inwestycyjne, wpływ zmian warunków ekonomicznych na działalność spółki, weryfikację kosztów poniesionych w latach poprzednich oraz zasadność planowa-



Powodem podwyżki są rosnące koszty całego systemu

nych kosztów - tak, aby chronić odbiorców przed nieuzasadnionym wzrostem cen.

Główną przyczyną zmian są rosnące koszty funkcjonowania całego systemu wodociągowo-kanalizacyjnego, czyli: wzrost kosztów eksploatacyjnych, ograniczone możliwości finansowania inwestycji, konieczność utrzymania infrastruktury w sprawności, zapewnienie wymaganej jakości

wody i ciągłości dostaw, zwiększenie poziomu bezpieczeństwa infrastruktury technicznej i cyfrowej, dostosowanie do zaostrzających się norm jakości wody i wymogów środowiskowych.

Jak zapewnił prezes Gambal, spółka prowadzi działania optymalizacyjne, m.in. ograniczanie kosztów energii czy pozyskiwanie środków zewnętrznych na inwestycje.

PLAN NA TRZY LATA

Ile od 15 kwietnia 2026 r. Legniczanie będą płacić za wodę i ścieki? (brutto)

W okresie 15.04.2026-14.04.2027

- zmiana ceny wody z 6,10 zł/m³ do 7,30 zł/m³,
- cena za odprowadzanie ścieków z 8,99 zł/m³ do 10,77 zł/m³.

Cena za zaopatrzenie w wodę i odprowadzenie ścieków: zmiana z 15,09 zł/m³ na 18,07 zł/m³

W okresie 15.04.2027-14.04.2028

- zmiana ceny wody z 7,30 zł/m³ do 7,85 zł/m³,
- cena za odprowadzanie ścieków z 10,77 zł/m³ do 11,65 zł/m³.

Cena za zaopatrzenie w wodę i odprowadzenie ścieków: zmiana z 18,07 zł/m³ na 19,50 zł/m³

W okresie 15.04.2028-14.04.2029

- zmiana ceny wody z 7,85 zł/m³ do 8,40 zł/m³,
- cena za odprowadzanie ścieków z 11,65 zł/m³ do 12,20 zł/m³.

Cena za zaopatrzenie w wodę i odprowadzenie ścieków: zmiana z 19,50 zł/m³ na 20,60 zł/m³

MATERIAL INFORMACYJNY DRUŻYNA ENERGII

0011508793

9. EDYCJA DRUŻYNY ENERGII WYSTARTOWAŁA. SZKOŁY MOGĄ ZGŁASZAĆ SIĘ DO 30 KWIETNIA

Ruszyła 9. edycja ogólnopolskiego programu Drużyna Energii, realizowanego przez Enerę z Grupy ORLEN. Projekt zainaugurowano wydarzeniem w Ergo Arenie, a szkoły podstawowe z całego kraju mogą do 30 kwietnia zgłaszać udział w rywalizacji o sportowe wyposażenie i stroje o łącznej wartości ponad pół miliona złotych.

Za nami oficjalna inauguracja programu, który po raz kolejny pokazuje, że aktywność fizyczna jest skutecznym narzędziem integracji i budowania pozytywnych relacji. Podczas wydarzenia w Ergo Arenie na parkiecie, ramię w ramię z uczniami, stanęli znani polscy sportowcy i trenerzy, m.in. Piotr Gruszka, Izabela Bećcik, Jakub Schenk oraz Michał Danilczuk.

Inauguracja była także otwarciem nowego rozdziału w historii projektu. Ogłoszono wówczas nową kategorię - Energię Tańca, która łączy do dotychczasowych dyscyplin i podkreśla, że ruch to nie tylko rywalizacja, ale również emocje, ekspresja i różnorodne formy aktywności.

Ogólnopolska rywalizacja, odbywająca się pod honorowym patronatem Ministra Edukacji, skierowana jest do uczniów klas 4-8 szkół pod-



Uczniowie, nauczyciele i ambasadorzy programu podczas inauguracji 9. edycji Drużyny Energii w Ergo Arenie. Projekt promuje aktywność fizyczną w szkołach podstawowych w całej Polsce. Rejestracja szkół trwa do 30 kwietnia

stawowych. Zgłoszenia przyjmowane są do 30 kwietnia za pośrednictwem platformy druzynaenergii.pl.

Nowy, mistrzowski skład

Siłą Drużyny Energii są ludzie - wybitni sportowcy, trenerzy i pasjonaci sportu. W gronie ambasadorów projektu znalazł się m.in. Piotr Gruszka, legenda polskiej siatkówki i mistrz Europy. - Chcemy uczyć dzieci aktywno-

ści, ale też pokazywać im, że sportowcy to zwykli ludzie, którzy kiedyś byli na ich miejscu - podkreśla Gruszka.

Rolę Kapitanów Drużyn Słońca, Serca, Wiatru, Ziemi i Wody pełnią kolejno: koszykarz Jakub Schenk, tancerz Michał Danilczuk, szczypiomista Piotr Papaj, rugbystka Hanna Maliszewska oraz Barbara Brotaj - nauczycielka wychowania fizycznego i laureatka 8. edycji programu. Projekt wspierają

także doświadczeni trenerzy i pedagodzy.

Drużyna Energii - to coś więcej niż sport

Program ma na celu pokazanie, że sportowi idole nie są jedynie postaciami znanymi z mediów, ale partnerami do wspólnej zabawy i ćwiczeń. Drużyna Energii promuje różnorodność ruchu i zachęca dzieci do aktywności dopasowanej do ich potrzeb i zainteresowań.

- W tym roku Drużyna Energii została odświeżona. Mamy sportowców aktywnych zawodowo, którzy jeszcze niedawno grali na boiskach, a dziś pracują bezpośrednio z uczniami. Nowością jest taniec, który odpowiada na bardzo szeroko rozumiany ruch i emocje - podkreśla Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA. - Chcemy, by towarzyszyła temu radość bycia razem i gry w jednej drużynie.

Taniec wybija się na front

Absolutną nowością 9. edycji jest taniec, którego ambasadorem został Michał Danilczuk. Jego celem jest pokazanie, że aktywność fizyczna nie musi opierać się wyłącznie na rywalizacji, ale może być formą wyrażania siebie i budowania pewności siebie. Taniec rozwija koordynację, rytm i energię, a jednocześnie przełamuje stereotypy dotyczące płci w sporcie.

Dodatkową zachętą do udziału jest rekordowa pula nagród. Energia z Grupy ORLEN przeznaczyła ponad pół miliona złotych na wyposażenie szkolnych sal gimnastycznych i stroje sportowe.

Siła drzemie w każdej szkole

Do udziału w programie mogą zgłaszać się nauczyciele wychowania fizycznego lub dyrektorzy szkół podstawowych. Organizatorzy zachęcają również do przesyłania materiałów wideo pokazujących aktywność szkolnej społeczności.

- To moment, w którym można zaprosić uczniów do świetnej przygody pełnej pasji i energii - podkreśla Barbara Brotaj, kapitanka Drużyny Wody i laureatka poprzedniej edycji programu.

Wycinają krzaki przy torach. Co z ptakami?

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Wzdłuż torów kolejowych przy Parku Tysiąclecia trwa wycinka krzewów. Mieszkanca alarmuje, że usunięcie roślin może mieć poważne konsekwencje dla lokalnej przyrody.

Do naszej redakcji zgłosiła się mieszkanka Wrocławia, miłośniczka przyrody. Jak relacjonuje, wzdłuż torów kolejowych biegnących zaraz przy torach kolejowych biegnących zaraz przy Parku Tysiąclecia znikają gęste zarośla. Mówi, że od lat stanowiły one schronienie dla ptaków. - Kolarze wyrzynają w pień wszystko co żyje. Wycinkę widać również na stacji Wrocław Nowy Dwór. Te krzewy rosły tam od zawsze, od kilkudziesięciu lat, gniazdowały w nich tysiące ptaków. To jest po prostu rzeź! Każdy bywalec parku powie, że to obszar bogaty w ptactwo - martwi się Wrocławianka.

Przede wszystkim bezpieczeństwo

O wyjaśnienia poprosiliśmy zarządcę terenu, spółkę PKP

Polskie Linie Kolejowe. Jak podkreśla jej przedstawiciel, prace wynikają z obowiązków związanych z bezpieczeństwem ruchu kolejowego. - Naszym priorytetem, jako zarządcy infrastruktury kolejowej, niezmiennie pozostaje zapewnienie bezpieczeństwa w ruchu pociągów. Jesteśmy zobowiązani do odpowiedniego utrzymania linii kolejowych, co regulują obowiązujące akty prawne. W tym celu konieczne jest m.in. usuwanie roślinności, która znajduje się zbyt blisko torów i w realny sposób stanowi zagrożenie dla przejeżdżających pociągów - tłumaczy Radosław Śledziński z zespołu prasowego PKP Polskie Linie Kolejowe S.A.

Jak wskazuje, usunięta już roślinność mogła ograniczać widoczność sygnałów lub stanowić zagrożenie dla przejeżdżających pociągów. Obecnie wycinka obejmuje odcinek między stacjami Wrocław Główny a Wrocław Zachodni.

- Prowadzone prace nie wymagają zezwoleń, ponieważ polegają wyłącznie na usuwaniu krzewów, odrostów czy samosiejek - zapewnia rzecznik PKP PLK i podkreśla, że prace



Kolej tłumaczy wycinkę dbałością o bezpieczeństwo ruchu kolejowego. Czytelniczka mówi, że krzewy od lat były domem dla mnóstwa ptaków

prowadzone są zgodnie z przepisami. - Roboty związane z oczyszczaniem terenów przy liniach kolejowych za każdym razem prowadzone są z dbałością o środowisko naturalne. W przypadku prac prowadzonych w okresie letnim, zgodnie z umową, wykonawca jest zobowiązany do zapewnienia nadzoru wykwalifi-

kowanego ornitologa, który każdorazowo kontroluje teren pod kątem występowania gniazd ptaków.

Miasto wyśle strażników

Sprawą zainteresował się także ratusz. Jak informują nas urzędnicy, wycinka nie odbywa się na terenie samego parku,

lecz na działkach PKP. Miasto podkreśla, że nie wydawało żadnej zgody na prowadzenie prac w tym miejscu i nikt o taką zgodę nie występował.

- Dziś również otrzymaliśmy informację od mieszkanki o tej sytuacji. W związku z tym, zawiadomiliśmy Straż Miejską, by pojechała na miejsce zrobić wizję lokalną. Jeżeli będą jakiegol-

wiek nieprawidłowości, sprawa zostanie zgłoszona do odpowiednich organów, jak policja i Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska - mówi Natalia Proszak z Urzędu Miejskiego Wrocławia.

Przyjmuje się, że okres letni trwa od 1 marca do 15 października, jednak to tylko umowny przedział. W rzeczywistości różne gatunki ptaków rozmnażają się w różnych terminach. Część rozpoczyna lęgi już zimą, inne - dopiero późną wiosną. Terminy te mogą się też przesuwać w zależności od warunków pogodowych.

W tym czasie (1 marca - 15 października) przepisy nie wprowadzają całkowitego zakazu usuwania drzew i krzewów, ale nakładają mocne ograniczenia. Prowadzenie prac w okresie letnim jest możliwe przede wszystkim wtedy, gdy przemawiają za tym istotne względy, np. bezpieczeństwo, ale jednocześnie nie dochodzi do naruszenia przepisów dotyczących ochrony gatunkowej. W praktyce oznacza to konieczność wcześniejszej, rzetelnej oceny przyrodniczej terenu, często z udziałem specjalisty, np. ornitologa.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011508062

Piława Górna czyta i tworzy. Kultura blisko najmłodszych

Jak zachęcić dzieci i młodzież do czytania w świecie pełnym ekranów? W Piławie Górnej odpowiedzią okazał się projekt „Książkowe zwierciadło”, który łączy literaturę, sztukę i zabawę. Dzięki wsparciu programu „Kulturalny ORLEN” lokalna biblioteka stała się przestrzenią twórczych spotkań, rozwijania wyobraźni i budowania czytelniczych nawyków.

Pozyskanie nowych czytelników oraz zachęcenie dzieci i młodzieży do sięgania po wartościowe lektury - to główne cele programu „Książkowe zwierciadło - odkrywamy siebie w literaturze i sztuce”. Cykl zajęć i spotkań realizowany jest w Miejskim Ośrodku Kultury i Bibliotece w Piławie Górnej - sześciotygodniowym mieście w województwie dolnośląskim.

Projekt skierowany jest do dzieci i młodzieży, a od jego rozpoczęcia, jesienią ubiegłego roku wzięły w nim udział już setki przedszkolaków i uczniów szkół podstawowych,

w tym także dzieci z niepełnosprawnościami z lokalnej szkoły specjalnej.

Literatura w działaniu - spotkania, warsztaty i inspiracje dla młodych

Jednym z filarów programu jest cykl spotkań autorskich „Bohaterowie jak my”. Wydarzenia odbywają się w przedszkolach, szkołach oraz Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym. Do tej pory zgromadziły już blisko 150 uczestników. W listopadzie Piławę Górna odwiedził pisarz Paweł Gołuch - poeta i autor serii „Smocze Kroniki”. Podczas spotkań opowiadał o swojej twórczości, inspiracjach i procesie powstawania książek.

- Dzieci były zachwycone. Synek po powrocie z przedszkola opowiadał, jak bardzo podobały mu się zajęcia, szczególnie historie o smokach. Dla nas, rodziców, to świetne rozwiązanie, że dzieci mogą korzystać z takich atrakcji w ramach zajęć - mówi Alicja Jurkowska, mama jednego z uczestników.



Projekt obejmuje również warsztaty literacko-plastyczne „Czytamy i tworzymy”. Podczas spotkań czytania, uczestnicy przygotowują prace inspirowane treścią książek, rozwijając wyobraźnię i zdolności manualne.

Dzięki dofinansowaniu, zakupiono nowe książki oraz materiały plastyczne. Do tej pory odbyło się już dwanaście takich spotkań, które - poza walorem edukacyjnym - sprzyjają także integracji dzieci i budowaniu relacji rówieśniczych.

Teatr, który angażuje

W ramach projektu przygotowano również spektakl „Tuwim i Brzechwa robią show”, inspirowany twórczością Juliana Tuwima i Jana Brzechwy. W przedstawieniu wykorzystano znane utwory, takie jak „Lokomotywa”, „Kaczka Dziwaczka” czy „Leń”, wzbogacone o autorską oprawę muzyczną.

- Chcieliśmy połączyć poezję z muzyką i ruchem. Dzieci aktywnie uczestniczą w spektaklu - klaszczą, grają na instrumentach, a nawet tworzą „pociąg” podczas „Lo-

komotywy”. Dzięki temu łatwiej zapamiętują teksty i angażują się w wydarzenie - podkreśla Natalia Janus, pomysłodawczyni przedstawienia.

Spektakl pełni nie tylko funkcję rozrywkową, ale także edukacyjną - zawiera quizy i ciekawostki o poetach oraz pozwala dzieciom poznać kulisy pracy teatru. Dla wielu młodych widzów był to pierwszy kontakt z przedstawieniem na żywo.

Biblioplecaki i nowoczesna edukacja

W ramach projektu, biblioteka realizuje także inicjatywę „Biblioplecaki 2.0”, skierowaną do uczniów klas 1-3. Każde dziecko otrzymuje plecak z zestawem książek dostosowanych do wieku, który może zabrać do domu na tydzień.

- Chcemy zachęcić dzieci nie tylko do czytania, ale także do odwiedzania biblioteki i samodzielnego wyboru książek - mówi Iwona Szuba, dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury i Biblioteki w Piławie Górnej.

Dodatkowo placówka wzbogaciła ofertę o pakiety

edukacyjne „Czytaj z Albikiem” - interaktywne zestawy książek, gier i puzzli wspierające naukę poprzez zabawę. Czytelnicy mogą wypożyczać je na miesiąc i korzystać z nich. Jest to świetna inicjatywa wspierająca rozwój czytelnictwa, nawet wśród tych, którzy jeszcze nie potrafią samodzielnie czytać.

Dzięki wsparciu programu „Kulturalny ORLEN” biblioteka znacząco poszerzyła swój księgozbiór oraz ofertę edukacyjną. Choć projekt zakończy się wiosną, jego organizatorzy liczą, że zainteresowanie książkami wśród najmłodszych mieszkańców pozostanie na dłużej.

Projekt „Książkowe zwierciadło” pokazuje, że skuteczna promocja czytelnictwa wymaga połączenia edukacji z atrakcyjną formą przekazu. Dzięki różnorodnym działaniom dzieci nie tylko sięgają po książki, ale także aktywnie uczestniczą w kulturze. To przykład inicjatywy, która realnie wpływa na rozwój młodych odbiorców i wzmacnia rolę lokalnych instytucji kultury.



W legnickim szpitalu zatrudnili doule

Edyta Golisz
Legnica

Doula będzie wspierać pacjentki, które przeżywają na patologii ciąży, ginekologii, położnictwie oraz bloku porodowym.

Marta Jankowska (na zdjęciu w środku), jak sama mówi, jest trzecią doułą w Polsce zatrudnioną przez szpital. Czym się będzie zajmować ta specjalistka w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Legnicy?

Jak czytamy m.in. na stronie doula.org.pl - doula to przeszkolona, doświadczona kobieta oferująca niemedyce, emocjonalne, informacyjne i fizyczne wsparcie matce oraz jej rodzinie w czasie ciąży, porodu i pogołu.

Działalność douli polega m.in. na: Wsparciu ciągłym:

w przeciwieństwie do położnej, doula skupia się wyłącznie na rodzącej przez cały czas porodu. Wsparciu fizycznym: łagodzeniu bólu niefarmakologicznie (masaż, aromaterapia, okłady, zmiana pozycji). Wsparciu emocjonalnym: budowaniu pewności siebie, motywacji, byciu obecną, pocieszeniu. Wsparcie informacyjne: dostarczanie wiedzy o fizjologii porodu, pomoc w przygotowaniu planu porodu. Wsparciu w pogołu: Pomocy w karmieniu piersią, opiece nad noworodkiem oraz odnalezieniu się w nowej roli.. Czego doula nie robi? Nie podejmuje decyzji medycznych, nie bada tętna płodu, nie bada rozwarcia ani nie przyjmuje porodu - za to odpowiadają wyłącznie położna lub lekarz.

W Polsce zawód douli funkcjonuje od 2015r.

Wielki talent i czerwona szminka na ustach. „Lalka”...

Robert Migdał
Wrocław

Elżbieta „Lalka” Terlikowska nie żyje - ta wiadomość w niedzielne popołudnie wlała w moje serce morze smutku.

Odeszła wspaniała artystka. Była nie tylko malarką (uczennicą wspaniałego profesora Józefa Hałasa), twórczynią nietuzinkowych kostiumów do wielu przedstawień, ale też autorką scenografii teatralnych - nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Tworzyła prace, które zawsze były intrygujące, zawsze oryginalne. Bo taka też była Ela. Taka była „Lalka”.

- Czemu „Lalka”? - zapytałem ją kiedyś.

- A weź, tak za mną chłopaki wołały na studiach, że niby taka ładna jak laleczka byłam. No i tak zostało, choć dzisiaj już mam więcej lat, to nadal do mnie „Lalka” mówią.

A propos jej wieku. Raz widziałem „Lalkę” mocno zdenerwowaną. Szła Rynkiem (ubrana na czarno, w czarnej czapce i zawsze mocno na czerwono wymalowanymi ustami - Elę było



Elżbieta Terlikowska zmarła 12 kwietnia

widzieć z daleka). Gdy mnie zobaczyła, podeszła.

- Już nigdy nie przejadę się tramwajem. Nigdy! - rzuciła.

- A co się stało? - zapytałem, choć wiedziałem, że i tak mi zaraz wyjaśni.

- Wyobraź sobie, wsiadłam do tramwaju. A tu nagle dwóch młodych facetów się podrywa i mi miejsca na fotelach ustępuje. Żeby mi usiadła. Że niby stara jestem. Na następnym przystanku wysiadłam! - i mówiła (prawie wykrzykiwała) mi to bardzo poważnie. Bardzo.

że tak będzie, znowu nie masz czapki” i wyciągnęła z torebki wielki, cudny beret w szkocką kratę, z pomponem na górze. Imi go wręczyła: „Masz, noś, dbaj o głowę”. Mam go do dzisiaj...

Niekiedy spotykaliśmy się na kawie, na dłuższą rozmowę, częściej w przelocie, w biegu.

Uwielbiałem odwiedzać ją w jej pracowni, małej, w starej kamienicy w Rynku, na pierwszym piętrze.

Wyciągała wtedy na środek swoje najnowsze prace, pokazywała, co ostatnio zrobiła. Zawsze się nimi zachwyciłem. Nie z uprzejmości. Szczerze, bo to, co tworzyła „Lalka”, było przeczudnej urody - zjawiskowe, bardzo oryginalne, bardzo jej.

Na nikim się nie wzorowała: tworzyła to co chciała i jak chciała. I było to, i jest, piękne. I będzie - bo sztuka Eli Terlikowskiej jest ponadczasowa. A ona na zawsze zostanie w naszej pamięci.

W mojej z pewnością... Pogrzeb Elżbiety „Lalki” Terlikowskiej odbędzie się w sobotę, 18 kwietnia, na Cmentarzu Grabiszyńskim, o godz. 11.00.

REKLAMA

0011486419

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● **„ABEL”** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● **„ADORIA”** Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● **„ANUBIS”** – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym

w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranicą. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● **„ARCHON”** – Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis.

Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67,

ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **„WITWICY”** Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzycy, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● **CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH** dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● **KREMATORIUM – ARCHON**, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43

- całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● **MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH**, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na transport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **ROCH** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

Ekologiczna akcja: Przynieś oponkę za sadzonkę

Grażyna Szyszka
Głogów

Kolejna edycja akcji Lasów Państwowych. Przy siedzibie Nadleśnictwa Głogów w zamian za stare opony będą rozdawane sadzonki drzew.

Jeśli masz stare opony, czy zużyty sprzęt elektroniczny to możesz je wymienić na sadzonki drzewek. Do udziału w akcji „Przynieś oponkę za sadzonkę”, po raz kolejny zaprasza Nadleśnictwo Głogów. W piątek, 17 kwietnia leśnicy

będą czekać na placu przed swoją siedzibą w Głogowie przy ul. Sikorskiego 54. Wymiana opon za sadzonki zaplanowana jest w godzinach 8 - 14.30.

Leśnicy mają do rozdania blisko 3 tysiące sadzonek drzew takich jak: lipy, świerki, graby, jarzębiny, jawory.

Nadleśnictwo będzie przyjmować zarówno opony samochodowe jak i rowerowe, ale nie więcej niż 4 sztuki na osobę. Ponadto nie można przywozić opon ciągnikowych, a także opon hurtowo od osób prywatnych oraz firm.



Nadleśnictwo będzie przyjmować zarówno opony samochodowe jak i rowerowe

Dzisiaj pożegnamy			
Pogrzeby 17 kwietnia	Roman Sztylka g. 12.00	Gabriela Sikora g. 11.20	● LEŚNICA
● GRABISZYN	Anastazja Szałecka g. 13.00	Paweł Jerzy Górski g. 12.00	Theodossiadis Konstantinos g. 10.00
Anna Bałabuch g. 9.00	Danuta Piasecka g. 14.00	Czesław Bolesław Koropis g. 12.40	● PSIE POLE
Władysław Szczepaniak g. 10.00	Karol Bieleń g. 15.00	Stanisława g. 13.20	Janusz Weryński g. 8.00
Maria Biernat g. 11.00	● OSOBOWICE	Romułd Jerzy Grobelny g. 14.00	Nadiia Demchuk g. 15.00
Jan Wojciechowski g. 11.00	Jan Czyński g. 8.40	Jadwiga Stefańska g. 15.20	
	Michał Hrycak g. 9.20		
	Krzysztof Mołojęz g. 10.00		

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

WARSZAWA

Ułatwienia w eksporcie wołowiny

Japonia zgodziła się na zniesienie limitu wiekowego bydła, od którego pochodzi eksportowane mięso, a także na wywóz przetworzonej wołowiny i drobiu - poinformował w czwartek minister rolnictwa Stefan Krajewski po powrocie z Azji. Minister rolnictwa towarzyszył premierowi Donaldowi Tuskowi podczas oficjalnych delegacji w Korei Płd. i Japonii.

Minister zaznaczył, że resort aktywnie poszukuje nowych rynków zbytu dla polskiej żywności.

W przypadku Korei, gdzie Polska stara się o uzyskanie dostępu do tamtego rynku, złożona została obietnica przez wysokich rangą polityków tego kraju, że procedura zostanie przyspieszona. „Potrzebne są tam decyzje polityczne, które mają się wkrótce pojawić” - przekazał.

Krajewski zaznaczył, że eksport żywności do krajów azjatyckich ma tendencję wzrostową i są to perspektywiczne rynki dla polskich produktów.

PAP

LUBELSKIE

Samochód wjechał pod pociąg



POLICJA LUBSKA

W Aleksandrowie koło Łukowa (woj. lubelskie) doszło do tragicznego wypadku na niestrzeżonym przejeździe kolejowym. Samochód osobowy wjechał pod pociąg relacji Warszawa Wschodnia - Lublin Główny. Spośród 60 jadących pociągiem nikt nie ucierpiał. Ofiarą śmiertelną jest osoba podróżująca samochodem.

SOSNOWIEC

Zarzuty dla policjantów

Trzej policjanci z Komendy Powiatowej Policji w Będzinie usłyszeli zarzuty w śledztwie w sprawie pobicia 49-letniego mężczyzny - poinformowała Prokuratura Okręgowa w Sosnowcu. Śledczy ustalili, że w nocy 19 października 2025 r. na stacji paliw w Będzinie dwóch funkcjonariuszy miało pobić Mirosława K., a także, używając przemocy i groźb po-

zbawienia życia, zmuszać go do opuszczenia samochodu - poinformował w czwartek rzecznik prokuratury Bartosz Kilian. Trzeci policjant jest podejrzany o ułatwienie pobicia. Śledczy opierają zarzuty m.in. na zeznaniach świadków, opiniach biegłych, nagraniach z monitoringu. Podejrzani nie przyznali się do winy i odmówili składania wyjaśnień. PAP

ZDROWIE

W najbliższy poniedziałek rozpocznie się „Czarny tydzień - protest w szpitalach powiatowych” organizowany przez Ogólnopolski Związek Pracodawców Szpitali Powiatowych. Celem akcji jest pokazanie, że obecna polityka finansowania ochrony zdrowia - brak rozliczeń za 2025 rok, ograniczanie środków na leczenie i diagnostykę oraz zaniżone wyceny - doprowadza szpitale powiatowe do załamania.

”

Wygląda na to, że Mateusz Morawiecki testuje cierpliwość prezesa do granic możliwości

Radosław Sikorski wicepremier, minister spraw zagranicznych

Nowa rada prezydenta. Skład wywołuje kontrowersje

Adam Kielar
Warszawa

Prezydent Karol Nawrocki powołał Radę Nowych Mediów. Jej skład wzbudził kontrowersje wśród komentatorów. Szczególnie obecność w tym gronie Pawła Swinarskiego oskarżanego o szerzenie rosyjskiej dezinformacji.

Do głównych zadań Rady będzie należało wspieranie działań głowy państwa w obszarze transformacji cyfrowej, funkcjonowania rynku medialnego, wyzwań związanych z rozwojem nowych technologii oraz edukacji medialnej, informacyjnej i cyfrowej.

Samo powołanie takiego ciała pewnie nie wzbudziłoby większych kontrowersji, prezydent Karol Nawrocki powołał już kilka takich rad, jednak wielu komentatorów zwróciło uwagę na jej skład.

Jedną z postaci, która została powołana w skład Rady Nowych Mediów, jest Paweł Swinarski (Svinarski), z kanału na YouTube o nazwie „Dla Pieniędzy”, a także jego partnerka Urszula Grotyńska.

We wrześniu 2025 roku, gdy nad Polskę nadleciały rosyjskie drony, sugerował on, że była to „ukraińska prowokacja”. Jego film został użyty przez Sztab Generalny Wojska Polskiego oraz NASK jako przykład szerzenia rosyjskiej dezinformacji.



FOT. PRZEMYSŁAW KELER / KPRP

Minister Adam Andruszkiewicz (po lewej) wręczył powołanie do Rady Pawłowi Swinarskiemu

Kwestionował on także zbrodnie wojenne dokonane przez Rosję w Buczy na Ukrainie.

Dziennikarz Jakub Wiech przypomniał, że według opublikowanego przez Swinarskiego wywiadu połączenie Orlenu z PGNiG, które miało miejsce w 2022 roku, miało służyć „wyprzedaży polskich złóż cudzoziemcom”.

Z kolei w 2015 roku w jego mieszkaniu zlikwidowano plantację marihuany.

Fala oburzenia wobec Rady Nowych Mediów

Powołanie Swinarskiego do Rady wzbudziło falę krytycznych komentarzy, nie tylko ze strony obozu rządzącego.

„Prezydent Nawrocki powołuje do Rady ds. Nowych Mediów człowieka, przed którym ostrzegał NASK i Sztab Generalny WP - za prorosyjskie i dezinformujące treści. Rada ds. Nowych Mediów? Bardziej wygląda na Radę ds. ruskiej narracji” - napisał rzecznik rządu Adam Szałapka.

„Svinarski, którego dziś powołano do Rady Nowych Mediów przy Prezydencie RP, już dawno temu wpisywał się w rosyjską dezinformację, promując np. tropy dotyczące rzekomych wielkich złóż w okolicach kluczowego dla naszej obronności Przesmyku Suwalskiego. To m.in. te tropy narracyjne służyły do uderzania w naszych sojuszników z NATO

(USA) i podważały zasadność budowy baz na wschodniej flance, budując wizję rzekomej grabieży” - napisał Wojciech Mucha z „Gazety Polskiej”.

„Czyli teraz kwestionujemy rosyjską zbrodnię w Buczy, przekroczenie polskiej przestrzeni powietrznej za każdym razem nazywamy ukraińską prowokacją, idziemy w populizm i tworzymy media, w którym jedna osoba zna się na wszystkim (a tak naprawdę nie). To ja podziękuję. Strzał w stopę z tym Swinarskim” - ocenił Bartłomiej Wypartowicz z portalu Defence24.

„Brakuje jeszcze Atora” - drwił lider partii Razem Adrian Zandberg.

Krzysztof „Ator” Woźniak to kontrowersyjny YouTuber, znany z szerzenia teorii spiskowych.

Oprócz Swinarskiego w skład Rady Nowych Mediów weszli: Klaudia Cymanow-Sosin, Angelika Badan, Magdalena Baranowska, Michał Białek, Marcin Czapliński, Łukasz Gabler, Karol Gac, Agata Górnicka, Urszula Grotyńska, Marcin Kędryna, Emil Kędzierski, Łukasz Korus, Weronika Kostrzawa, Michał Lewandowski, Eryk Mistewicz, Ewelina Nycz, Anna Pawelec, Kamila Pietrzak, Klaudia Rosińska, Mikołaj Smerczyński, Tomasz Trzaska, Jakub Turowski, Patryk Wachnik, Łukasz Widuliński, Mateusz Wiktorowicz i Rafał Ziemkiewicz.

Wyrok Trybunału Sprawiedliwości: Sąd może uwzględnić przedawnione roszczenie banku o zwrot kapitału

Karolina Wrońska
Bruksela

W wyjątkowych i uzasadnionych przypadkach sąd może uwzględnić przedawnione roszczenie banku o zwrot kapitału kredytu - orzekł w czwartek Trybunał Sprawiedliwości UE.

TSUE w wydanym wyroku odpowiedział na pytania Sądu Okręgowego w Warszawie dotyczące przedawnienia roszczeń

banku o zwrot kapitału po stwierdzeniu nieważności umowy kredytowej indeksowanej do franka szwajcarskiego ze względu na zawarte w niej nieuczciwe postanowienia.

Trybunał orzekł, że nieuwzględnienie upływu terminu przedawnienia roszczenia banku powinno być poprzedzone „wyważeniem przez sąd interesów stron postępowania, dokonanym na podstawie obiektywnych kryteriów ustawowych i wzięciem pod uwagę m.in. dłu-

gości terminu przedawnienia, okresu między upływem tego terminu a dochodzeniem roszczenia oraz przyczyn, dla których wierzyciel nie wystąpił z roszczeniem”.

-To konieczność o darmowych mieszkaniach - w ten sposób Związek Banków Polskich skomentował czwartkowy wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE.

Zdaniem Związku Banków Polskich, „sprawiedliwości stało się zadość”. Jak relacjonuje ZBP, w pierwszej sprawie Trybunał

potwierdził, że prawo UE nie stoi na przeszkodzie takiemu podejściu, zgodnie z którym bank może skutecznie dochodzić zwrotu kapitału także wtedy, gdy wystąpił z pozwem jeszcze przed prawomocnym zakończeniem sprawy o nieważność umowy. „Rozstrzygnięcie to wzmacnia pewność obrotu i potwierdza, że ochrona konsumenta nie może prowadzić do pozbawienia jednej ze stron realnej możliwości dochodzenia jej roszczeń?” - podkreślił ZBP.

REKLAMA

0011509250

GPI.6840.28-50.2024

**BURMISTRZ PRZEMKOWA**

ogłasza

1) II ROKOWANIA na sprzedaż lokalu użytkowego położonego w Przemkowie przy ul. Plac Wolności 20/1u na działce nr 620/2 o powierzchni 373 m², KW LE1G/00027964/1

Powierzchnia użytkowa lokalu: 64,35 m²

Cena wywoławcza: 150.000,00 zł

Zaliczka: 7.500,00 zł

Termin przeprowadzenia rokowań: 18 maja 2026 r. o godz. 9.00

2) II ROKOWANIA na sprzedaż lokalu mieszkalnego położonego w Przemkowie przy ul. Zamkowej 3/4 na działce nr 523 o powierzchni 720 m², KW LE1G/00031469/2

Powierzchnia użytkowa lokalu: 20,18 m²

Cena wywoławcza: 46.000,00 zł

Zaliczka: 2.300,00 zł

Termin przeprowadzenia rokowań: 18 maja 2026 r. o godz. 10.00

3) I ROKOWANIA na sprzedaż lokalu mieszkalnego położonego w Przemkowie przy ul. Nowej 5/1 na działce nr 548/1 o powierzchni 107 m², KW LE1G/00035225/8

Powierzchnia użytkowa lokalu: 30,95 m²

Cena wywoławcza: 45.000,00 zł

Zaliczka: 2.250,00 zł

Termin przeprowadzenia rokowań: 18 maja 2026 r. o godz. 11.00

4) I PRZETARG ustny nieograniczony na sprzedaż lokalu mieszkalnego położonego w Przemkowie przy ul. Szkolnej 4/3 na działce nr 38/1 o powierzchni 1630 m², KW LE1G/00057313/2

Powierzchnia użytkowa lokalu: 36,20 m²

Cena wywoławcza: 45.000,00 zł

Wadium: 2.250,00 zł

Termin przeprowadzenia przetargu: 18 maja 2026 r. o godz. 12.00

Termin wpłaty wadium, zaliczki oraz złożenia zgłoszenia: najpóźniej do dnia 14 maja 2026 r.

Rokowania i przetarg zostaną przeprowadzone w siedzibie Urzędu Miejskiego w Przemkowie przy ul. Plac Wolności 25 – sala sesyjna (pokój nr 27).

Zaliczkę oraz wadium należy wpłacić na konto Urzędu Miejskiego w Przemkowie nr 67 1610 0048 2000 0500 0101 0015 w SGB-Bank S.A. Przemków z podaniem położenia lokalu w tytule wpłaty. Za datę wniesienia zaliczki oraz wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek Urzędu Miejskiego.

Pełną informację dotyczącą nieruchomości oraz rokowań i przetargu zawiera ogłoszenie wywieszane na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Przemkowie przy ul. Plac Wolności 25 oraz na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Przemkowie

(<https://umprzemkow.bip.gov.pl> zakładka: Przetargi – sprzedaż). Dodatkowe informacje można uzyskać w pokoju nr 30 tut. Urzędu lub telefonicznie (76) 8320 480.

Burmistrz Przemkowa zastrzega sobie prawo odwołania rokowań i przetargu z ważnych powodów oraz prawo zamknięcia rokowań i przetargu bez wybrania nabywcy nieruchomości.

BURMISTRZ
Jerzy Szczupak

AUTOREKLAMA

strefa
BIZNESU.pl

Know-how
w dobrym biznesie

strefabiznesu.pl

Koniec zwolnień z sankcji na rosyjską i irańską ropę

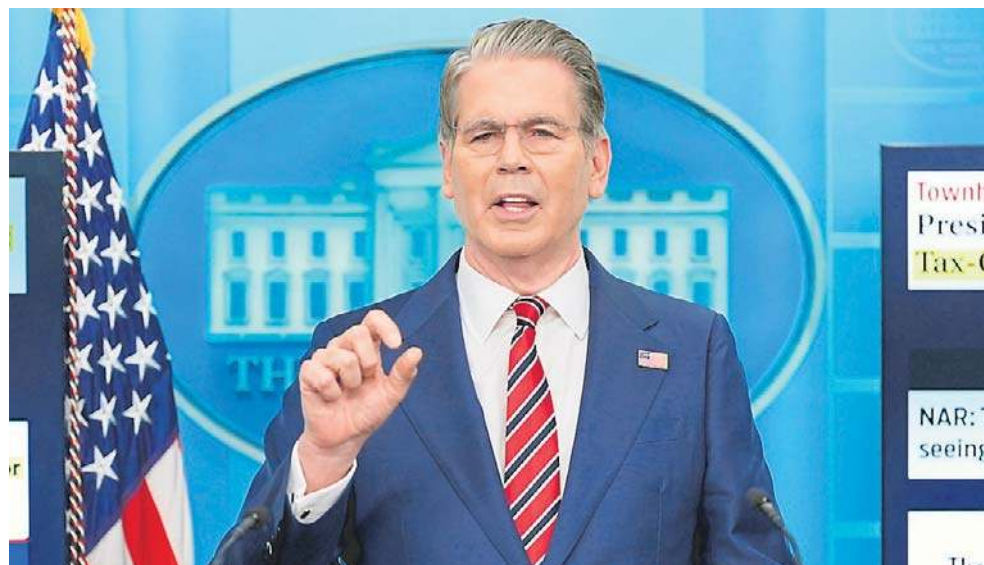
oprac. Anna Nagel
Waszyngton

Minister finansów USA Scott Bessent zapowiedział, że tymczasowe zwolnienia z sankcji na sprzedaż irańskiej i rosyjskiej ropy naftowej, transportowanej drogą morską, nie zostaną przedłużone.

Scott Bessent mówił podczas środowego briefingu w Białym Domu o działaniach ekonomicznych przeciwko Iranowi, które określił nazwą „ekonomicznej furii”. Jak powiedział, USA zwróciły się do sojuszników z regionu Zatoki Perskiej, by zamroziły konta irańskich urzędników państwowych i dowódców Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, i są skłonne nałożyć sankcje wtórne na podmioty prowadzące interesy z Iranem.

W tym kontekście poinformował, że jego resort wysłał dwa listy do chińskich banków, grożąc im takimi sankcjami, jeśli okaże się, że prowadzą one transakcje z Iranem. Oceniał też, że trwająca od dwóch dni blokada irańskich portów uniemożliwia Chinom dalszy zakup ropy z Iranu. Towarzystwo Bessentowi rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt odmówiła odpowiedzi na pytanie o to, jak długo potrwa blokada.

Bessent potwierdził, że tymczasowe zwolnienia z sankcji, obejmujących sprzedaż rosyjskiej i irańskiej ropy załadowanej na tankowce, nie zostaną



Sekretarz skarbu USA Scott Bessent mówił podczas środowego briefingu prasowego w Białym Domu o działaniach ekonomicznych przeciwko Iranowi

przedłużone. Licencja dotycząca rosyjskiej ropy wygasa już 11 kwietnia, zaś irańskiej wygasa 19 kwietnia. Bessent sugerował, że ładunki surowca, zwolnione z sankcji, zostały już sprzedane.

Operacja „Gospodarcza Furia”

Amerkański Urząd ds. Kontroli Aktywów Zagranicznych (OFAC) ogłosił w środę sankcje na kolejne podmioty związane z Iranem i terroryzmem.

Restrykcjami objęto trzy osoby fizyczne, 17 osób prawnych i dziewięć statków, płynących pod banderami Panamy,

Mozambiku i Kamerunu - wyznika z komunikatu opublikowanego na stronie internetowej OFAC.

Ministerstwo skarbu USA ze swej strony podało, że sankcje nałożono w ramach operacji „Gospodarcza Furia” (operacja militarna przeciwko Iranowi ma kryptonim „Epicka Furia”).

Jak poinformowano, restrykcje dotknęły siatki przemytu ropy, zarządzanej przez irańskiego potentata transportowego Mohamada Hosejna Szamkaniego, syna byłego sekretarza generalnego irańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego Alego Szamkaniego, który zginął w trakcie amerykańskiego ataku na przelomie lutego i marca br.

OFAC nałożył też sankcje na podmioty związane ze schematem prania pieniędzy z wenezuelskiego złota, prowadzonym przez Hezbollah, z którego korzyści czerpie irańskie wojsko.

„Ministerstwo skarbu (finansów - PAP) intensywnie wdraża »Gospodarczą Furię«, obierając za cel elity reżimu, takie jak rodzina Szamkanich, które próbują bogacić się kosztem irańskiego narodu” - oświadczył minister finansów Scott Bessent. Zapowiedział, że resort będzie nadal blokował irańskie siatki przemysłowe i terrorystyczne. PAP

Europa ma plan awaryjny dla NATO? Sojusz musi być gotowy na wycofanie przez Trumpa USA

Kazimierz Sikorski
Berlin

Plan awaryjny ma zapewnić Europie możliwość obrony przy użyciu istniejących struktur NATO, gdyby USA opuściły sojusz.

Urzednicy pracujący nad planami, które niektórzy określają mianem „europejskiego NATO”, dążą do zwiększenia liczby Europejczyków w rolach dowódców sojuszu oraz uzupełnienia amerykańskich zasobów wojskowych o własne.

Plany - realizowane nieformalnie poprzez dyskusje w ramach Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego i wokół niej - nie mają na celu konkutowania z obecnym sojuszem, jak twierdzą uczestnicy.

Europejscy urzednicy dążą do zachowania odstraszonego



Friedrich Merz chce uniezależnienia od USA

wplywu Rosji, ciągłości operacyjnej i wiarygodności nuklearnej, nawet jeśli Waszyngton wycofa siły z Europy lub odmówi jej obrony. Plany, opracowane po raz pierwszy w 2025 roku, podkreślają skalę europejskich obaw o wiarygodność

USA. Przyspieszyły one po tym, jak Trump zagroził odebraniem Danii Grenlandii i zyskują na znaczeniu w obliczu impasu wywołanego odmową Europy poparcia amerykańskiej wojny w Iranie.

Polityczna zmiana w Berlinie wzmocniła impet. Przez dekady Niemcy sprzeciwiały się francuskiemu apelowi o większą europejską suwerenność w obronie, wołając utrzymać Amerykę jako gwaranta bezpieczeństwa europejskiego.

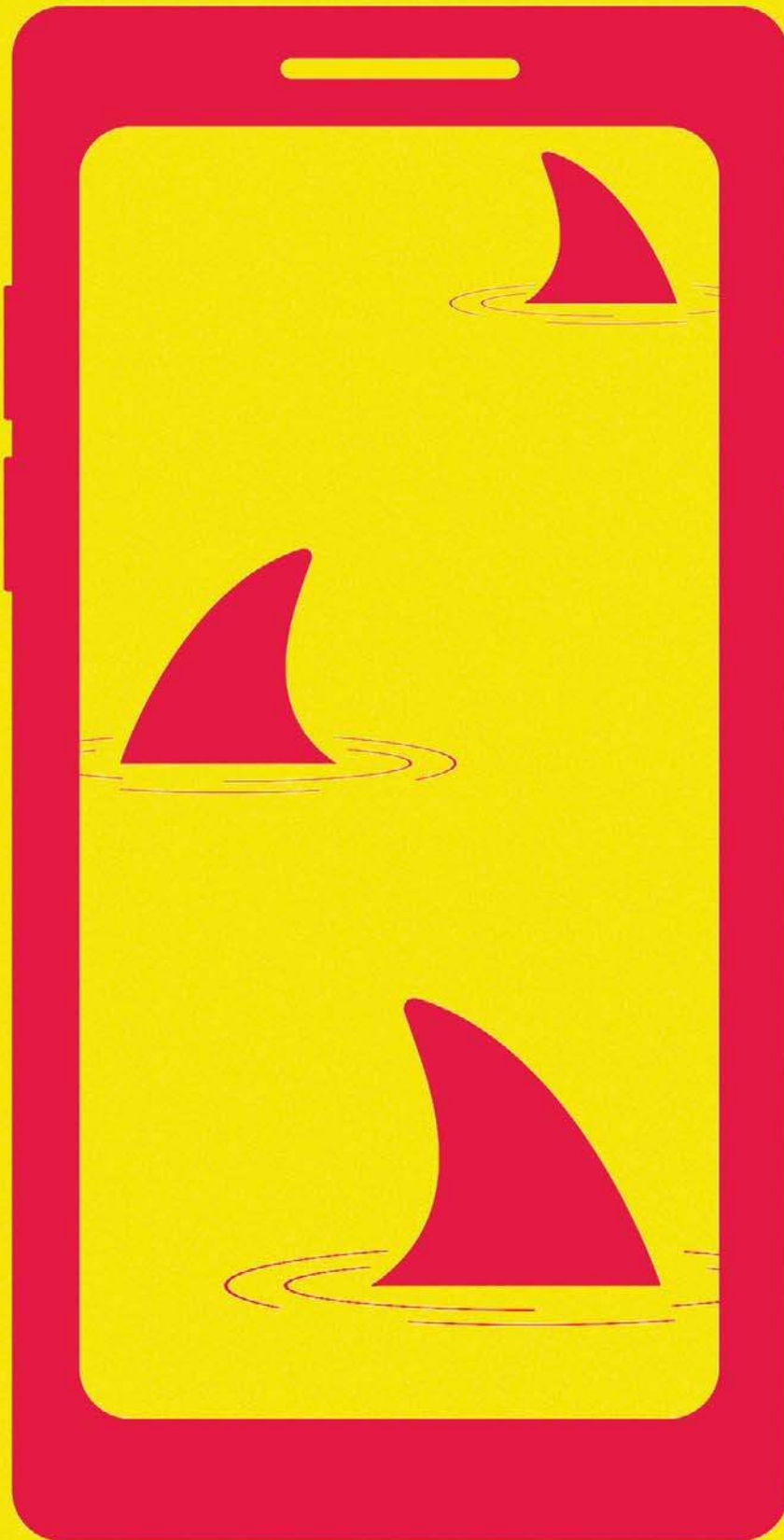
Sytuacja ta ulega zmianie pod rządami kanclerza Friedricha Merza z powodu obaw o wiarygodność USA jako sojusznika. Wyzwanie jest ogromne. Struktura NATO opiera się na amerykańskim przywództwie, od logistyki i wywiadu po najwyższe dowództwo wojskowe sojuszu. Europejczycy starają się teraz

wziąć na siebie więcej obowiązków, czego od dawna domagał się Trump.

„Sojusz będzie »bardziej europejski« - mówił niedawno jego sekretarz generalny Mark Rutte. Różnica polega na tym, że Europejczycy podejmują kroki nie z własnej inicjatywy, a z powodu rosnącej wrogości Trumpa.

Ostatnio Trump nazwał europejskich sojuszników „tchórzami” i nazwał NATO papierowym tygrysem, dodając - odnosząc się do prezydenta Rosji - „Putin też o tym wie”. - Przeniesienie ciężaru ze Stanów Zjednoczonych na Europę trwa i będzie kontynuowane... w ramach strategii obronnej i bezpieczeństwa narodowego USA - mówił prezydent Finlandii Alexander Stubb, jeden z liderów zaangażowanych w te plany.

Cyfrowa zmora seniora



PULS
#212



Butelki z kaucją i puszki aluminiowe nie trafiają już do samorządów. Spółki komunalne nagle straciły dopływ pieniędzy z tego tytułu. Coraz częściej słychać głosy, że skończy się to podwyżką opłat za odbiór odpadów

JAK PRZECHYTRZYĆ AUTOMAT W SYSTEMIE KAUCYJNYM

Klienci w całej Polsce narzekają na działanie systemu kaucyjnego. Ale można ułatwić sobie życie, jeśli zna się zasady. Niektórzy nawet sporo zarabiają.

Matylda Witkowska

Pana Grzegorza z Łodzi system kaucyjny doprowadził niedawno na skraj załamania nerwowego. Początkowo Łodzianin do pomysłu zbierania opakowań był pełen zapału. Przez kilka tygodni pieczołowicie odkładał butelki i puszki, by przy okazji zakupów zawieźć je do najbliższego supermarketu. - Butelki i puszki składowałem w worku na balkonie. Gdy zaczęły się wysypywać, zabrałem worek i pojechałem do osiedlowej Biedronki - opowiada pan Grzegorz.

Niestety automat w supermarketcie z jakiegoś powodu był nieczynny, podobnie jak pozostałe na jego osiedlu. Pan Grzegorz próbował szczęścia w kilku miejscach, ale wszędzie coś było nie tak.

- Mnóstwo osób oddaje na naszym osiedlu butelki, nawet automaty w supermarketach nie są w stanie ich pomieścić. Natomiast w Żabce butelkomat jest chyba wielkości lodówki, miejsce w nim robi się przez chwilę, potem ludzie się rzucają z butelkami i znów jest pełen, i odmawia przyjmowania - opowiada Łodzianin.

W końcu dzień przed świętami automat w Biedronce nagle zadziałał. - Ucieszyłem się jak dziecko, pobiegłem do domu po mój worek z balkonu, wróciłem do sklepu, wrzuciłem butelki i dostałem paragon. Wyszło 19 zł, więc całkiem niemało - opowiada Łodzianin.

Po świętach chciał wykorzystać voucher na zakupy, ale okazało się, że kasa zupełnie go nie widzi.

- Na miejsce został wezwany kierownik, okazało się, że automat drukuje paragony z błędem i system kaucyjny w ogóle ich nie widzi. Po debacie pieniądze wypłaciła mi kasjerka. A automat znowu został wyłączony - opowiada pan Grzegorz.

Tu awaria, tam kolejka

Panu Dariuszowi z Łęczycy na myśl o butelkomatach też podnosi się ciśnienie. - Miałem już pełen bagażnik toreb z plastikowymi butelkami, wciąż dochodziły nowe, a nie miałem gdzie oddać. W tym tygodniu oddałem je w jednej z Biedronek, gdzie automat działał. Wcześniej jednak wykonałem po marketach pięć kursów samochodem na diesla, więc nie wiem czy na tym właśnie ma polegać ekologia - mówi.

Problemy z oddaniem butelek miał też pan Andrzej z Pabianic. - W jednym sklepie w Pabianicach automat zamknięty, bo była „awaria”, w drugim okazało się, że „nie przyjmuje butelek”. W trzecim automat działał, ale stało przed nim kilkanaście osób, każda z workiem butelek za kilkadziesiąt złotych. Pojechałem do Dino, w którym nie ma automatu i ekspedientki przyjmują butelki ręcznie, i w końcu się udało - relacjonuje.

Pan Andrzej zwraca uwagę na problemy z czystością: - Przed automatami ciągle coś jest rozlane, pracownicy sklepów nie nadążają ze sprzątnięciem. Problemem są też butelki z resztkami napojów w domach. Już myślę o tym, jak latem do takich butelek będą zlatywać się muchy.

Pracownicy marketów też nie kochają systemu kaucyjnego. Dla nich obsługa automatów to dodatkowy obowiązek i konieczność wysłuchiwanie skarg klientów. Natomiast mniejsze sklepy w większości butelek nie przyjmują.

- Nie mam miejsca na składowanie butelek, nie chce mi się też wbić tych butelek do systemu. Na te kilka oranżad i wód mineralnych, które sprzedaję, nie opłaca się tego robić - mówi drobny sklepikarz z Łodzi.

Codzienny absurd życia Polaków

Dystans Polaków wobec systemu kaucyjnego potwierdził opublikowany w marcu sondaż IBRIS dla „Rzeczpospolitej”. Wynika z niego m. in., że ponad połowa Polaków (50,5 proc.) ocenia system źle, a prawie połowa (48,1 proc.) w ogóle z niego nie korzysta.

Na to badanie powołali się działacze Konfederacji, którzy w zeszłym tygodniu do biur Koalicji Obywatelskiej w całej Polsce przynieśli worki pełne zebranych opakowań kaucyjnych. - System kaucyjny stał się codziennym absurdem życia Polaków. Polacy zostali zmuszeni do życia jak śmieciarze, którzy na zakupy udają się z workami butelek - mówiła w Łodzi Paula Poreda z Nowej Nadziei. W biurze KO tak nie myślano - pracownicy odebrali butelki i podziękowali za obywatelską postawę.

System kaucyjny wprowadzono w Polsce w październiku ubiegłego roku, by osiągnąć unijne poziomy recyklingu butelek. Do 2030 roku co najmniej 90 proc. jednorazowych plastikowych butelek i metalowych puszek na napoje powinno trafiać do recyklingu. Te wymagania nie zostały wprowadzone bez powodu. Z jednej strony mają zmniejszyć ilość śmieci, które trudno się rozkładają, z drugiej - zmniejszyć zużycie surowców. Recykling ma też zmniejszyć ilość groźnego mikroplastiku w środowisku - choć butelki nie stanowią jego głównego źródła.

Operatorzy systemu i sklepy podkreślają, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, bo system się „dociera” i z każdym miesiącem będzie łatwiej. Parę pomysłów na ułatwienia podsunął pod koniec lutego na IV Kongresie Miast i Biznesu w Pabianicach. Prelegenci przypomnieli, że istnieją takie rozwiązania jak np. montaż przez gminy butelkomatów przy popularnych deptakach czy plażach obok koszy na śmieci.

- Prosimy o cierpliwość. Ten system jest potężny, dotyczy kilkunastu miliardów opakowań. Te opakowania pojawiły się teraz masowo na półkach, wymagają oddania i odbierania przez operatora. Nie wszystkie urządzenia zostały uruchomione, jest dużo zbiórki manualnej, ale z czasem będzie ona zastępo-

wana przez maszyny - mówiła nam podczas kongresu Magdalena Markiewicz, prezes zarządu spółki PolKa Polska Kaucja, która jest jednym z operatorów systemu.

Wracają zbieracze surowców wtórnych

Tymczasem Polacy powoli przyzwyczajają się do systemu kaucyjnego, a niektórzy nawet się z niego cieszą. Do Łodzi po wielu latach wrócili zbieracze surowców wtórnych ze śmietników, których Polska ćwierć wieku temu poznała za sprawą filmu „Edi”. Osoby grzebiące w śmietnikach - dziś już zwykle w jednorazowych rękawiczkach - można codziennie spotkać na przystanku Piotrkowska Centrum, a także na wielu osiedlach w całej Polsce.

Rekordziści zbierają naprawdę ładne pieniądze. Obecny rekord należy do klienta z Wrocławia, który w marcu przyniósł do tamtejszej Biedronki... 807 opakowań i otrzymał voucher na zakupy za 403,50 zł. To jednak prawdopodobnie nie koniec, bo rekordy zwrotów z miesiąca na miesiąc rosną.

Biedronka, która przekroczyła w marcu liczbę 2000 czynnych butelkomatów, zapewnia, że butelki zwrótne przyjmowane są we wszystkich sklepach, choć okresowo w czasie dużego natężenia ruchu automaty mogą być przeciążone. Wśród powodów są też te powstające z winy klientów, np. wkładanie brudnych lub nieopóźnionych opakowań.

- Wszystkie sklepy Biedronka, w których sprzedawane są produkty objęte systemem kaucyjnym, prowadzą ich zbiórkę - zarówno w sposób automatyczny (recykloboksy), jak i manualny (recykloboksy), w zależności od etapu wdrożenia danego rozwiązania oraz uwarunkowań lokalnych lub nieopóźnionych opakowań.

Natomiast na problem zapchanych automatów jest proste rozwiązanie, o którym mało klientów wie. Każdy sklep o powierzchni ponad 200 mkw. musi przyjąć butelki, a automat jest tylko jedną z opcji. „Jeśli butelkomat nie działa, nie rezygnuj ze zwrotu. Sklep, który ma ustawowy obowiązek przyjmowania opakowań i zwrotu kaucji, powinien przyjąć je również poza automatem i wypłacić należną kwotę” - radzi rządowy portal gov.pl.

Tą samą radę podpowiada nam Biedronka. - W czasie wyłączenia urządzeń z użytku klienci mogą zwrócić opakowania bezpośrednio w sklepie - przy kasach. Obsady sklepów zostały ponownie poinformowane o obowiązku zapewnienia takiej możliwości w przypadku awarii automatu - zapewnia Leszek Dąbrowski.

BRUDY W „CZYSTYM POWIETRZU”. SETKI POKRZYWDZONYCH PRZEZ FIRME Z GOLENIOWA

Setki niezamożnych ludzi w kraju uwierzyło firmie PV Technik z Goleniowa, która w ramach programu „Czyste Powietrze” miała im zrobić termomodernizację domów. Nie zrobiła nic albo mało. A teraz jej klienci - jako beneficjenci umów zawartych z WFOŚiGW - wzywani są do zwrotu prefinansowania. Tyle że pieniądze trafiały na konto firmy...

Małgorzata Oberlan

Śledztwo w tej sprawie wciąż się rozrasta. Początkowo prowadziła je Prokuratura Okręgowa w Szczecinie, bo to z jej regionu pochodzi spółka PV Technik. Już na wstępnym etapie, we wrześniu ub. roku, śledczy informowali o szokującej skali procederu - pokrzywdzonych wówczas przez spółkę miała być ponad setka, a łączna wartość wyrządzonej szkody opiewać miała na kilkadziesiąt milionów złotych (sic!).

Do przestępstw miało docho- dzić od 2022 r. do grudnia 2024 r. Jak informowała we wrześniu rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Szczecinie, firma z woj. zachodniopomorskiego, jako wykonawca, zawierała umowy z beneficjentami programu na prace termomodernizacyjne budynków mieszkalnych oraz wymianę źródeł ciepła. - W sprawie ustalono, że zachowanie sprawcy polegało przede wszystkim na wyłudzeniu środków pieniężnych na szkodę beneficjentów programu, np. poprzez wprowadzenie w błąd co do możliwości faktycznego zrealizowania inwestycji - przekazała.

Dość szybko jednak nadzór nad tą sprawą przejęła Prokuratura Europejska. Dlaczego? Bo program „Czyste Powietrze” realizowany jest z Krajowego Planu Odbudowy oraz programu Fundusze Europejskie na Infrastruktura, Klimat i Środowisko. Postępowanie o sygnaturze akt 3040-2.Ds.55.2025, dotyczące sprzeniewierzenia środków Unii Europejskiej, trafiło do Biura Delegowanego Prokuratora Europejskiego przy Prokuraturze Regionalnej w Katowicach. Tyle formalności. A co dzieje się w praktyce? Śledczy działają, a setki pokrzywdzonych żyją w strachu. Tak, jak starsi i schorowani rodzice pani Anny z po-



Klienci firmy PV Technik mieli mieć wymienione stare piece, wykonane termomodernizacje domów. A mają jedynie wielki problem finansowy/zdjęcie ilustracyjne

wiatu radziejowskiego w Kujawsko-Pomorskiem. - Boją się, że WFOŚiGW w Toruniu nakaże im zwrot prefinansowania termomodernizacji, której firma PV Technik z Goleniowa u nich w domu nie wykonała. Zaliczkę z funduszu jednak dostała. To ponad 60 tys. zł. Moi rodzice na oczy takich pieniędzy w życiu nie widzieli - mówi pani Anna.

Na przykładzie tych seniorów można prześledzić mechanizm, który doprowadził do wielu dramatów w kraju. Historię zrelacjonowała nam ich córka, przedstawiając także do wglądu korespondencję urzędową.

Pan Dawid jak anioł

Rodzice pani Anny mieszkający w pow. radziejowskim przyjęli przedstawiciela firmy PV Technik z Goleniowa w swoich skromnych progach 16.02.2024 r. Udawał przejętego ich niezamożnością i zapewniał, że wymiana starych pieców na pompę ciepła zostanie w ich przypadku w 100 proc. dofinansowana. Mówił, że „państwo polskie wymyśliło ten program specjalnie dla nich, a firma PV Tech-

nik postanowiła wyjść naprzeciw takim ubogim ludziom jak oni”. - Pan Dawid był bardzo miły i przyjazny. Zapewniał, że obchodzi go nasz los. Wielokrotnie powtarzał, że ja i moja żona tylko na tym „Czystym Powietrze” skorzystamy i nie poniesiemy żadnych kosztów. A będziemy mieć założoną pompę ciepła i panele słoneczne, wymienione okna i drzwi, ocieplony dom - tak relacjonuje przebieg tej wizyty ojciec pani Anny.

Mężczyzna ma bardzo skromną emeryturę, a dochodem jego żony ostatnio był tylko zasiłek z miejscowego GOPS-u. Oboje od lat żyją na wsi bardzo skromnie, do tego są schorowani. Sama wizja tego, że na stare lata przestaną dźwigać wiaderka z węglem i palić w piecach - i to wszystko za darmo! - jawiła się jak cud. O wymianie okien i drzwi czy panelach słonecznych nawet nie marzyli. Trudno im zatem było uwierzyć, że teraz w Polsce dzieją się takie rzeczy.

Nieprzekonanych zaletami oferowanej umowy pan Dawid

podchodził zatem z drugiej strony - zmieniając marchewkę na kij. - Powtarzał nam, że jeśli nie skorzystamy z „Czystego Powietrza”, to za chwilę będziemy płacić kary za używanie starych pieców. I że to ostatni moment - relacjonuje senior z powiatu radziejowskiego.

Umowa zawarta

Takich „panów Dawidów” w całym kraju była armia. Przedstawiciele firmy PV Technik z Goleniowa działali od Bałtyku aż po Tatry. Wiadomo to dzięki grupom w Internecie (typu „Oszukani przez PV Technik”), a także reportażom telewizyjnym i prasowym. O ogólnopolskim wymiarze sprawy od początku mówiła też prokuratura.

A co wydarzyło się później w domu rodziców pani Anny? Seniorzy zostali zmanipulowani skutecznie. Podpisali też podsunięty im przez pana Dawida wniosek i tym sposobem stali się beneficjentami umowy zawartej z WFOŚ w Toruniu. Dokładnie 5.08.2024 r. dostali SMS-a z informacją, że urząd wypłacił PV Technik zaliczkę

w wysokości 60 tys. 350 zł. Co ciekawe - i powtarzalne w tych scenariuszach - pan Dawid założył nawet seniorom pocztę mailową, by mogli dopełnić formalności. Taki był pomocny...

Ciąg dalszy? Niewykonana termomodernizacja (po montażu jedynie wyłożono watą strop domu), wydzwanianie i brak kontaktu z firmą. Wreszcie, po konsultacjach z rodziną, próba wypowiedzenia umowy i zgłoszenie sprawy do miejscowej prokuratury. Ta przekazała ją do Szczecina, informując, że postępowanie ma sygnaturę akt 3040-2.Ds.55.2025 (stąd wiemy, jak i inni, że śledztwo tej właśnie firmy dotyczy - prokuratura w komunikatach nazwy spółki nie wymienia).

- Ja o wszystkim dowiedziałam się od rodziców dopiero po jakichś 3 miesiącach od zawarcia przez nich umowy - mówi pani Anna, mieszkająca w dużym mieście Kujawsko-Pomorskiego. - Gdy okazało się, że obiecanej termomodernizacji nie ma, zaczęłam, oczywiście, działać. Kontakt z firmą praktycznie nie było. Potem pojawiły się informacje, że ogłosiła upadłość. Byłam coraz bardziej przerażona, znajdując w internecie grupy pokrzywdzonych i relacje tych, którzy już w kraju byli wzywani przez WFOŚiGW do zwrotu prefinansowania, czyli tych tysięcy złotych wcześniej trafiających na konto firmy... Nie wszystkie WFOŚiGW tak robią - zależy chyba od regionu, ale jednak to się jednak dzieje.

Narodowy Fundusz: „Nie jesteśmy stroną”

Według dostępnych wszędzie informacji program „Czyste Powietrze” realizowany jest przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Tak też w komunikacie zaznaczyła prokuratura. Pani Anna zatem - w imieniu swojego ojca - do NFOŚiGW skierowała wystąpienie dotyczące nieuczciwych działań firmy PV Technik z Goleniowa. Odpowiedzi udzielił jej ojcu (na piśmie) Witold Retke, zastępca dyrektora Departamentu „Czystego Powietrza” w Funduszu.

Poinformował, że „sprawami związanymi z obsługą wniosków i oraz kontaktem z beneficjentami zajmują się WFOŚiGW”. Stąd kierunek: Toruń. To z tamtejszym oddziałem mężczyzna „utrzymywał kontakt”. Pan wicedyrektor wskazał, że jeśli wykonawca (tu: firma z Goleniowa) nie wykonał umowy, to sprawę trzeba skierować na drogę postępowania cywilnego. A jeśli jest podejrzenie popełnienia przestępstwa, należy zawiadomić śledczych. „Występując do prokuratury rozpoczął Pan proces zadbania o swoje interesy” - pochwalił seniora w piśmie urzędnik. - NFOŚiGW nie jest stroną umowy zawartej między beneficjentem a wykonawcą. Dlatego obecnie nie dysponujemy narzędziami

prawnymi, które pozwalałyby nam skutecznie ingerować w sytuacji niewykonania lub nienależytego wykonania takich umów - napisał Witold Retke. Dodając jednocześnie, że Fundusz jako odpowiedzialny za realizację „Czystego Powietrza” - wraz z innymi instytucjami i ministerstwami - pracuje nad zmianami prawnymi, które wesprą poszkodowanych przez nierzetelnych wykonawców. Projekt przewiduje m.in. możliwość zawieszenia ściągania nierozliczonych zaliczek od poszkodowanych beneficjentów. „Podkreślamy, że prace legislacyjne wciąż trwają” - napisał wicedyrektor.

Dramatyczne historie

Pani Anna postanowiła swoich przerażonych i załamanych całą sprawą rodziców sprowadzić ze wsi do siebie. Sama też żyje w strachu - nie wie, skąd miałaby wziąć owe 60 tys. zł zaliczki z Funduszu, jeśli ten wezwie jej ojca do zwrotu pieniędzy w świetle niewykonanej umowy na termomodernizację domu. - W przerażeniu śledzę też historie innych ludzi z całego kraju - podkreśla kobieta.

A tych tylko przybywa. Prezentowane już były w mediach, peczęniej od nich internetowe fora i grupy. Bohaterami tych historii często są ludzie niezamożni, starsi, schorowani, mieszkający w małych miejscowościach. To do tych najmniej zamożnych właśnie kierowali swoją ofertę przedstawiciele firmy PV Technik. Tzw. klienci z grup II i III mogli liczyć na najwyższe dofinansowanie, a co za tym idzie - firma mogła inkasować największe zaliczki (a przynajmniej taki mechanizm wskazują w internetowych opisach wtajemniczeni).

Coraz częściej też pojawia się pytanie o to, „kto na to wszystko pozwolił?”. Mechanizm, w którym to prefinansowanie termomodernizacji z programu dofinansowanego przez UE tak łatwo trafia na konto firmy mającej ją wykonać, a nie do beneficjenta, zaczyna budzić coraz głębsze wątpliwości. Być może jego prawidłowością także zajmie się Prokuratura Europejska.

Bez kontaktu

„Nie odbierają telefonów, nie odpisują na maile, nie odpisują na listy” - skarżą się dziesiątki ludzi w kraju. My również próbowaliśmy skontaktować się z firmą PV Technik Goleniów - telefonicznie, pod numerem dostępnym w internecie. „Wybrany numer jest w tej chwili niedostępny. Po sygnale nagraj wiadomość” - słyszeliśmy wielokrotnie. Przy wizytówce firmy w Google znaleźliśmy natomiast komunikat: „Zamknięte na stałe”. Według relacji ludzi sprzed roku, w firmie zmienił się właściciel i prezes (co jednak kontaktu nie poprawiło). Jaki jest jej status obecnie, trudno określić. ©©

„Diabeł w mundurze” - tak policjanci opisują człowieka, który był ich przełożonym w jednym z najważniejszych wydziałów KWP we Wrocławiu. Zdaniem prokuratury znęcał się nad podwładnymi i przekraczał uprawnienia. Pokrzywdzeni opowiedzieli nam, co przez lata miało dziać się w niejawniej jednostce.

Aneta Kolesińska

NACZELNIK SIAŁ TERROR I GROZĘ. KIPIAŁ FURIA

Dokończenie ze strony 1

Działają przy poważnych, nierzadko wymagających śledztwach, a co najważniejsze, w ukryciu. Nie za biurkiem w komendzie, bo często nawet nie mieli tam wstępu, by nie można ich było powiązać z pracą operacyjną w terenie. Śledzą podejrzanych, zakładają podsłuchy, przenikają do środowisk przestępczych, zdobywając dowody i informacje mało oficjalnymi kanałami. Ich praca jest tajna i bywa bardzo stresująca. Policjant operacyjny, który zostanie przeniesiony do „jawnej” jednostki, jest „spalony”, nie może wrócić na poprzednie stanowisko. Dlatego groźby naczelnika, mówiące o ich zwolnieniu lub przeniesieniu, były przez nich traktowane poważnie.

Początkowo nic nie wskazywało na to, że praca z nim będzie przypominać koszmar. Dał się poznać jako uprzejmy, charyzmatyczny i niezwykle inteligentny człowiek, zawsze chętny do pomocy.

- To jego „miłe” i profesjonalne oblicze, które znają w Komendzie Wojewódzkiej, to fasada. Gdy się pojawiał w naszej jednostce (Ryszard J. pracował w budynku komendy wojewódzkiej, ale czasem odwiedzał swoich podkomendnych w niejawniej siedzibie, przyp. red.), zastanawialiśmy się, w jakim humorze będzie i do kogo lub czego się przyczepi - opowiada Paweł, jeden z byłych funkcjonariuszy. Te słowa potwierdza inny były policjant, Jakub. - Mijaliśmy się na koryta-

rze, rozmawialiśmy normalnie, żartowaliśmy, ale potem coś się zmieniło - mówi. Punktem zwrotnym miało być ukończenie przez Ryszarda J. kursu oficerskiego w Szczytnie.

- Po tym wszystko zaczęło się sypać - mówi Tomasz, kolejny operacyjny, i wyjaśnia: - A gdy został zastępcą naczelnika, atmosfera zmieniła się niemal z dnia na dzień. Koledzy z sekcji, którą wcześniej kierował, ostrzegali nas. Ale my nie wierzyliśmy, uznaliśmy, że przesadzają - wyjaśnia.

Lata upokorzeń

Uwierzyli, kiedy ich przełożony z dnia na dzień coraz bardziej ich dociskał. Według naszych rozmówców słyszeli od niego, że są kłamcami, nieudacznikami nadającymi się tylko do noszenia poczty i przynoszący wstyd całej jednostce. Byli publicznie mieszani z błotem, notorycznie podejrzewani o spisek i umyślne zaniedbania w czasie służby.

- Obrażał nas na odprawach, na indywidualnych spotkaniach, a oskarżenia, często absurdalne, padały niemal codziennie - opowiadają, a Jan precyzuje: - Stres pojawiał się już w niedzielne popołudnie, kiedy człowiek przypominał sobie, że jutro musi iść do pracy. Setki gróźb i wyzwisk sprawiały, że żyłem w ciągłej niepewności, co będzie następnego dnia - mówi. Wspomina, że gdy jeszcze pracował pod dowództwem naczelnika, rozmowy w cztery oczy w jego gabinecie były na porządku dziennym i nigdy nie kończyły się dobrymi wieściami. - Nie

zliczę, ile razy po sesji pełnej krzyków kazał mi się wynosić. Z równowagi wyprowadzał go najmniejszy błąd lub jego zdaniem źle postawione pytanie.

Tymczasem to właśnie zawile pytania szefa i odwracanie narracji najczęściej były powodem ich frustracji i niemocy, nie tylko zawodowej.

„Jak mogliście tego nie wiedzieć?”, „Czemu tego nie przewidziałeś?”, „Kto ci kazał tak zrobić?”. W wielu sytuacjach nie mieli prawa dyskutować. Gdy próbowali, najczęściej padały wyzwiska i groźby o zwolnieniu.

Takie traktowanie trwało latami. Według zarzutów śledczych z Nysy, miał znęcać się nad podwładnymi i nadużywać uprawnień przez blisko dekadę, czyli od 2014 do 2023 r. To, co działo się przez ten czas, nasi rozmówcy nazywają piekłem.

Można by się zastanawiać, jakim cudem policjanci z takiej jednostki, mający specjalistyczną wiedzę i lata doświadczenia w niebezpiecznych sytuacjach, mogli dawać się tak traktować? Wybiegać z płaczem z gabinetu szefa? Rzucić przedmiotami z frustracji, do których ich doprowadzał? Jak mówią: „przy tym człowieku

zwyczajnie połykaliśmy języki”.

„Dochodzą mnie słuchy...”

Pytamy więc o te krzyki, agresję, dociekliwość i sprawdzanie pracy policjantów. Może miał powody? Może rzeczywiście zespół nie pracował, jak powinien? Może ich błędy były rażące, wynikały z zaniedbania, zaniechania? Nasi rozmówcy przyznają, że owszem, błędy się zdarzały, jak wszędzie przy tak dynamicznej i obciążającej służbie, ale irytacja szefa była niewspółmierna do winy i niedopuszczalna w relacji podległości służbowej. Bo często nie chodziło o błąd, tylko o to, by wzbudzić poczucie winy, lęku, niepewności. Jak mówią, ich winą była nawet... pogoda.

- Ganił nas za wszystko, nawet jeśli jakieś potknięcie nie miało żadnych konsekwencji albo nie zależało od nas, jak choćby padający śnieg - tłumaczy kolejny policjant, Wiktor, i wspomina jedną z zimowych podróży służbowym samochodem. Miasto było wręcz zasypane śniegiem. Wszędzie korki. Do jednostki wracali powoli. Finalnie dojechali godzinę później, niż zakładali. - Nie dał so-

bie tego wytłumaczyć, od razu zarzucił nam kłamstwo. Przecież nikt specjalnie nie chce opóźnić akcji. Według niego owszem. Chyba w odwecie kazał nam czekać na siebie kolejną godzinę, by podpisać się na dokumentach.

- Całkowicie straciłem pewność siebie. Jego polecenia były na tyle zwodnicze i niezrozumiałe, że bałem się podjąć decyzję, bo wiedziałem, że mu się jakaś nie spodoba. Z drugiej strony, jak kazał zrobić coś konkretnie, później za to ganił. To było błędne koło - opowiada Wiktor.

Jakub zaś dodaje, że szef wiele razy zapraszał go do siebie i przesłuchiwał, twierdząc, że inni policjanci go nie lubią, nie chcą z nim pracować. Śmieje się ironicznie, bo po czasie to nie robi już na nim takiego wrażenia. Wie, że wszystko, czego się nasłuchał, było wyolbrzymione albo zmyślone. - Gdy zaprzeczałem, pytałem, co dokładnie mówią, groził, że zapisze naganę w swoim zeszycie uwag. „Pan jest niewygodny, nie chcę mieć tu takiego. Szuka pan sobie nowej pracy, czy ja mam panu znaleźć?”, usłyszałem.

Słynny zeszyt uwag pojawia się w opowieściach wszystkich osób, z którymi rozmawiamy. Oficjalnie miał być narzędziem dyscyplinującym, czymś na pograniczu roboczych notatek przełożonego, w czym nie ma nic nadzwyczajnego, ale w praktyce stał się czymś znacznie więcej.

- To nie był zwykły zeszyt. To było narzędzie psychicznego nacisku - mówi jeden z funkcjonariuszy. - Nigdy nie wiedziałeś, co się w nim znajduje i kiedy zostanie użyte przeciwko tobie.

Twierdzą, że to, co znajdowało się w notatkach Ryszarda J., nie zawsze kwalifikowało się do oficjalnych nagan. Określali to jako formę kontroli, a nawet zastraszania. W zeszycie lądowało wszystko, co naczelnik uznawał za dowód ataku, nieposłuszeństwa, były tam też plotki i insynuacje.

- Do końca życia będę pamiętał to jego słynne „docho- dzą mnie słuchy...”, że np. sobie nie radzę, a koledzy nie lubią ze mną pracować. A jak mi się coś nie podoba, to mogę wypisać wniosek o przeniesienie. A gdy to zrobiłem, on to utrudniał. Mówił, że przeniosę się tam, gdzie on chce, a nie tam, gdzie ja - wspomina Jan.

Nazywali go diabłem

Niektórzy wytrzymywali z nim w pracy kilka lat. Inni odchodzili już po miesiącu. Jak wspomina Jan, który ostatecznie rozkaz przeniesienia do jawnej służby dostał bez ostrzeżenia, w ciągu 10 lat pracy przez wydział przewinęło się kilkunastu kierowników. W opinii naszych rozmówców przełożony nie tylko

kontrolował. Dzielił. Jednych chwalił, innych poniżał. Budował nieufność w zespole. Zespół tracił spójność. Funkcjonariusze przestawali sobie ufać, a to, ich zdaniem, dawało przewagę przełożonemu, bo „skłóconym zespołem kieruje się najłatwiej”.

- Czasem z gniewu aż zgrzytała zębami. My na niego mówiliśmy diabeł, natomiast gdyby spotkał się z panią redaktor, byłby najmiłszym człowiekiem na świecie. Kiedyś siedziałem w jego gabinecie i słuchałem jego wrzasków, nagle zadzwonił do niego telefon - opowiada nam Wojciech. - W sekundę zobaczyłem innego człowieka. Nie wiem, gdzie on upchnął całą tę złość, ale odebrał, jak gdyby nigdy nic. Gdy się rozłączył, jechał po mnie dalej.

Sprawdziliśmy i faktycznie. Przez telefon brzmiał uprzejmie. Grzecznie wyjaśnił, że nie może odpowiedzieć na żadne z naszych pytań ze względu na prowadzone postępowanie. Był miły i rzeczowy, zgadzając się na rozmowę dopiero po zakończeniu sprawy.

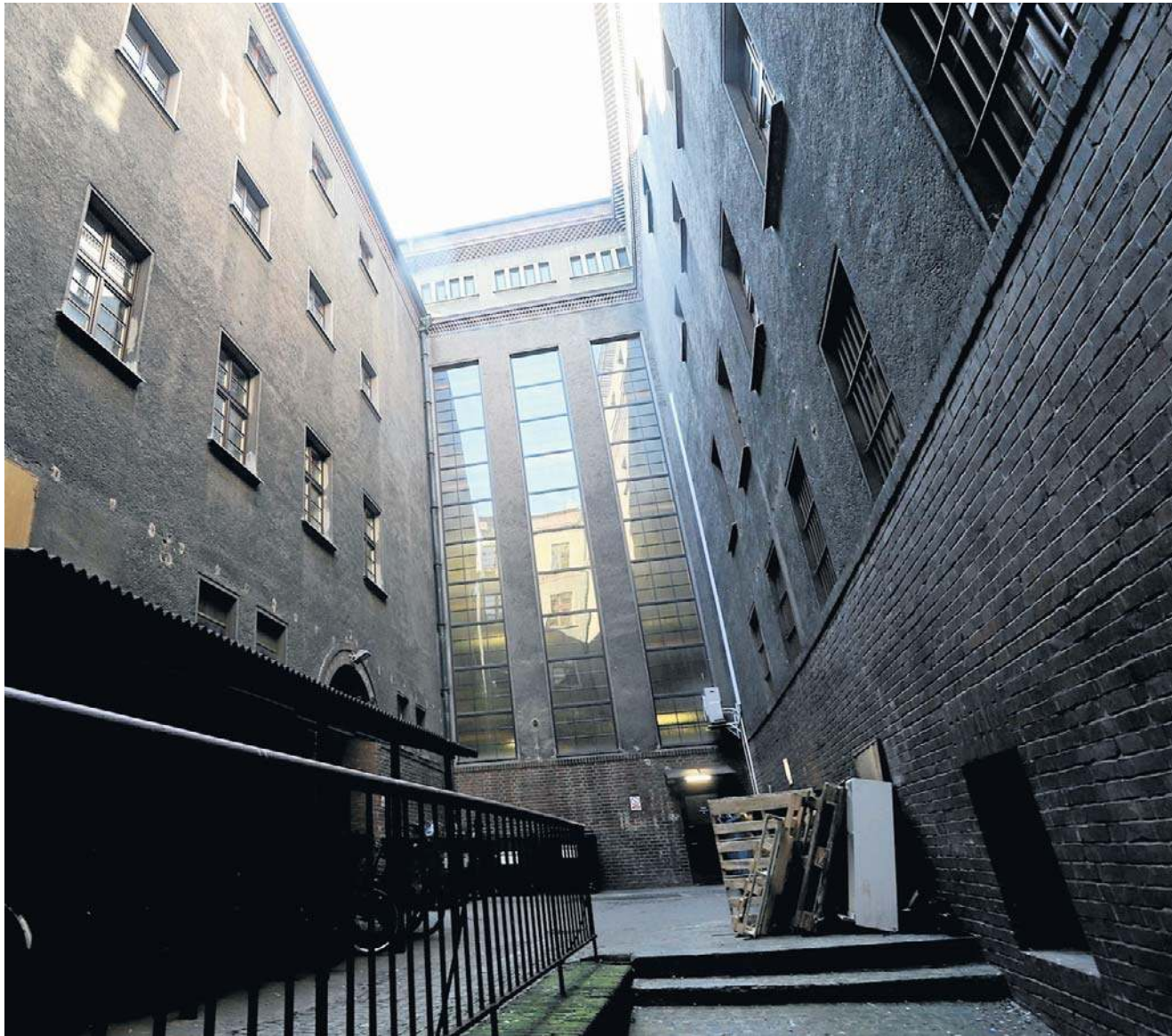
Ta jedna ankieta

Kilka lat temu postanowili działać. Pisali skargi, które poskutkowały przeprowadzeniem ankiet (na zlecenie Komendanta KWP), w których pytano, czy naczelnik stosuje wobec pracowników mobbing. To miał być moment, w którym system zadziała i ochroni tych, którzy uważali się za pokrzywdzonych. Wypełnienie ankiety nigdy nie powinno trafić w ręce osoby, której dotyczą. A jednak trafiły.

- W styczniu 2023 roku, kiedy mieliśmy wypełnić ankietę, ja dodałam jeszcze od siebie to, co myślę o naczelniku. Podzieliłam się swoim kilkuletnim doświadczeniem z nim, napisałam o moich obawach, o dyskryminacji i związanym z nią brakiem awansu - wyznaje Marianna (jedyna kobieta w sekcji). To właśnie ona, po tym jak wypełniła antymobbingowe dokumenty i napisała, co myśli o sposobie zarządzania Ryszarda J., została wezwana na rozmowę do... Ryszarda J. - To był dla mnie szok. To zaprzeczenie zasad antymobbingowych w miejscu pracy. Absurd i poniżenie. To był cios. Naczelnik w złości wyciągnął kartkę, która była częścią mojej ankiety anonimowej i zaczął czytać z niej urywki zapiszków. Takiej kartki nie powinien posiadać i nie wiem, w jaki sposób wszedł w jej posiadanie. Potem na komisji lekarskiej dowiedziałam się, że nie nadaję się do służby i zostałam przeniesiona „dla mojego dobra” - wspomina.

Trafiła do „zwykłej” komendy, co oznaczało koniec pracy w tajnym wydziale. Miesiące stresu spowodowały silną nerwicę. Dla niej sprawa zakoń-

*CZASEM Z GNIEWU AŻ ZGRZYTAŁ
ZĘBAMI. MY NANIEGO MÓWILIŚMY
DIABEŁ, A GDYBY SPOTKAŁ SIĘ
Z PANIĄ REDAKTOR, BYŁBY NAJMIL-
SZYM CZŁOWIEKIEM NA ŚWIECIE*



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Pełnomocnik pokrzywdzonych Małgorzata Dziewońska: - Z perspektywy pokrzywdzonych trudno dwutygodniowe zawieszenie w czynnościach służbowych podejrzanego przez komendanta odczytywać inaczej niż jako sygnał, że ich bezpieczeństwo nie jest priorytetem

czyła się odejściem z pracy wbrew jej woli, gdy na komisji lekarskiej usłyszała, że jest niezdatna do służby.

Zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa Marianna złożyła w sierpniu 2023 roku. W lipcu 2024 Prokuratura Rejonowa Wrocław Stare Miasto umorzyła sprawę. Złożyła zażalenie, które zostało uwzględnione. Śledczy uznali, że istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa. Na pierwszy termin ogłoszenia zarzutów naczelnik się nie stawiał. Na wniosek jego pełnomocnika sprawa została przekazana do Prokuratury Rejonowej w Nysie, gdzie Ryszard J. 27 marca usłyszał zarzuty: z art. 207 kk (znęcanie się fizyczne lub psychiczne), w związku z art. 218 (złośliwe, uporczywe naruszanie praw pracownika) oraz w związku z art. 231 (przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego).

- Myślę, że najwięcej odwagi miała właśnie Marianna, to ona pierwsza ruszyła tę sprawę, składała kolejne wnioski, dzięki temu inni postanowili zeznawać - komentuje Paweł.

Zdaniem poszkodowanych ich szef do ostatniej chwili (przed usłyszeniem zarzutów) zachowywał się butnie i arogancko.

- Pokazywał, że nikogo się nie boi, nawet prokuratora. I tu pojawia się kolejne pytanie, co na to komendant wojewódzki? Czy dalej będzie udawał, że tego nie widzi i nie słyszy? Jak sam mówi, stoi na straży przestrzegania zasad etyki zawodowej i mamy dowody, że potrafił zwolnić dwóch komendantów powiatowych i naczelnika wydziału, jeszcze przed sprawą w prokuraturze. A w tym przypadku? Dwutygodniowe zawieszenie - mówi Jakub. Rzecząwiście Ryszard J. po usłyszeniu zarzutów został zawieszony do 10 kwietnia. Jego obowiązki przejął zastępca. Po nazwisku Ryszarda J. nie został ślad w oficjalnych publikacjach na temat kierownictwa.

Jak wyjaśnia adwokat reprezentujący jednego z policjantów, zarzuty opisują coś więcej niż mobbing. - Nie mówimy tu jedynie o nierównym traktowaniu pracownika, np. pod względem pensji. Z perspektywy prawa zachowanie Ryszarda J. można już zakwalifikować jako przestępstwo Kodeksu karnego, bo znacznie przekracza ramy typowego mobbingu - ocenia mecenas Maciej Kuczaj.

Śledczy już przesłuchali świadków, część z tych osób uzyskała status pokrzywdzonych. Są także dowody rze-

czowe, m.in.: dokumentacja medyczna, wyniki z Biura Spraw Wewnętrznych, ankiety mobbingowe i inne materiały, które dotyczą nieprawidłowości zgłaszanych przez pracowników jednostki.

- W toku postępowania mogą zostać powołani biegli z zakresu psychiatrii. Podejrzewam, że pan Ryszard J. zgodnie z procedurą będzie poddawany takim badaniom - dodaje mecenas Kuczaj. Pytany, jak wytłumaczyć fakt, że funkcjonariusze wyspecjalizowani w pracy pod presją i w stresie dali się do tego stopnia zastraszyc?

- Trudno sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji znajdowali się ci funkcjonariusze, jakie musiało być natężenie zachowania ich przełożonego, skoro doświadczeni ludzie z kilkunastoletnim stażem, z definicji odporni na stres, załamali się do takiego stopnia, że tracili

zdrowie nie tylko psychiczne, ale i fizyczne - wyjaśnia mecenas Kuczaj i dodaje, że z punktu widzenia prawa, przypadek jest bulwersujący dlatego, że dzieje się za zamkniętymi drzwiami policji.

- W mojej opinii postępowanie organów kontrolnych Komendy Wojewódzkiej Policji nie jest w tym przypadku nastawione na wyjaśnienie sprawy oraz ochrony praw i interesów funkcjonariuszy, tylko tuszowanie wewnętrznych problemów tej jednostki. Jeżeli pracownik dokonuje zgłoszenia, przeważnie anonimowego, to wówczas wydział kontrolujący wszczynają procedury wyjaśniające. Tu jednak tak się nie stało - dodaje Maciej Kuczaj.

Drugi z pełnomocników reprezentujący pokrzywdzonych, Małgorzata Dziewońska mówi wprost: - Z perspektywy pokrzywdzonych trudno dwutygodniowe zawieszenie

(...) JAKIE MUSIAŁO BYĆ NATĘŻENIE ZACHOWANIA PRZEŁOŻONEGO, SKORO DOŚWIADCZENI LUDZIE Z DEFINICJI ODPORNI NA STRES, ZAŁAMYWALI SIĘ

KOMENTARZ KOMENDY WOJEWÓDZKIEJ

O komentarz do sprawy poprosiliśmy Komendę Wojewódzką Policji we Wrocławiu. Zadaliśmy szczegółowe pytania dotyczące opisywanego przez nas problemu. Biuro prasowe KWP udzieliło nam poniższej odpowiedzi:

Szanowna Pani Redaktor, odpowiadając ponownie na przesłaną przez Panią korespondencję informujemy, że Komendant Wojewódzki Policji we Wrocławiu po otrzymaniu informacji o przedstawieniu w prokuraturze w Nysie zarzutów jednemu z funkcjonariuszy kadry kierowniczej podejrzanemu o popełnienie przestępstw w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych, niezwłocznie podjął decyzję o zawieszeniu tego funkcjonariusza w czynnościach służbowych.

Korzystając z przysługujących mu uprawnień, podjął kolejną decyzję w sprawie tego funkcjonariusza i delegował go do pełnienia służby w innej komórce organizacyjnej KWP we Wrocławiu. Do czasu kompleksowego zakończenia sprawy i decyzji sądu, jeśli takie zapadną, będzie on realizował inne zadania niemające związku z działaniami o charakterze operacyjnym. (...)

Odnosząc się do kolejnego z pytań obejmującego zakresem prowadzenie badań ankietowych w kierowanej komórce organizacyjnej, uprzejmie informujemy, że były one przeprowadzone w 2023 roku i wnioski z nich płynące, dały podstawy do implementacji profilaktyki antymobbingowej m.in. w postaci szkoleń oraz konsultacji, na które zgłaszali się funkcjonariusze i pracownicy Policji w celu uzyskania wsparcia psychologicznego lub porady. Tego typu działania w dolnośląskiej Policji prowadzone są także obecnie.

Przekazanie większej ilości informacji nie jest możliwe w związku z obowiązującymi przepisami prawa oraz specyfiką realizowanych działań przez funkcjonariusza, a także pracowników objętych toczącym się w prokuraturze postępowaniem, gdyż wiązać by się to mogło z odpowiedzialnością karną.

Z poważaniem,
Sekcja Prasowa KWP we Wrocławiu

w czynnościach służbowych podejrzanego przez komendanta odczytywać inaczej niż jako sygnał, że ich bezpieczeństwo nie jest priorytetem. - Dwutygodniowe zawieszenie przy tak poważnych zarzutach nie daje żadnej realnej ochrony, podobnie jak aktualna decyzja o przeniesieniu do innego wydziału. To wciąż ta sama jednostka, te same zależności i te same możliwości kontaktu ze świadkami. Przeniesienie nie oznacza realnego odciążenia sprawcy od środowiska. W takich warunkach trudno mówić o poczuciu bezpieczeństwa czy swobodzie składania zeznań.

Z kolei obrońca Ryszarda J. uważa, że sprawa wcale nie jest taka oczywista. - Proces jest z definicji wymaga poznania szczegółowych dowodów i okoliczności sprawy, a także faktów podnoszonych przez stronę przeciwną, zwłaszcza iż sprawa dotyczy bardzo długiego okresu oraz wydziału w Komendzie Wojewódzkiej Policji, który z uwagi na charakter i stopień skomplikowania procedur wymaga, by podchodzić do kwestii w sposób bardzo drobiazgowy i przemyślany. Z tego względu na tym etapie mój mocodawca nie złożył wyjaśnień. Analizujemy akta sprawy, które zostały udo-

stępione przez prokuratora. Sprawa się toczy. Osobiście jestem daleki od przyjmowania za prawdę wszystkich okoliczności podnoszonych przez wiele osób - mówi mecenas Przemysław Skoczek. Wskazuje też m.in. na brak konkretnych dowodów. Jego zdaniem nie jest to jedyny problem. - Linia oskarżenia opiera się na słowie. Spróbujemy niejako obalić nieprawdziwe argumenty i nietrafioną interpretację pewnych faktów drugiej strony, bo wiele okoliczności podważa ich prawdziwość, choćby okres 9 lat, podczas którego miało dochodzić do tych sytuacji. Takich skarg powinno być wiele. W mojej ocenie jest to nielogiczne - dlaczego nagle, po tak długim czasie wszyscy uswiadomili sobie, że byli gnębieni? Zwłaszcza że część tych funkcjonariuszy już nie pracuje w policji. I nagle się stali odważni? Bardzo łatwo jest kogoś oskarżyć. Mówimy tu o funkcjonariuszach, których obowiązują procedury, zawodowa dyscyplina i regulacje, które wymagają, by nieprawidłowości były raportowane. To powinno zostać potraktowane poważnie i w takich instytucjach, jak się komuś dzieje krzywda, to ma obowiązek raportowania - podsumowuje mecenas Skoczek.

Są bardziej samotni i pozostawieni sami sobie. Badania pokazują, że wciąż nawet 70 proc. osób powyżej 60. roku życia nie korzysta z internetu, jeszcze więcej nie potrafi poruszać się w cyfrowym świecie. Ale jeśli już do niego wejdą, dobrze sobie w nim radzą. Trzeba im tylko ten cyfrowy świat pokazać i objaśnić, jak się w nim poruszać

Dorota Kowalska

INTERNETOWE RAFY, CZYLI ZAGUBIENI W CYFROWYM ŚWIECIE

Krystyna, 73 lata, z telefonem ogląda ulubione teleturnieje, czyta, czy po prostu siedzi. Kiedy w teleturnieju „Milionerzy” pada jakieś trudne pytanie, odpowiedź natychmiast sprawdza w telefonie.

- B, b! - podpowiada.

Nie zna jakiegokolwiek aktorki - w telefon, nie zna jakiegokolwiek polityka - w telefon. Tu czyta serwisy informacyjne, zagląda na Facebooka, wyszukuje prezenty dla dzieci i wnuków. Jej znajomi - podobnie. Kontaktują się ze sobą w mediach społecznościowych, na WhatsAppie wysyłają sobie zdjęcia, jesienią z grzybobrań, w lecie z wakacyjnych wyjazdów.

- Na komputerze robię opłaty i stawiam sobie pasjansa - mówi.

Jest w grupie seniorów, którzy uchodzą za postępowych. W każdym razie - dają radę w wirtualnym świecie, ale nie wszystko jest dla niej „do przejścia”.

- Wielu rzeczy jednak nie potrafię robić, albo po prostu się boję. Nie płacę blikiem, nie robię zakupów w sieci, nie jestem w stanie kupić przez internet biletu na pociąg - przyznaje. Kiedy jedzie do syna, idzie wcześniej na dworzec i kupuje bilet w okienku, chce sobie kupić nową sukienkę - wybiera się do galerii handlowej.

- Jeśli mam jakieś pytania albo problemy z telefonem czy komputerem, dzwonię do syna, on mi wszystko tłumaczy. Dobrze funkcjonuje w cyfrowym świecie - przyznaje. - Te umiejętności, które mam, w zupełności mi wystarczają, chociaż pewnie, że mogłabym więcej rzeczy robić w sieci - wzrusza ramionami. I dodaje, że chętnie poszłaby

na jakiś kurs doszkalający dla seniorów, ale w jej miejscowości takich nie organizują. A przydałyby się, zna osoby, które niczego w sieci nie zrobią, z każdą drobnostką biegną do swoich dzieci lub wnuków.

Dane niepokoją

Niski poziom umiejętności cyfrowych wśród seniorów to wyzwanie, przed którym stoją rządy niemal wszystkich państw świata. Przyspieszona cyfryzacja, zwłaszcza w okresie pandemii, pokazała, jak ważne jest włączenie wszystkich, bez względu na wiek, w ten proces. Tym bardziej, że w państwach rozwiniętych odsetek osób po 65. roku życia wynosi około 21 proc., w 2060 roku - według szacunków - ma już wynieść 32 proc. Naukowcy z Max Planck Institute for Human Development w Berlinie nie mają wątpliwości: osoby starsze, to jak żyją, jakie decyzje podejmują, będą miały coraz większy wpływ na sytuację gospodarczą i społeczną. Ich przewidywania nie są bezpodstawne, według badania think tanku Age Economy, do 2030 roku osoby po sześćdziesiątce będą odpowiadać za 60 proc. globalnej konsumpcji. W Stanach Zjednoczonych już tak się dzieje. „Młodzi seniorzy”, tzw. pokolenie Young Old, są główną siłą napędzającą gospodarkę. Ale też na całym świecie rośnie liczba osób, o których mówimy - seniorzy.

Może dlatego już dwa lata temu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów odbył się okrągły stół, na którym przedstawiciele różnych organizacji i instytucji omawiali wyzwania, potrzeby i problemy seniorów związane z korzystaniem z nowych technologii.

- Rozwój tych kompetencji jest kluczowy, aby pomóc im w korzystaniu z technologii i ułatwieniu codziennego życia. Brak umiejętności cyfrowych zwiększa podatność na cyberzagrożenia i wykluczenie społeczne, a także ogranicza zdolność do zdobywania nowej wiedzy i dalszego rozwoju - mówił wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego (GUS), w 2022 roku udział osób starszych w populacji Polski wyniósł 25,9 proc., podczas gdy w 2005 roku było to 17,2 proc.

Tymczasem dane Eurostatu z 2023 roku wskazują, że blisko 56 proc. osób w Polsce, czyli około 14,5 miliona ludzi, nie posiada podstawowych umiejętności cyfrowych. W grupie wiekowej 55-74 lata niski poziom kompetencji cyfrowych dotyczy niemal 82 proc. osób, czyli około 7,2 miliona seniorów, podczas gdy średnia w krajach Unii Europejskiej wynosi około 63 proc. Oznacza to, że prawie połowę osób bez podstawowych umiejętności cyfrowych w Polsce stanowią seniorzy. Wśród tych, którzy nigdy nie korzystali z internetu, największą grupę w 2023 roku stanowiły osoby w wieku 60-74 lata - niemal 2 miliony osób (1 991 700), co stanowi ponad 75 proc. wszystkich osób

w Polsce, które nie buszują w sieci.

- W dobie cyfryzacji, umiejętności te nie są luksusem, a koniecznością. Musimy zapewnić osobom starszym dostęp do wiedzy i narzędzi, które umożliwią im pełne uczestnictwo w społeczeństwie. Przełamanie barier cyfrowych to nie tylko kwestia technologii, ale także poprawy jakości życia, samodzielności i bezpieczeństwa seniorów. Edukacja cyfrowa to inwestycja w przyszłość nas wszystkich - podkreślała minister ds. polityki senioralnej Marzena Okła-Drewnowicz.

Technologia ułatwia utrzymywanie kontaktu z bliskimi, zdobywanie nowej wiedzy i umiejętności, zwiększa świadomość zagrożeń. Umiejętność posługiwania się cyfrowymi usługami publicznymi, takimi jak mObywatel czy Internetowe Konto Pacjenta (IKP), ułatwia codzienne funkcjonowanie wszystkim, także seniorom.

- Zależy nam na zaangażowaniu jak najszerszej grupy organizacji i środowisk, które prowadzą aktywne działania edukacyjne skierowane do osób starszych. Tylko wspólnie możemy zaprojektować programy i konkretne działania, które z jednej strony otworzą tej grupie bezpieczny dostęp do technologii, ale także zbudują wśród nich przekonania,

jak duże korzyści im to może przynieść w codziennym życiu - mówił Paweł Olszewski, wiceminister cyfryzacji.

Osoby starsze zdają sobie sprawę, że muszą iść z duchem czasu. Według „Badania ankietowego senierek i seniorów pod kątem ich oczekiwań i potrzeb edukacyjnych” realizowanego z Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój 2014-2020, respondenci chcą zdobywać nowe umiejętności i kompetencje (75 proc.) i być na bieżąco z dynamicznie zmieniającym się światem (56 proc.).

Za dużo, za szybko

Marian, przed sześćdziesiątką. Jak sam o sobie mówi - cyfrowy analfabeta. Pracuje, śmiga po internecie, ale w sieci wielu rzeczy zrobić nie potrafi.

- Nigdy nie robiłem opłat przez internet, nie kupowałem w sieci biletów, nie robiłem zakupów. Dlaczego? Bo robi to żona - przyznaje z rozbijającą szczerością. I dodaje, że zaczyna mu to przeszkadzać. Wie, że musi kiedyś usiąść i wszystkiego się po prostu nauczyć.

- Dzisiaj to umiejętności niezbędne. Zrobiłem mały krok do przodu, bo nauczyłem się płacić blikiem. Żona mi pokazała, jak to robić. Wstyd mi już było, czasami w pracy na coś się składały, zawsze słyszałem: „To przelej mi pieniądze blikiem”. I widziałem miny kolegów, kiedy mówiłem, że nie potrafię. Więc to w końcu opanowałem - mówi.

Widzi, że cały świat przechodzi powoli do sieci. Wszystko można w niej zrobić. Ba, czasami nie można inaczej.

Halina, 77 lat, nie ukrywa, że ta cyfryzacja życia mocno ją iry-

tuje. Ona jest tradycjonalistką. Woli się spotkać w cztery oczy niż przed monitorem, woli buty przymierzyć, zanim je kupi, opłaty wciąż robi na pocztce.

- Ale nie da się! Wiele rzeczy można załatwić wyłącznie w sieci. Ostatnio byłam u lekarza, chciałam się umówić na kolejną wizytę. Pani w recepcji kazała mi wejść na ich stronę i tam się zapisać. Kiedy stwierdziłam, że wolę to zrobić teraz, osobiście, wywracała oczami - wzdycha.

I dodaje, że dla niej to wszystko „za szybko i za dużo”. Zawsze była aktywna zawodowo, wciąż biega na spotkania ze znajomymi, regularnie bywa w kinie i teatrze, ale w sieci kiepsko się czuje.

- Wstyd się przyznać, ale nigdy nie odbierałam rzeczy w paczkomacie. Nie wiem nawet, jak się go obsługuje, ale też niczego przez internet nigdy nie zamawiałam - przyznaje.

Czasami czuje, że nie nadąża, że świat pędzi do przodu, a ona została gdzieś daleko z tyłu, ale zna takich, którzy w ogóle nie mają komputera, nie korzystają z internetu i kompletnie niczego nie robią w sieci. Nie dlatego, że nie chcą. Nie umieją, a nie ma nikogo, kto im wytłumaczy cyfrową rzeczywistość. Badania pokazują, że wciąż nawet 70 proc. osób powyżej 60. roku życia nie korzysta z internetu. I nie zmieniła tego pandemia. To osoby wykluczone cyfrowo, bardzo samotne i pozostawione same sobie. Przesada? Wcale nie. Wystarczy poczytać fora internetowe.

Internauta 1: „Witam Wszystkich Seniorów internautów. To mój debiut na tym forum, dlatego liczę na wyrozumiałość i cierpliwość. Chylę czoła

Dane Eurostatu z 2023 roku wskazują, że blisko 56 proc. osób w Polsce, czyli około 14,5 miliona ludzi, nie posiada podstawowych umiejętności cyfrowych. W grupie wiekowej 55-74 lata niski poziom kompetencji cyfrowych dotyczy niemal 82 proc. osób, czyli około 7,2 miliona seniorów, podczas gdy średnia w krajach Unii Europejskiej wynosi około 63 proc.

przed umiejętnościami, jakimi niektórzy się szczycą. Dla mnie komputer to ciągle enigma, ale nie tracę nadziei, nie należę do osób, które łatwo się poddają. Jestem autentycznym samoukiem, mozolnie dochodzę małymi krokami do pewnych wiadomości i wierzę, że pewnego dnia odkryję te wszystkie tajemnice, które jeszcze teraz skrywa przede mną ta „piekielna” maszyna”.

Internauta 2: „To nie jest „piekielna” maszyna, tylko cudowny wynalazek. Jeżeli masz jakieś problemy, to po prostu pytaj. Pozdrawiam”.

Internauta 3: „Witam i pozdrawiam wszystkich. To mój pierwszy raz w Senior Cafe i w ogóle na forum grup dyskusyjnych. Komputer mam od miesiąca i jestem trochę onieśmiona, bo z waszych wypowiedzi wynika, że macie ogromną wiedzę o możliwościach komputera. Ja się dopiero uczę. Kupiłam kilka książek i je po kolei przerabiam. Czytam też „Komputer Świat” - to czasopismo też bardzo pomaga. Do pierwszych sukcesów mogę zaliczyć własnoręczną instalację programu antywirusowego i ściągnięcie kilku tapet na pulpit”.

Internauta 4: „Witajcie! Przeczytałam wszystkie posty i czuję się nieco dziwnie, bo coś w tym jest z konkursu „Kto starszy i co jeszcze może”. Dla mnie to, że korzystam z internetu, piszę e-mesy i umiem włączyć pralkę, to żadne osiągnięcie i nie rozumiem, dlaczego miałabym czuć się wyjątkowo. To raczej niezwykli są ci, co nie wykazują chęci używania ułatwień, jakie przynosi cywilizacja. Parę dni temu wróciłam z Bieszczad, gdzie robiłam codziennie piesze i rowerowe wycieczki i też nie czułam się heroicznie, mimo że byłam najstarsza i niekiedy musiałam wspierać o 20 lat młodszych. Wymarzony komputer mam od kilku miesięcy. Fascynuje mnie program Photoshop, którego intensywnie sama się uczę i szukam kontaktu z tymi co bardziej zaawansowani. Mam kilka problemów, których jak na razie nie umiem rozwiązać. Wszystkich pozdrawiam serdecznie”.

Wiele plusów

Naukowcy z Baylor University podkreślają, jak ważne jest korzystanie z nowych technologii przez osoby starsze. Analiza 136 badań z udziałem aż 400 tys. osób pokazała, że na intelekt seniorów cyfrowe technologie działają korzystnie. Regularne korzystanie z nich obniżało ryzyko zaburzeń poznawczych przeciętnie o 58 proc.

Jak zwracają uwagę autorzy raportu, dla niektórych wyniki te mogą być zaskakujące, bo korzystanie z technologii często kojarzone jest z fizyczną i umysłową biernością. Jednak dla obecnego pokolenia starszych dorosłych, które zetknięto się z pierwszymi osiągnięciami technologicznymi



Część seniorów nie wyobraża sobie życia bez internetu. Bo też spora ich grupa chce podążać za światem, załatwiać sprawy, komunikować się ze znajomymi, dziećmi i wnukami

dopiero po okresie dzieciństwa, korzystanie z zaawansowanych technologii stanowi niemałe mentalne wyzwanie.

- Jedną z kwestii najczęściej podnoszonych przez dorosłych w wieku średnim i starszych było: „ten komputer mnie tak frustruje. To trudne do nauczenia się”. To w rzeczywistości odzwierciedlenie wyzwania poznawczego, które może być korzystne dla mózgu, nawet jeśli w danej chwili nie wydaje się przyjemne - wyjaśnia autor analizy, dr Michael K. Scullin.

Ale też technologia wymaga ciągłego przystosowywania się, choćby zrozumienia nowych wersji oprogramowania, rozwiązywania problemów z połączeniem internetowym czy odfiltrowywania reklam.

- Jeśli robisz to przez lata i naprawdę się w to angażujesz, nawet jeśli odczuwasz frustrację, może to być oznaka, że ćwiczysz swój mózg - tłumaczy naukowiec.

To nie wszystko. Technologia ułatwia komunikację. Rozmowy wideo czy aplikacje do przesyłania wiadomości umożliwiają kontakt z innymi. To szczególnie ważne dla tych, których bliscy mieszkają daleko.

- Można łączyć się z innymi pokoleniami. Nie tylko z nimi rozmawiać, ale też ich widzieć.

Można dzielić się zdjęciami, wymieniać e-maile i to wszystko można zrobić w ciągu sekundy lub jeszcze szybciej. To oznacza większą szansę na zmniejszenie poczucia samotności - mówi dr Scullin.

Więzi społeczne są niezwykle ważne, także, a może przede wszystkim, dla osób w starszym wieku.

Naukowcy zwracają uwagę na jeszcze jedną pozytywną stronę nowych technologii używanych w późniejszym wieku. Różne cyfrowe udogodnienia, takie jak bankowość online czy nawigacja GPS, wspierają niezależność. Specjaliści z University of East Anglia wskazują, że związany z wiekiem spadek zdolności nierzadko prowadzi do tego, że starsi kierowcy sami ograniczają korzystanie z samochodów, a tym samym i własną mobilność.

I tu z pomocą może im przyjść na przykład nawigacja, która także wśród seniorów jest coraz popularniejsza. Naukowcy przeprowadzili badanie z udziałem prawie 900 osób w wieku średnio 71 lat i okazało się, że korzystanie z pomocy nawigacji wiąże się ze zwiększoną mobilnością starszych kierowców.

Na inną pozytywną stronę używania cyfrowych technologii w późnym wieku zwrócili

uwagę eksperci z University of Missouri i Baylor University. W swoim badaniu zespół ten sprawdził, jakie znaczenie mogą mieć smartfony dla seniorów, którzy mają ubytki w zdolnościach poznawczych i kłopoty z pamiętaniem o ważnych codziennych czynnościach, takich jak wzięcie leku czy wizyta u lekarza.

W eksperymencie z udziałem ponad 50 osób w wieku średnio 74 lat, uczestnicy z demencją lub łagodnymi zaburzeniami poznawczymi radzili sobie lepiej dzięki korzystaniu z osobistego asystenta działającego w smartfonach - aplikacji, która przypominała o nadchodzących wydarzeniach i aktywnościach.

- Udało nam się skutecznie nauczyć osoby starsze obsługi tej technologii, a ci, którzy najczęściej korzystali z osobistych asystentów, osiągnęli najlepsze wyniki w testach pamięci - relacjonował prof. Andrew Kiselica, współautor badania. - Niektórzy mogli mieć wątpliwości, czy jesteśmy w stanie nauczyć starsze osoby z zaburzeniami poznawczymi korzystania z tego typu technologii, albo czy uznają ją za przydatną. Wstępne wyniki sugerują jednak, że pomogła im ona w zapamiętywaniu i poprawiła jakość życia - podkreśla ekspert.

Tylko sieć

Anna i Marek są już na emeryturze. Dla nich internet to okno na świat.

Marek od lat marzył o tym, aby podróżować. Tylko wcześniej jakoś nie było czasu. Wiadomo, dzieci, praca, cała masa obowiązków. Nie to, żeby żyli nudno, ale bez szaleństw. Były wakacje nad morzem i ferie zimowe w górach. Od kilku lat razem z żoną przynajmniej trzy razy do roku wyjeżdżają za granicę, chcą coś zobaczyć, poznać innych ludzi, ich mentalność, styl życia, przenieść się w trochę inny świat.

Wszystko załatwiają przez internet, w sieci robią rezerwacje, szukają najlepszych wycieczki. On zna język angielski, więc najczęściej wyjeżdżają na własną rękę, rzadko korzystają z ofert biur podróży. Oboje z żoną nie lubią leżeć na plaży, zwiedzają. Zanim wyjadą, robią dokładny plan tego, co chcą zobaczyć, gdzie pojechać - i tu znowu z pomocą przychodzi im internet. Na miejscu wypożyczają samochód albo korzystają z miejscowych środków lokomocji.

- Przez internet robimy opłaty, zakupy, tu czytamy o tym, co dzieje się na świecie - tłumaczy Marek. Anna wchodzi mu w słowo: - No i najważniejsza sprawa: nasze dzieci miesz-

kają za granicą, nie widzimy się z nimi zbyt często, ale co drugi dzień rozmawiamy „na kamerkach” - mówi.

Nie wyobrażają sobie życia bez internetu. Bo też spora grupa seniorów chce podążać za światem.

- Z naszych codziennych obserwacji wynika, że coraz więcej starszych osób decyduje się na korzystanie ze smartfona, nie tylko do dzwonienia, ale przede wszystkim do innych form komunikacji ze światem. Aplikacje zakupowe, bankowe, social media, komunikatory już nie stanowią jedynie ciekawostki, stają się narzędziami codziennego użytku. Jako Fundacja SeniorApp prowadzimy szkolenia ze Smartfon Edukacji dla osób wykluczonych cyfrowo i widzimy, jak wielu przedstawicieli pokolenia Silver przełamuje swój strach przed nowymi technologiami - mówi portalowi flexi.pl Igor Marczak z fundacji SeniorApp.

Wszystkie badania pokazują jasno, że seniorzy, którzy weszli już do cyfrowego świata, dobrane sobie w nim radzą. Nie boją się technicznych nowinek i jeśli te ułatwiają im życie, chętnie z nich korzystają. Trzeba im tylko ten cyfrowy świat pokazać i objaśnić, jak się w nim poruszają. PAP

– Magyar wygrał wybory dlatego, że umiał rozmawiać ze swoimi ludźmi, że nie wymuszał nadmiernie szybkiej zmiany, że akceptował codzienne przyzwyczajenia Węgrów, ich tradycje. Magyar połączył to z demokracją i z szacunkiem dla wspólnoty europejskiej. Droga Magyara, tak jak droga Ruttego w Holandii, to są drogi, którymi trzeba podążać, jeżeli chce się wygrywać w bardziej tradycyjnych krajach Unii Europejskiej – mówi Paweł Kowal, polityk Koalicji Obywatelskiej, historyk i publicysta, szef sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych

Dorota Kowalska

PAWEŁ KOWAL: TRZEBA PÓJŚĆ DROGĄ RUTTEGO I MAGYARA

Ostatnia niedziela na Węgrzech nie przypominała Panu trochę 15 października 2023 roku?

Było to samo, tylko jeszcze bardziej. Frekwencja minimalnie wyższa: u nas 75, tam 78 procent. Atmosfera była podobna dlatego, że na końcu zwycięża lud, a politycy, którym wydaje się, że przechrząną swoich obywateli, przekupią ich, zrobią w konia, kończą z kwaśną miną jako Viktor Orbán.

Co się stało, że po szesnastu latach Węgrzy nagle się przebudzili?

Wszystko naraz: kryzys gospodarczy, poczucie oszustwa, oligarchia, próba zawłaszczenia państwa przez małą grupę polityków i biznesmenów. To wszystko zaważyło. Ale decydująca była chęć sprzedania Węgrów Rosji przez ich własny rząd. Największą tajemnicą ostatnich szesnastu lat na Węgrzech jest to, co się stało z Orbánem, który zaczynał jako polityk liberalny, potem liberalno-konserwatywny, antyimperialny, antyrosyjski, a skończył jako ten, który „uprzejmie donosi” Kremlowi.

No właśnie, co się z nim stało?

Myślę, że będą to przez lata analizować politolodzy, a inni będą po prostu przekonani, że Putinowi udało się Orbána uwikłać w uzależnienie energetyczne, a wskutek tego polityczne.

Myśli Pan, że poparcie Donalda Trumpa, wizyta J. D. Vance'a w Budapeszcie to był, jak mówią niektórzy, pocałunek śmierci dla Orbána?

Poparcie od MAGA mogło mu zaszkodzić, bo ludzie nie lubią nachalnego poparcia z zewnątrz. Ale podstawowy problem zgotował sobie sam Orbán.

Tak jawne poparcie polityków PiS-u dla Orbána, wizyta prezydenta Nawrockiego u lidera Fideszu właśnie w czasie trwania kampanii wyborczej to był błąd tych polityków?

To dziadowska strategia, PiS zainwestował w złą, antypolską politykę i to jeszcze taką, która przegrała. Prezydent powinien przepędzić na cztery wiatry doradców, którzy go wysłali do Budapesztu. Polski prezydent nie ma prawa ryzykować interesu narodowego dla polityków, którzy się wysługują Rosji. Zresztą dzisiaj widać, że ludzie w Pałacu Prezydenckim dobrze zdawali sobie z tego sprawę, można to wnioskować po wpisach w internecie. Z wpisów ministra Cencikiewicza wynika, że wiedział, iż pisowcy popierają na Węgrzech polityka prorosyjskiego. Działania Orbána, szczególnie rewizjonizm w odniesieniu do granic w Europie, stanowił żywotne zagrożenie dla Polski. Prezydent i pisowcy nie powinni byli tego robić tylko dla interesu partyjnego. To jest wielki grzech, który zostanie im zapamiętany. A do tego jeszcze związali się z politycznym przegranym, jakim jest dzisiaj Orbán. Jak to się mówi: kopiejki nie zarobili, a twarz stracili.

Pytanie, co teraz z panem Ziobrą i z panem Romanowskim...

To oczywiście, że byli ministrem i wiceminister sprawiedliwo-

ści powinni po prostu oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości w Polsce, którym, przypominam, kierowali przez osiem lat.

To były ważne wybory nie tylko dla Węgrów, ale także dla Unii Europejskiej. Unia będzie teraz bardziej zwarta, będzie częściej mówiła jednym głosem?

To były jedyne takie wybory w historii Węgier, one były ważne dla Unii Europejskiej, dla wielu osób w Stanach Zjednoczonych, dla wielu w Polsce także. Dlatego że ich istotą była odpowiedź na pytanie, czy można w demokratyczny sposób w bardzo niedemokratycznych warunkach – bo powiedzmy sobie szczerze, te warunki nie były już już raz demokratyczne – wygrać wybory przez mobilizację narodu. I to się okazało możliwe. Ale Węgry mają tradycję rewolucji i zrywu – ostatnie wybory przypominały mi Wiosnę Ludów z połowy XIX wieku oraz Węgry sprzed siedemdziesięciu lat. Może to największy w tym roku prezent historii, że okrążyła rocznicę 1956 roku będziemy świętować tak jak wtedy – wolni Polacy z wolnymi Węgrami.

Co te wybory znaczą dla Unii Europejskiej?

**CZEŚĆ POPULISTÓW
I REWOLUCJONISTÓW UDAJE
KONSERWATYSTÓW. A CAŁA
SZTUKA POLEGA NA TYM,
ŻEBY SIĘ NA TO NIE NABIERAĆ**

Znaczą, że wartości i demokracja ciągle rządzą umysłami ludzi. Wymaga to tylko uczciwości polityków i wymaga synerгии. Ta synergia musi występować między politykami o poglądach od konserwatywnych aż po lewicowe, tak żeby mieć pewność, iż demokraci się łączą.

Mówiło się o tym, że w Europie coraz większe znaczenie mają partie populistyczne, mocno prawicowe, mocno konserwatywne. Przed nami wybory w kolejnych państwach Unii Europejskiej. Myśli Pan, że wybory na Węgrzech mogą zmienić nastroje w Europie?

Po pierwsze – nie sądzę, żeby populisci byli konserwatywnymi. Najczęściej nie są konserwatywnymi, tylko posługują się kilkoma hasłami, które kojarzą się z konserwatyzmem, a w istocie dążą do przejęcia państwa. Populisci ogłaszają walkę z elitami, udają, że reprezentują lud – są rewolucjonistami, a nie konserwatywnymi. Dodatkowo są rewolucjonistami fałszywymi. Często populisci są gotowi, jeżeli im to pasuje, atakować Kościół, papieża, wartości tradycyjne. Dzisiejszy populizm to po prostu trend, który jest związany z dostępem do mediów społecznościowych, z możliwością manipulowania

społeczeństwami. To minie, trzeba to przetrwać. A jak to przetrwać, pokazują Polacy, pokazują Węgrzy. Zjednoczyć się wokół najważniejszych wartości i dawać odpór populistycznym hasłom.

Dobrze, ale co ta zmiana władzy na Węgrzech znaczy dla Unii Europejskiej? Wiadomo, że Orbán blokował wiele decyzji unijnych. To się teraz zmieni?

Węgry muszą mieć jakiś czas na dostosowanie się do nowych warunków. Od Petera Magyara nie można oczekiwać, że zmieni wszystko w ciągu jednego tygodnia. Przeciwnie, Magyarowi trzeba będzie pomóc, żeby mu się udało. Unia powinna wesprzeć Magyara, by wyszedł z koziego rogu uzależnienia energetycznego od Rosji, do jakiego zapędził go Orbán.

Magyar musi to przecież jakoś załatwić. I jak załatwi?

Nie wiem, nie jestem Magyarem. Natomiast wiem, że musi mieć na to czas i że Zachód musi rozumieć znaczenie tej sprawy i konieczność dania nowemu rządowi na Węgrzech spokojnego czasu na zmiany.

Mówi się, że Magyar jest konserwatystą, wywodzi się z partii Orbána. Niektórzy boją się, że być może wejdzie w jego buty.

Pani rozmawia z dość konserwatywnym politykiem, nie ma niczego złego w konserwatyzmie. Konserwatyzm najczęściej jest demokratyczny. Prawdziwy konserwatyzm jest otwarty na pluralizm, jest gotowy na to, żeby akceptować inność. Trzeba się

raczej bać rewolucjonistów, nie konserwatystów. Konserwatyści nikomu nie zagrażają. Problem naszych czasów polega na tym, że część populistów i rewolucjonistów udaje konserwatystów. A cała sztuka polega na tym, żeby się na to nie nabierać.

Dobrze, ale nie boi się Pan, że Orbán wejdzie w buty Orbána?

Magyar, żeby wygrać wybory, musiał uwzględnić wrażliwość węgierską. Jestem historykiem, rozumiem historyczny kontekst Węgier. Wątek nacjonalistyczny jest bardzo ważny w tradycji węgierskiej. Magyar wygrał wybory dlatego, że umiał rozmawiać ze swoimi ludźmi, że nie wymuszał nadmiernie szybkiej zmiany, że akceptował codzienne przyzwyczajenia Węgrów, ich tradycje. Magyar połączył to z demokracją i szacunkiem dla wspólnoty europejskiej. Droga Magyara, tak jak droga Ruttego w Holandii, to są drogi, którymi trzeba podążać, jeżeli chce się wygrywać w bardziej tradycyjnych krajach Unii Europejskiej. Dzisiaj poważni politycy poszukują tego połączenia tradycji z proeuropejskim, nowoczesnym podejściem. Także nasz premier jest w tym nurcie.

Do tego wróć, ale wiadomo, że Węgrzy nie są tak entuzjastycznie nastawieni na przykład do Ukraińców i do Ukrainy.

Bo nie wszyscy odczuwają zagrożenie rosyjskie w taki sam sposób, jak Polacy. Musimy jako Polacy być gotowi na to, żeby to tłumaczyć innym, zaakceptować różnice między poszczególnymi krajami, spo-



FOT. DAVID BALOGH/XINHUA NEWS/EAST NEWS

Paweł Kowal: Od Petera Magyara nie można oczekiwać, że zmieni wszystko w ciągu jednego tygodnia. Unia powinna wesprzeć Magyara, by wyszedł z koziego rogu uzależnienia energetycznego Węgier od Rosji

łeczeństwami Unii. Jako Polak doskonale rozumiem strategiczne znaczenie obrony Ukrainy przed atakiem Rosji, bo wiemy, jaki to ma wpływ na Polskę. Przykładowo w poniedziałek w Sejmie zrobiliśmy duże spotkanie, z najwybitniejszymi ekspertami przygotowujemy się do wyliczenia strat państw trzech spowodowanych przez Putina, czyli na przykład strat Polski. Będziemy mieć model tworzenia „rachunku dla Putina” za straty państw, które szanują prawo międzynarodowe, a ich społeczeństwa tracą na działaniach Kremla. My to bardzo dobrze rozumiemy, my to czujemy każdą częścią swojego ciała. Ale żeby skutecznie działać na rzecz pociągnięcia Rosji do odpowiedzialności, trzeba też rozumieć, że nie wszyscy uważają dokładnie tak jak my. Problem w relacji Orbána do Rosji nie polegał na tym, że Orbán miał do niej nieco inne podejście niż na przykład Polska czy Litwa, ale polegał na tym, że się zaczął wysługiwać Putinowi, a jego ministrowie wynosili na zamówienie Ławrowa sprawy z zamkniętych zachodnich gremiów.

Mówi Pan, że trzeba pójść drogą Magyara i drogą Ruttego. Co koalicja rządząca musi zrobić, żeby wygrać wybory za niecałe półtora roku?

W czasach strachu, gdy najważniejsze dla ludzi jest bezpieczeństwo, trzeba gęsto tknąć wątki tożsamości i nowoczesności. Bez tego nie wygrywa się w naszych stronach i w wielu państwach Unii Europejskiej, na Zachodzie Unii też. I żeby zrozumieć istotę zwycięstwa demokratów

tam, gdzie jest najtrudniej, trzeba dużo nauczyć się od Ruttego, gdy był premierem Holandii, a jeszcze więcej od Magyara.

To znaczy?

To znaczy nie można bać się tradycji, trzeba mieć szacunek dla tego, jak ludzie żyją, a jednocześnie pokazać, że cała tradycja i historia może się dobrze komponować z nowoczesnością i z postępem, ale przede wszystkim z byciem w Unii Europejskiej. Bycie w Unii nie jest wartością lewicową. Unia i jedność europejska wyszły przecież z chadecji, z prawicy. Pomysły wspólnej armii europejskiej to idee Churchilla. Mówię o tych sprawach często na Podkarpaciu, bo zdecydowałem się wystartować na szefa Koalicji Obywatelskiej w najtrudniejszym dla nas regionie Polski. Mówię tam wyborcom: nie jest żadną przeszkodą, żebyśmy byli jak Lombardia, jak Teksas, żebyśmy byli jak Bawaria, jak Tyrol. Można bez końca mnożyć przykłady zachodniego stylu połączenia tradycji z nowoczesnością. To była droga Magyara. To jest też właściwa droga do postępowania w Polsce, a już na pewno na wschodzie kraju.

Co jeszcze trzeba zrobić oprócz tego?

Być blisko ludzi i mieć dla nich czas. Istota nie w tym, by załatwić każdy ludzki postulat i nawet widzimisię. Ludzie wiedzą, że nie wszystko się da od razu. Istota to szacunek, obecność i zrozumienie.

A nie martwi Pana rosnące poparcie dla Konfederacji Brauna, Konfederacji Bosaka

i Mentzena? I skąd ono się bierze, Pana zdaniem?

Polityka kocha optymizm i pewność siebie. Nienawidzi martwienia się i pesymizmu. Każdy zmartwiony przegra. Każdy radosny optymistą, jeśli to nie jest infantylny optymizm, wygra. I to jest też nauka płynąca z polityki Magyara. Ja się nie zamartwiam, politycznie pracuję na Podkarpaciu, gdzie mamy, jak to mówi premier Tusk, trzy Konfederacje, bo mamy pisowców w skrajnej wersji, mamy konfederatów, mamy braunistów i my tam zrobimy bardzo dobry wynik. Liczę na to, że przejmie sejmik.

Nie mówię, że Pan się nie zamartwia. Pytam, skąd się bierze poparcie dla Konfederacji?

Z tego, że demokraci popełniali błędy, bo nie tłumaczyli swojej polityki, bo nie byli w stanie znaleźć wspólnego języka z obywatelami. Z tego, że elity zapomniały o swojej misji. Poparcie dla skrajności bierze się z różnych historycznych przyczyn, ale też ze strachu ludzi przed wojną, z nadużywania elektronicznych metod komunikacji, czyli z wojny informacyjnej Rosji. Naprawdę dużą rolę odgrywa w tej grze Rosja, jej interesy ukryte pod płaszczykami różnych partii i różnych ludzi, od Brauna po Millera. To wszystko razem składa się na to, że ludzie nabierają wątpliwości, boją się o swoją przyszłość. Naszą rolą nie jest bać się, tylko pokazać ludziom, że droga do bezpieczeństwa łączy się z demokracją i z jednością europejską.

Nie boi się Pan...

Ja się boję tylko Boga i to mi pomaga też w polityce.

Ludzie patrzą na wiele rzeczy przez pryzmat swoich portfeli i swojej kieszeni. Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest jaka jest. Nie boi się pan, że inflacja i sytuacja gospodarcza wam jednak zaszkodzą?

W polityce jest tak, że codziennie coś może nam zaszkodzić: własny błąd, katastrofa naturalna. Piękno i przekleństwo polityki polega na tym, że rządzi nią ludzka psychologia, ludzkie ambicje, nastroje, miłość i nienawiść. Wszystko razem trzeba brać pod uwagę. A co dopiero, kiedy żyjemy w czasach przedwojennych. Ktoś powie, że to są czasy przedwojenne, tak mówi pan premier, ja jako historyk powiedziałbym jeszcze odważniej: jeśli nic się nie zmieni, to początek jakiejś wielkiej, trzeciej wojny już przecież widać.

Dlaczego tak Pan myśli?

Dlatego że każda wojna zaczyna się od nieopanowanych konfliktów. Pierwszy był konflikt Rosji przeciwko Ukrainie, teraz jest konflikt na Bliskim Wschodzie, który nie wiadomo, jak się rozwine. To nie chodzi o to, żeby ludzi straszyc, ale też nie chodzi o to, żeby ich zagłaskiwać. Trzeba mówić, jaki jest stan rzeczy, a stan rzeczy z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa jest bardzo trudny. Wielkie wojny zaczynają się od nacjonalizmu, kolonializmu i szybkich zbrojeń. Czyż nie te właśnie zjawiska obserwujemy?

Tylko rządzenie dla koalicji 15 października jest o tyle trudne, że mamy prezydenta,

który życia wam nie ułatwia. Wiele kluczowych ustaw wetuje. Jak w takim razie iść do przodu?

Gdyby prezydent był propaństwowy, byłoby na pewno łatwiej - tyle mogę powiedzieć. Trzeba rządzić w oparciu o to, jakie są możliwości, ale przede wszystkim podstawą do rządzenia jest większość w Sejmie. I nie ma co zrażać się blokadami - trzeba po prostu uchylać ustawy i kłaść je na biurku prezydenta.

Polacy mogą powiedzieć tak: „Tego nie wprowadziliście, tego nie wprowadziliście, tego nie wprowadziliście, a obiecaliście”. I jak tu wygrać wybory?

Wygramy wybory i stworzymy rząd w przyszłym roku. Ludzie docenią determinację we wprowadzaniu takich zmian, jak zmiana prawa pracy czy tak zwane babciowe. Myślę, że można na to popatrzeć też tak: mimo oporu prezydenta, my jednak zmiany wprowadzamy. A myślę, że też ludzie zobaczą, iż są przykłady, gdzie weto prezydenta jest kompletnie destruktcyjne, jak na przykład w kontekście kryptowalut. Realnie wiele osób straciło dlatego, że prezydent zawetował regulacje dotyczące kryptowalut.

A może za mało chwalicie się sukcesami? Może trzeba mówić, że jesteśmy dwudziestą gospodarką świata? Mam wrażenie, że do wyborców dociera bardzo dużo negatywnych informacji, za mało pozytywnych. Nie ma Pan takiego wrażenia?

Mam. Mówiąc półzartem, taką samą sytuację mam z rodziną

i taką samą wśród znajomych. Jako Polacy mamy wszyscy taki charakter, że wolimy lub lubimy ponarzekać. Ale nawet kiedy słyszę te narzekania, traktuję je raczej jako wyzwanie, żeby mówić o tym, co się udało, i pokazywać też dwie różne perspektywy każdej sprawy. Przecież Donald Tusk stworzył stabilną większość w trudnych czasach, o jakiej może pomarzyć niejeden europejski kraj. Żadna polityka nie jest idealna, nasza też taka nie jest, ale polityka piłowska czy fideszowska to droga ku przepaści.

Jak Pan myśli, co powinniście przez te półtora roku jeszcze zrobić, żeby wygrać wybory? Robić to, co robimy, tylko bardziej i systematycznie.

Rozwinie Pan tę myśl?

Rozwinął ją premier podczas ostatniego posiedzenia Rady Krajowej KO. Każda polityka zaczyna się we własnej głowie, więc musimy sobie uświadomić stawkę, o jaką gramy. Gramy o to, żeby Polska została w Europie, żeby nikt jej nie próbował z Unii Europejskiej wyprowadzić. Gramy o godność człowieka. Gramy o to, żeby Polska była krajem, gdzie szanse są takie jak w ostatnich trzydziestu latach, jednak równe. Nie trzeba być urodzonym w rodzinie partyjnego oligarchy, żeby mieć szansę na robienie biznesu czy kariery naukowej. Do takiej Polski przywykliśmy. O taką Polskę będziemy walczyć i ludzie to docenią. Byłem ostatnio na zjeździe polskich studentów, którzy studiuja za granicą. W Mediolanie zobaczyłem nową Polskę młodych, ambitnych ludzi, którzy pochodzą z biednych i bogatych rodzin - dla nich warto pracować. Oni mają szansę, jeśli pracują i uczą się. To pierwsze takie pokolenie w Polsce od kilku stuleci. Warto dla nich uchronić Polskę od destabilizacji, dać krajowi jeszcze ze dwie dekady porządnego rozwoju. O błędach też trzeba mówić. Błędy są tam, gdzie nie daliśmy rady zrobić czegoś tak szybko, jak byśmy chcieli. Często nie była to zresztą nasza wina. Często była to wina prezydenta Dudy, a teraz Nawrockiego.

Wybory być może wygracie, problem w tym, z kim stworzycie koalicję...

Jeśli utrzymamy pokorę, wybory wygramy i stworzymy większościową koalicję. Z jednej strony na pewno naszym koalicyjnym będzie Lewica. Naszym koalicyjnym będzie Polskie Stronnictwo Ludowe. Wszyscy się zmobilizują.

Jest Pan optymistą!

Inaczej nie zajmowałbym się polityką.

W „Fatherland” zobaczymy znakomitych aktorów. Główne role zagrali: nominowana do Oscara Sandra Hüller („Strefa interesów”, „Anatomia upadku”), Hans Zischler („Monachium”), August Diehl („Bękarty wojny”) oraz Devid Striesow („Na Zachodzie bez zmian”). W hali zdjęciowej Wytwórni Filmów Fabularnych realizowane były zdjęcia z udziałem trójki głównych bohaterów, a ich autorem jest polski operator Łukasz Żal. W atelier wytwórni powstała scenografia do scen w Los Angeles, Weimarze i Cannes, przygotowana przez duet Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński - informuje wrocławska Wytwórnia Filmów Fabularnych.

Akcja filmu „Fatherland” (robocza nazwa „1949”) rozgrywa się w czasach zimnej wojny i śledzi podróż Thomasa Manna i jego córki Eriki Mann przez podzielone Niemcy - od Frankfurtu w strefie amerykańskiej po Weimar pod kontrolą ZSRR. Mann po raz pierwszy od zakończenia wojny wraca do ojczyzny, którą opuścił, udając się na emigrację do USA.

Laureat Oscara Paweł Pawlikowski kręcił swój najnowszy film w Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu jesienią ubiegłego roku. W hali zbudowano kilka scenografii, które w najdrobniejszych szczegółach miały imitować wnętrza domów w USA, we Francji czy w Niemczech.

- W swoim filmie reżyser „Idy” oraz „Zimnej wojny” przeniesie nas do 1949 roku i opowie historię Thomasa Manna, niemieckiego noblisty z dziedziny literatury. W jednym miejscu musieliśmy umieścić wnętrza z Los Angeles, Cannes i Weimaru - mówiła „Gazecie Wrocławskiej” producentka filmu Ewa Puszczynska.

Zbudowali dom Manna

Byliśmy na planie we Wrocławiu, gdy kręcono „Fatherland”. Wytwórnia Filmów Fabularnych pachniała farbą, kurzem i świeżo ciętym drewnem. Wchodząc do hali, trudno było uwierzyć, że kilka kroków dalej nie jest Wrocław, lecz... Los Angeles końca lat 40. XX w. Ekipa Pawła Pawlikowskiego zbudowała tu dom Thomasa Manna, noblisty, autora „Czarodziejskiej góry” i „Śmierci w Wenecji”. - Dom istnieje naprawdę, dziś można go zwiedzać jako muzeum. My zbudowaliśmy go w hali, niemal jeden do jednego, jeśli chodzi o skalę i przestrzeń. Za szybą tarasu pojawi się w postprodukcji krajobraz Hollywood, a obok mamy Cannes i Weimar. Wszystko powstaje tutaj, we Wrocławiu - mówił scenograf Marcel Sławiński, oprowadzając nas po planie.

„FATHERLAND” Z WROCŁAWIA DO CANNES

„Fatherland” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego został zakwalifikowany do konkursu głównego prestiżowego Festiwalu Filmowego w Cannes i powalczy o najważniejszą nagrodę - Złotą Palmę. Zdjęcia do tej międzynarodowej produkcji realizowane były m.in. w atelier Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu, a także w innych miejscach na Dolnym Śląsku

Michał Perzanowski, Robert Migdał, Tomasz Pawlak



Paweł Pawlikowski kręcił swój film w Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu



Wytwórnia Filmów Fabularnych pachniała farbą, kurzem i świeżo ciętym drewnem

Francja, Niemcy, USA...

Powstały cztery lokacje. Oprócz rezydencji Manna w Los Angeles, zbudowane zostały także wnętrza domostw we francuskim Cannes i niemieckim Weimarze. Weszliśmy również do starej windy, w której kręcono właśnie jedną ze scen. Akcja filmu rozgrywa się na dwóch kontynentach, a w rzeczywistości zaledwie na kilku tysiącach mkw.

- To jest magia kina: w jednej hali mamy cztery lokacje i trzy kraje. Chcemy, by widz uwierzył, że ogląda jeden spójny świat. Nie byliśmy w oryginalnych lokacjach, ale mamy bardzo bogatą dokumentację. Na jej podstawie stworzyliśmy wierną rekonstrukcję domu Mannów. Dodaliśmy rekwizyty, które przywieźliśmy z Niemiec: zdjęcia, meble, przedmioty codziennego użytku. To nadało większej prawdy - tłumaczyła Katarzyna Sobańska, współscenografka.

Dom w Los Angeles, który w filmie zostanie pokazany w czerni i bieli, nie jest tylko dekoracją. - To kwintesencja intelektualnej rzeczywistości Manna. Był uciekinierem, więc przywiózł ze sobą meble, pamiątkowe zdjęcia, starsze przedmioty z ostatniego domu w Niemczech. Reżyser bardzo chciał, by to było widoczne - podkreślała Sobańska.

Plan filmowy to nie tylko wytwórnia. Dolny Śląsk znów okazał się doskonałą scenografią dla historii europejskich. - Legnica zagrała Frankfurt i Weimar, Kliczków stał się hotelem, Pięńsk i huta szkła „Lucyna”

były zupełnie nowymi przestrzeniami dla nas, a finałową scenę kręcimy w Goszczu - wylicza Sobańska. Zdjęcia kręcono też w okolicach Kłodzka, w Wałbrzychu i Bielawie.

Czarno-biały świat

Film Pawlikowskiego powstawał w czerni i bieli. To było ogromne wyzwanie dla kostiumografów. - Wybieramy kreacje, które mówią kontrastem i fakturą, a nie kolorem. Pracuję z Pawłem kolejny raz, wcześniej przy „Idzie” i „Zimnej wojnie”. Wiemy, czego oczekuje - mówiła nam Aleksandra Staszko, odpowiedzialna za kostiumy.

Przypomnijmy, że w filmie mamy doświadczyć 1949 roku. To specyficzny okres w najnowszej historii świata. Niemcy wciąż nie odbudowały swoich zrujnowanych miast. Świat, który Mann zapamiętał sprzed swojego wyjazdu, już nie istnieje.

Mann nie był w Niemczech od 1933 roku, kiedy to uciekł przed nazistowskim reżimem III Rzeszy i zamieszkał w Stanach Zjednoczonych. Ma własnie odebrać nagrodę i wygłosić przemówienie z okazji dwusetnej rocznicy urodzin Goethego we Frankfurcie, jego rodzinnym mieście, oraz w Weimarze, gdzie Goethe spędził większość życia.

Dodatkowej wymowy tej wizycie dodaje fakt, że ma ona miejsce w szczytowym okresie zimnej wojny. Frankfurt znajduje się w amerykańskiej strefie okupacyjnej (wkrótce RFN), podczas gdy Weimar znajduje się w radzieckiej (przyszłej NRD). Obie strony starają się „pozyskać” noblistę.

- To jest moda końcówki lat 40. Największym wyzwaniem było pokazanie różnic między grupami społecznymi. Inną zaletą miały Niemcy zachodnie, a inną wschodnie. Thomas Mann i jego córka przyjeżdżają z USA, więc też wyróżniają się stylem. On był znany z elegancji i staraliśmy się to uchwycić. Obejrzałam wszystkie dostępne archiwalia, by jak najwierniej oddać, jak się nosili, i przenieść to na ekran - mówiła Aleksandra Staszko.

Europejska koprodukcja ze światową obsadą

Na ekranie zobaczymy aktorów najwyższej próby. W Thomasa Manna wcielił się Hans Zischler, a jego córkę Erikę gra Sandra Hüller, nominowana do Oscara za „Anatomie upadku”. Towarzyszyć im będą m.in. August Diehl, Devid Striesow i Theo Trebs.

- Sandra to znakomita aktorka. Hans też jest bardzo rozpoznawalny. Może jego nazwisko nie od razu mówi wiele, ale twarz widzowie z pewnością kojarzą. Film kręcimy po niemiecku, bo chcemy zachować prawdziwy język. Widz ma uwie-



Część zdjęć do filmu „Fatherland” powstała w Legnicy

rzyć, że przeniósł się w tamten czas - mówiła nam producentka filmu Ewa Puszczynska. Przypominała, że film „Fatherland” nie jest biografią Manna. - To opowieść o pierwszej powojennej podróży pisarza do Niemiec. Wtedy zaczynała się zimna wojna, a Niemcy były już podzielone. Ale kultura i język nie znają granic. I to jest piękne: wspólnie opowiadamy

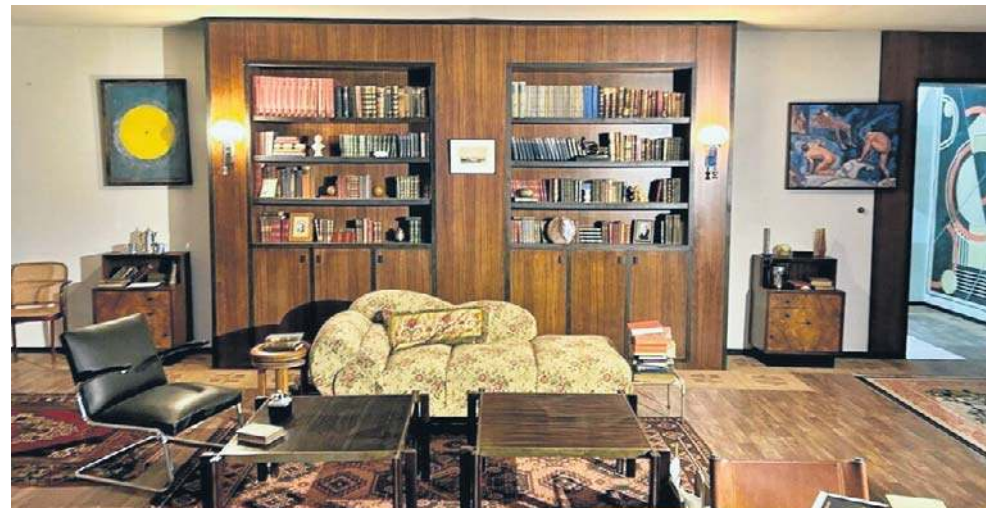
o pisarzu, który był nie tylko niemiecki, ale i europejski. To właśnie chcemy pokazać - mówiła producentka w rozmowie z „Gazetą Wrocławską”.

Dlaczego Wrocław?

- Tutaj kręciliśmy „Zimną wojnę”. Wiedzieliśmy, że sceny studyjne muszą powstać w jednym miejscu. Wrocławska hala

WFF ma świetne warunki, to miejsce coraz bardziej doceniane w świecie filmu - wyznała producentka.

„Fatherland” to produkcja polsko-niemiecko-francusko-włoska. Kluczową rolę odgrywali Polacy: operator Łukasz Żal, kompozytor Marcin Masecki, montażysta Piotr Wójcik i duet scenografów Sobańska - Sławiński.



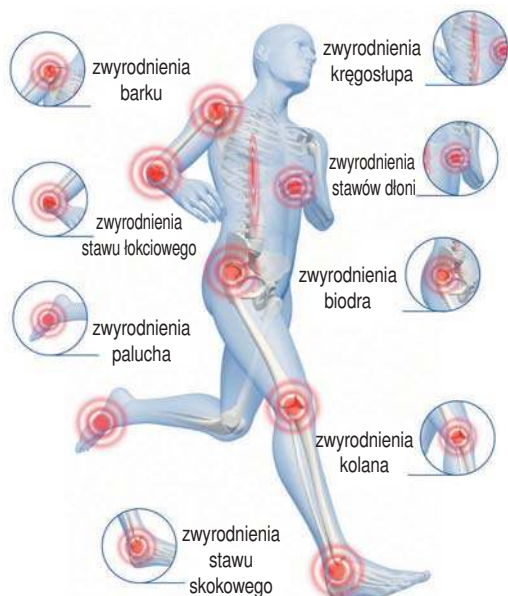
Tak we wrocławskiej WFF odtworzono mieszkanie Thomasa Manna



Odtwórcy głównych ról: Sandra Hüller i Hans Zischler

REKLAMA

0011505503



Jesteśmy w Centrum Terapii Kręgosłupa (SPONDLO-CLINIC group) prowadzonego przez dra Jarosława Jawnego - (uznany ekspert w dziedzinie spondyliologii i znany terapeuta manualny) - który pracuje ponad 30 lat z tkanką łączną, a jego zespół to uznani specjaliści w swoich dziedzinach. **Centrum słynie z nowoczesnych i skutecznych metod leczenia kręgosłupa, stawów i mięśni.**

Z jakimi schorzeniami najczęściej trafiają do nas pacjenci?

Z bólami i uszkodzeniami kręgosłupa, kolana, biodra czy też barku (cały aparat ruchu) - uszkodzenie po urazie, przeciążenie, wiek i zwyrodnienie. Tam, gdzie inni lekarze nie potrafili pomóc lub chcieli tylko operować. A dysfunkcje i ból należy leczyć zawsze i za wszelką cenę. Im wcześniej podejmiemy leczenie, tym szybciej i taniej dojdziemy do zdrowia.

Co to jest proloterapia?

Proloterapia to najnowocześniejsza na świecie metoda leczenia i regeneracji kręgosłupa, więzadeł, stawów i mięśni. Podajemy preparat w miejsce uszkodzenia i w punkty sterujące. Likwidujemy ból poprzez **naprawę uszkodzonej tkanki**. Dużą skuteczność osiąga się podając gotowy **kolagen MD**. **PRP to osocze bogato-płytkowe a i-PRF to fibryna**, które uzyskuje się po odwirowaniu z krwi własnej pacjenta. **PRP** to skoncentrowana objętość **platek krwi i czynników wzrostu stymulujących**

FENOMEN OSOCZA i FIBRYNY

Jedynе przyczynowe leczenie bólu - REGENERACJA KRĘGOSŁUPA, STAWÓW, MIĘŚNI I TKANEK

przebudowę naprawczą. **I-PRF** to najwyższe osiągnięcie medycyny regeneracyjnej, jest świetnie **usieciowana (struktura 3D)** i zawiera **dotąd dodatkowo znaczną ilość komórek macierzystych** (nazywana jest **osoczem III generacji**). Z **HBOT (komora tlenowa hiperbarczna)** działa rewelacyjnie. **Odrasta zwykła, zdrowa tkanka.**

Metody u nas stosowane są uznawane za najlepsze na całym świecie

Dotychczas, aby przyspieszyć proces regeneracji, stosujemy proloterapię, terapię manualną, igłoterapię, masaże, trening indywidualny kręgosłupa, kinezyterapię, dietę, ale też fizykoterapię - najnowsze technologie XXI wieku. Dzięki temu uzyskujemy **najwyższą skuteczność**.

Czemu kolagen jest aż tak ważny?

Kolagen, a szczególnie fibrynogen jest odpowiedzialny za to, że nasze tkanki są elastyczne i mocne. Jego brak sprzyja uszkodzeniom wielu struktur (kolana, biodra, ale też dyskopatie czy przepukliny).

Czy starszym ludziom można pomóc?

Tak, dostarczamy kolagen w ten sposób, żeby w uszkodzonym miejscu następowała regeneracja. Do **pobudzenia regeneracji** należy podać **czynniki wzrostu (PRP), komórki macierzyste, tlen** i zapewnić nowoczesną rehabilitację. **Zacznają być sprawni i bez bólu.**

A co z ludźmi po wypadkach lub urazach sportowych?

Ważne jest prawidłowe i szybkie rozpoczęcie leczenia. Zastosowanie **proloterapii z kolagenem, PRP lub i-PRF i właściwej rehabilitacji oraz fizykoterapii na najnowocześniejszym sprzęcie** znacznie skraca czas leczenia i całkowitego wyzdrowienia. Tutaj **HBOT (hiperbaria tlenowa)** czyni wręcz cuda. Mówimy o prawdziwej rewolucji w regeneracji. **Uważa się, że leczenie PRP, i-PRF i kolagenem jest lepsze od innych metod.** Około **90% ludzi po leczeniu u nas** funkcjonuje bez bólu. Nawet u pacjentów ze skierowaniem na operację mamy podobne wyniki.

Czy warto polecić leczenie tlenem pod ciśnieniem (HBOT)?

Tak. Leczenie **tlenem pod wyższym ciśnieniem** to nie moda, ale **nowoczesna i bardzo skuteczna** metoda wspomagania terapii w bardzo wielu schorzeniach. Także **znacznie skraca czas leczenia i regeneracji**. Po kilku zabiegach w komorze tlenowej poziom **komórek macierzystych** zwiększa się nawet **7-8 krotnie**. To także skuteczna profilaktyka (idealna w czasach COVID-19) oraz **najdoskonalszy doping sportowy i intelektualny**.

Do naszej oferty wprowadziliśmy również **INHALACJE WODOROWE**, do których stosujemy jedno z najbardziej wydajnych i technologicznie zaawansowanych urządzeń na rynku. Inhalacje te stanowią uzupełnienie prowadzonej terapii - zwiększają odporność organizmu, działają antyoksydacyjnie oraz wspomagają przy leczeniu wielu chorób (cukrzyca, nadciśnienie, astma, reumatyzm, alergie) oraz stanów zapalnych mięśni i uszkodzeń tkanek miękkich.

WARTO WIEDZIEĆ: Schorzenia, w leczeniu których się specjalizujemy to:

bóle kręgosłupa, dyskopatie (przepukliny), rwa kulszowa, bóle i zawroty głowy, migreny, bóle kończyn, barku, bóle kolan i bioder, łokieć tenisisty, wady postawy i skoliozy, bóle menstruacyjne, nerwobóle oraz wszelkie urazy sportowe i po wypadkach komunikacyjnych. Nasze metody (przy współpracy ze specjalistą stomatologią) są bardzo skuteczne przy **regeneracji stawu skroniowo-żuchwowego oraz przy leczeniu BRUKSIZMU (o ile wiadomo, jesteśmy pierwsi).**

Dr Jarosław Jawny prowadzi szkolenia z praktycznego stosowania osocza i fibryny dla lekarzy z całej Polski, propagując nowe metody.

ZAPRASZAMY DO CENTRUM TERAPII KRĘGOSŁUPA, Wrocław, ul. Wyszyńskiego 116/2, tel. 71 726 11 71, 503 183 095, www.ctkregoslupa.pl

TRIBBS: JEŚLI CHCĘ COŚ OSIĄGNAĆ, TO MUSZĘ SIĘ ZA TO ZABRAĆ TU I TERAZ

Naprawdę nazywa Mikołaj Trybulec. Oglądamy go właśnie co sobotę wieczór w telewizyjnej Dwójce jako trenera „The Voice Kids”. Nic dziwnego: od lat jest cenionym didżejem, producentem i twórcą eurowizyjnych hitów w kraju i za granicą. Nam zdradza jaka jest cena tego sukcesu

Patryk Gzyl

Wraz z wkroczeniem do „The Voice Kids” twoja popularność wskoczyła na wyższy poziom. Czujesz się trochę celebrytą?
Nie. Na pewno nie celebrytą. W ogóle nie lubię tego słowa. Na pewno jednak ta większa popularność jest obecnie przeze mnie bardziej odczuwalna. To ciekawe doświadczenie. Cały czas staram się jednak mocno stać obiema nogami na ziemi i cieszyć się, że ciągle jestem sobą.

Jak sobie radzisz z tą rosnącą sławą?

Już od dawna byłem rozpoznawalny na ulicy. Ale teraz zdarza się to częściej. Ostatnio byłem na poczcie i rozpoznała mnie tam pani w wieku moich rodziców. To mnie dosyć mocno zaskoczyło. Byłem też u dentysty i siedząca tam naprawdę starsza pani spytała mnie: „Pan z The Voice Kids?”. Rozpoznaje mnie więc inny krąg odbiorców niż do tej pory – nie tylko użytkownicy TikToka, ale też widzowie telewizyjnej Dwójki. To bardzo przyjemne.

Co sprawiło, że zdecydowałeś się zasiąść w fotelu trenera „The Voice Kids”?

Dostałem zaproszenie do pełnienia tej funkcji. Nigdy bym nie odmówił takiej propozycji, bo zawsze było moim marzeniem, aby zostać trenerem w „The Voice”. Kiedy więc usłyszałem, że to może się stać, robiłem wszystko, aby to się stało. I bardzo się cieszę, że do tego doszło.

Po ogłoszeniu twojego nazwiska, było w necie trochę głosów oburzenia w stylu: „Jak ktoś, kto nie śpiewa, ma być trenerem śpiewu?”. Jak byś im odpowiedział?

Placę wtedy z przykrości i ludzi przestają mnie hejtować. (Śmiech) A tak na poważnie: myślę, że to idealnie odnosi się do funkcji trenera. Bo jak po-

myślisz o trenerze, to nie musi być osoba, która była mistrzem świata w danej dyscyplinie, tylko powinna znać się na niej. Nagrałem w swym życiu tysiące wokali i często musiałem być wokalnym coachem, który podpowiada jaką barwę zaśpiewać, w jaki sposób, czy co poprawić, żeby brzmiało to lepiej. Mam więc bardzo dużą wiedzę na ten temat. Zwłaszcza, że świat studia i produkcji to inna kategoria niż świat estrady i występów na scenie. Tu i tu stosuje się zupełnie inne techniki wokalne. Dlatego uważam, że posiadam duże doświadczenie i mam się czym podzielić.

Jak się odnalazłeś między Cleo i Blanką w roli oceniającego dziecięce występy?

Bardzo fajnie. Obie znałem wcześniej, choć Cleo nie tak dobrze jak Blankę. Bardzo mnie zaskoczyła otwartość Cleo, to, że była dla nas tak przyjazna i wspierająca. Podczas któregoś spotkania opowiedziała nam jak to ona została ciepło przyjęta przez Tomsona i Barona, którzy przywitani ją i pokazali jej drogę, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w programie. Dlatego potem postanowiła dalej przekazać tę pozytywną energię. To było bardzo miłe i cieszę się, że właśnie takie osoby a nie inne zasiadają ze mną na tych fotelach.

Momentami mam wrażenie, że twoje koleżanki-trenerki trochę cię zdominowały i zakrzyczały. Nie masz takiego poczucia?

Nie. Lubię odnajdywać swoją przestrzeń w momentach, w których sam chcę ją odnaleźć. I myślę, że to fajnie zagrało w programie. Kiedy czasem nie mam nic do powiedzenia, to wolę nic nie mówić. Dlatego cieszę się, że dziewczyny mają mocną energię i dużo z siebie

dają. Również wsparcie tym dzieciakom. Myślę, że to fajnie wypadło i dobrze odnalazłem się w roli tego spokojniejszego trenera.

Jakie znalazłeś porozumienie z dziećmi z drużyny?

Doskonałe. Skumaliśmy się tak ze sobą, że mamy teraz wspólną grupę na Messengerze i komentujemy sobie każdy odcinek programu. Finaliści dostali zaproszenie do mojego studia, gdzie każdy z nich będzie więc mógł zrobić sobie swoją piosenkę. To wspaniałe dzieciaki i co bardzo zaskakujące, bardzo mądre i dojrzałe jak na swój wiek. Do tego naprawdę dobrze znoszące presję

i stres. Bo przecież nie wszystkie wygrywają, a rozumieją, że to dla nich wspaniała przygoda i są za to bardzo wdzięczne.

W dziecięcych programach typu talent-show trzeba mieć wyjątkowo delikatne podejście do uczestników. Jak sobie z tym poradziłeś?

Akurat z tym nie mam problemu. Raczej odwrotnie: moim problemem bywa to, że jestem zbyt delikatny czy zdystansowany. Zawsze jestem dla dzieciaków w pełni wspierający. Dlatego tak dobrze czuję się w tej roli.

Gdybyś sam był dzisiaj dzieckiem, zgłosiłbyś się do takiego programu?



Tribbs: Zawsze jestem dla dzieciaków w pełni wspierający. Dlatego tak dobrze czuję się w tej roli

Nie zgłosiłbym się, bo nie mam nawet jednego procenta talentu, jaki mają te wszystkie dzieciaki. Moja droga była zupełnie inna i dużo bardziej wyboista. Ale przez to może być dla nich inspiracją, że przy odpowiednio ciężkiej pracy i samozaparciu, można dojść nawet do pozycji fotela trenera w „The Voice Kids”. (Śmiech)

Jesteś słusznego wzrostu i za młodu trenowałeś siatkówkę. Dlaczego nie poszedłeś dalej tym torem?

Dla mnie sport i muzyka były zawsze na równym poziomie aż do szesnastego roku życia. Wtedy zdałem sobie sprawę, że w siatkówce raczej nie będę mistrzem świata. Postawiłem więc w stu procentach na muzykę. Początkowo byłem basistą, a dopiero mając dziewiętnaście lat zacząłem produkować nagrania. Następne siedem lat zajęło mi osiągnięcie odpowiednich umiejętności i powołanie do życia projektu o nazwie „Tribbs”. To była więc długa, ale ciekawa droga. Ale sport bardzo mnie ukształtował i nauczył dyscypliny. To był wspaniały czas, którego nawet momentami mi dzisiaj brakuje.

Jako nastolatek grałeś na gitarze basowej jako muzyk sesyjny. To była dobra szkoła muzycznego rzemiosła?

Świetna. Doceniam ten czas. Cieszę się, że mimo iż nie mam szkoły muzycznej, jestem sprawnym instrumentalistą. Znam jednak wielu producentów, którzy nie są muzykami i też sobie świetnie radzą. Wydaje mi się więc, że jest dużo różnych dróg. Ja sobie cenię mój warsztat. Niektóre rzeczy przychodzą łatwiej, kiedy zna się teorię muzyczną i gra się na jakimś instrumencie.

Co sprawiło, że zainteresowałeś się produkcją muzyki?

Kiedy kończyłem liceum, zastanawiałem się nad kierunkiem studiów. Mogłem iść na Akademię Muzyczną, by kształcić się w grze na gitarze basowej, ale stwierdziłem, że chyba bym się tam nudził. Pomyślałem więc, że zrobię coś zupełnie innego. Dostałem się na studia produkcji muzycznej w Londynie – ale ostatecznie tam nie pojechałem. Jedną z rzeczy, które były niezbędne, aby dostać się do tej szkoły, było przygotowanie i wysłanie dwóch nagrań demo. Tak powstały dwie moje pierwsze produkcje muzyczne, stworzone po to, by dostać się na studia.

Sam opanowałeś potrzebne programy i narzędzia do produkcji muzyki na komputerze?

Tak. W stu procentach. Uczylem się od zera tylko i wyłącznie z YouTube'a i z innych dostępnych źródeł w internecie. Dziś jest tam wszystko. Wystar-

czy tylko odpowiednia motywacja.

Pierwsze sukcesy w solowej działalności pod szyldem Tribbs przyniosły ci taneczne wersje klasycznych polskich przebojów Budki Suflera, Maanam czy Krzysztofa Krawczyka. Jak wpadłeś na ten pomysł?

To miało być początkowo muzycznym żartem. Zrobiłem to tylko i wyłącznie w tym celu. Pomyślałem, że będzie to absurdalne i śmieszne. Kiedy udostępniłem pierwszy taki teledysk do „Balu wszystkich świętych”, okazało się, że nie każdego to śmieszy, tylko większość ludzi się tym jara. To było dla mnie bardzo duże zaskoczenie. Społeczność internetowa chciała mnie wypromować i sprawić, żebym robił więcej tych przeróbek. Poszedłem więc za ciosem i zrobiłem kolejne. Natomiast zawsze miałem do tego duży dystans, bo był to śmieszny pomysł, który niespodziewanie wypalił. Ale myślę, że to nic wyjątkowego: w historii muzyki popularnej było wiele zespołów, które powstały dla żartu, a odniosły poważny sukces.

Powodzenie remiksów sprawiło, że postanowiłeś pokazać ludziom własną twórczość?

Właściwie zacząłem produkowanie muzyki od autorskich nagrań. To te przeróbki były dla mnie czymś, co przyszło później. Ale to one sprawiły, że stałem się rozpoznawalny i dla ludzi to było coś nowego, kiedy zacząłem wydawać swoje numery. Miałem jednak ochotę je opublikować, aby coś się zmieniło. Tak pojawiły się piosenki „Dzięki, że jesteś” z Lanberry, „Close Your Eyes” ze Stephenem Puthem czy Halo” z Quentinem Moismannem.

Kiedy zacząłeś tworzyć własne utwory, od razu była to muzyką taneczną w stylu Calvina Harrisa czy Avicii'ego. Co cię fascynuje w takiej stylistyce?

Kiedy zabrałem się za tworzenie muzyki, zainteresowało mnie również kreowanie własnej marki i wizerunku. Zrobiłem bowiem kilkadziesiąt numerów i zacząłem zastanawiać się co z tym dalej począć. Rozkminiłem co wpływa na to, że ludzie chętnie słuchają jednego rodzaju muzyki, a drugiego – nie. I tak doszedłem do wniosku, że jeśli chcę robić własne nagrania, to muszę najpierw zostać didżejem. Bo tak się kojarzy ktoś, kto sam produkuje swoją muzykę. Uznałem, że to będzie najprostsze i najklarowniejsze. Bo określenie „producent muzyczny” jest dla wielu ciągle zagadką. Ja musiałem mojemu tacie ze trzydzieści razy tłumaczyć czym się zajmuje taka osoba. (Śmiech) Zostałem więc didżejem – a że lubię bardzo różną muzykę i słuchałem również tej tanecznej, nie miałem z tym problemu.

Działasz dalej jako didżej?

Oczywiście. Zapraszam na moje występy, będzie ich bardzo dużo w tym roku. Gram zarówno swoje znane, jak i zupełnie nowe numery, a do tego remiksy i mash-upy, czyli połączenia kilku utworów na raz w niekonwencjonalnych podejściach. Tworzę również wizualne, właściwie z występu na występ dodają co najmniej jeden nowy. Sięgam też po instrumenty - gitarę czy bas. Dzieje się więc dużo fajnych rzeczy.

Od razu zacząłeś działać nie tylko w Polsce, ale i za granicą.

Od początku często zastanawiam się nad swoją karierą zagraniczną. Można ją zdefiniować na wiele różnych sposobów. Dla każdego sukces oznacza bowiem coś innego. Miałem już przeboje, które były grane w radiu w Czechach, w Szwecji czy w Niemczech. Ale nie odczuwam za bardzo, abym był rozpoznawalny za granicą. Kiedy w Polsce radio gra czyją piosenkę, to można powiedzieć, że robi on karierę. Za granicą to tak nie wygląda. W jakimś stopniu na pewno jednak osiągnąłem już sukces poza Polską.

To takie nowoczesne narzędzia dystrybucji i promocji muzyki jak Spotify czy YouTube umożliwiają ci globalną ekspansję?
Najbardziej przydają się social media - TikTok, Instagram i Fa-

cebook. Spotify jest dobrym dystrybutorem muzyki, ale w ich interesie jest nie twórca czy wykonawca, a raczej słuchacz. Procent zysku od odtworzenia utworu, jaki oferują, jest bowiem nazbyt znikomym. Ja akurat nie mam z tym problemu, bo mam w dzisiejszym Spotify ponad cztery i pół miliona słuchaczy miesięcznie. Ale artyści, którzy mają dwieście czy sto tysięcy odtworzeń, nie odczuwają, że w ten sposób w jakiś sensowny sposób zarabiają. Kiedyś sprzedaliby tysiąc płyt i mieliby z tego konkretny zysk. A od Spotify dostają jakiegoś grosza. Ostatnio rozmawiałem o tym z jedną z koleżanek po fachu, która ma węższą grupę słuchaczy i dla niej przychody z digitalu praktycznie nie istnieją.

Ty łączysz to wszystko, bo korzystając z cyfrowej dystrybucji swych nagrań, wydałeś też trzy lata temu swą debiutancką płytę na kompaktce.

Teraz mieszkam w Londynie i zauważyłem, że ludzie dużo słuchają tam muzyki z winyli. Dlatego jest mnóstwo sklepów z takimi płytami. Dzięki temu odkryłem sens wydawania muzyki w tej postaci. Dlatego może kiedyś coś opublikuję na winylu. Generalnie jednak sprzedaj muzyki to kwestia, która jest dla mnie nieodgadnioną zagadką. Ciężko mi się nad wszystkim skupić naraz,

dlatego za dużo o tym teraz nie myślę.

Ta przeprowadzka do Londynu to kolejny etap twojego podboju światowych rynków?

Staram się tu poznać jak największej wpływowych ludzi. I już mi się to udaje: współpracuję obecnie ze znaną piosenkarką Cheryl Lloyd i raperem Professoreem Greenem. Jest tam mnóstwo wspaniałych artystów i oni są właściwie na wyciągnięcie ręki. Natomiast problem jest taki, że skontaktowanie się z nimi trwa bardzo długo. Dużo czasu czekał nieraz na odpisanie na maila czy umówienie sesji. Jakby jakoś wolniej tam ludzie żyli. (śmiej) Generalnie to rynek wielu możliwości. Nie chcę jednak zaniedbywać tego, co robię w Polsce. Tym bardziej, że tutaj więcej mogę i ludzie szybciej odpisują na maile. (śmiej)

Sam inwestujesz w te zabiegi?

Tak. Sam opłacam sobie teraz mieszkanie w Londynie. Staram się mądrze inwestować pieniądze, które zarobiłem w Polsce, żeby potencjalnie mogło się to kiedyś opłacić.

Zacząłeś tworzyć piosenki na Eurowizję...

To był łut szczęścia. Kilka lat temu pojechałem na obóz twórczy dla songwriter'ów i producentów, gdzie łączyliśmy się w pokoje i tworzyliśmy

od zera nowe piosenki. I właściwie już pierwszego dnia napisałem utwór, który dostał się na czeskie preselekcje do Eurowizji w 2019 roku. Po prostu wokalista Lake Malawi zdecydował się startować właśnie z tym numerem. I kiedy okazało się, że wygrał te preselekcje i jedzie z „Friend Of A Friend” na Eurowizję, w kolejnych latach pojawiły się propozycje napisania utworów dla wykonawców z innych krajów - najpierw z Hiszpanii, a potem z Austrii i Szwajcarii. Ciekawostką jest, że miałem swój udział również w ubiegłorocznej edycji konkursu. Trzymam się bowiem blisko ze szwajcarską ekipą, która go organizowała, dzięki czemu pomagałem przy stworzeniu akompaniamentu do parady flag podczas finału w Bazylei. Można więc było i wtedy usłyszeć moją muzykę na Eurowizji.

Jaka jest twoja recepta na eurowizyjny przebój?

Szczerze? Nie mam żadnej. W tym roku zrobiłem piosenkę po polsku i nawet nie dostałem się do naszych preselekcji. (śmiej) Jak więc widać, nie ma zasad. To chyba kwestia poświęconego na to czasu, a ja go poświęciłem bardzo mało. Może dlatego się nie dostałem. Tak naprawdę ciężko powiedzieć - zawsze wygrywa coś innego. Choć są pewne utarte schema-

ty, które dają większe szanse: ballady czy kontrowersyjne tematy. To może pomóc, na pewno liczy się nie tylko muzyka, ale też wykonanie, wizerunek i scenografia.

Z którą piosenką na Eurowizję wiązałeś największe nadzieje?

Chyba z tą dla Czechów. To była moja pierwsza przygoda z tym konkursem, było to więc dla mnie bardzo ciekawe. Mam też duży sentyment do utworu „Watergun”, który zaśpiewał w 2023 roku Remo Forrer, reprezentujący Szwajcarię. Co ciekawe - singiel z tym utworem pokrył się tam platyną. Niedawno chciałem odebrać przyznaną mi za to nagrodę z poczty, ale okazało się, że przesyłkę zatrzymał Urząd Celny, każąc się tłumaczyć co to jest i ile jest to warte. (śmiej) Na razie więc jej nie mam.

Którą ze swoich polskich piosenek na Eurowizję cenisz najbardziej?

Napisałem dwie: „River” Ochmana i „Solo” Bianki. Oba te utwory wygrały polskie preselekcje zupełnie przypadkowo. „Solo” nie pisaliśmy pod kątem Eurowizji, Blanka zgłosiła się z tym utworem sama. Z kolei na napisanie „River” mieliśmy bardzo mało czasu, więc potem zdziwiliśmy się, jak

bardzo się on ludziom spodobał. No ale Krystian jest wyjątkowym wokalistą i ta jego operowa barwa głosu zachwycała wiele osób. Blanka też wykonała kawał dobre roboty, zrobiła gigantyczny progres w tak krótkim czasie i udowodniła Polakom, że jak się chce, to można i ma naprawdę kawał charakteru.

Nie masz ochoty sam wystąpić na Eurowizji jak choćby inny polski producent i didżej - Gro-mee?

Raczej nie. To konkurs wokalny i powinni na nim występować wokaliści. Nie mam więc takiej ochoty i ambicji. Nie podoba mi się to, że tam wszystkie instrumenty leżą z playbacku. Jak długo tak będzie, to nie ma sensu. Jakby mógł zagrać na żywo chociaż trzy akordy, to może bym się skusił. Ale na razie nie.

Przygotowałeś już piosenkę na tegoroczną Eurowizję Junior dla zwycięzcy „The Voice Kids”?

Nie. Jeszcze nie wiemy przecież kto wygra.

Czyli siadiesz do tego, kiedy poznamy zwycięzcę?

Nie jest powiedziane, że to ja mam ją przygotować. Ale jeśli TVP zaprosi mnie do współpracy, to na pewno chętnie wezmę w tym udział.

REKLAMA

0011484422



Dolnośląskie Centrum Hurtu Rolno - Spożywczego S.A.

Wjazd ulicą Giełdową lub Tyniecką
Cennik i szczegółowe informacje dotyczące zasad i godzin wjazdu na:

www.dchrs.com.pl

Wrocławski Rynek Hurtowy

zaprasza na zakupy do domu i ogrodu!

W asortymencie:

- sezonowe i całoroczne kwiaty cięte
 - kwiaty doniczkowe
- rośliny rabatowe, sadzonki, krzewy i drzewka
- artykuły ogrodnicze
 - akcesoria florystyczne
 - donice i doniczki
 - artykuły dekoracyjne













M/S „BATORY” MAJESTATYCZNIE PŁYNIE DO WENECJI

21 kwietnia 1936 r., równo 90 lat temu, legendarny transatlantyk wyruszył w swój pierwszy rejs. Był symbolem aspiracji i dumy II RP

Mariusz Grabowski

Na tle ówczesnej polskiej siermięgi „Batory” miał być wizytówką polskiej floty i wizualnym narzędziem propagandy, pokazującym Polskę jako kraj nowoczesny. Luksusowy wystrój wnętrza sfinansowały instytucje i banki, meble i dekoracje wykonano z najlepszych materiałów, a wśród pasażerów królowali celebryci.

Fogg tańczy z Ordonką

„Batorego” nie można traktować jedynie jako przedsięwzięcia biznesowego, był bowiem czymś znacznie ważniejszym. Nie tylko cieszył oko, ale realizował mocarstwowe marzenia Polski stania się potęgą morską i pełnił funkcję ambasadora polskiej kultury i sztuki. Nie bez powodu na pierwszy rejs Triest-Gdynia przez Dubrownik, Barcelonę i Lizbonę zaproszono najbardziej znane postacie z ówczesnego świecznika.

Jak pisze Bożena Aksamit w książce „Gwiazdy, skandale i miłość na transatlantyku”: „Był tam m.in. Melchior Wańkowicz, Arkady Fiedler, Irena Eichlerówna, Monika Żeromska. Poza tym arystokraci, inteligencja, przemysłowcy. Przez dwa tygodnie dobrze bawili się, spędzali czas na dansingach, balach (...) Przedstawiciele elit np. Mieczysław Fogg, czy Hanka Ordonówna pływali także w kolejnych rejsach do Nowego Jorku”. Na pokładzie byli także malarz Wojciech Kossak, aktorka Irena Eichlerówna, a nawet Andrzej Strug, literat, socjalista i wolnomularz.

Później „Batory” miał też mniej spektakularne zadania - podróżowali nim emigranci zarobkowi do Ameryki. Rejsy wycieczkowe były organizowane niejako przy okazji masowego przewozu emigrantów do Ameryki.

Rodzą się legendy

Statek był olbrzymi: miał 160 m długości, 22 m szerokości, siedem pokładów, salę balową, salę dancingową, czytelnię, trzy bary, kaplicę, basen i salę gimnastyczną z elektrycznym koniem i wielbłądem. Dekoracje statku wykonali najwybitniejsi polscy artyści, zrzeszeni m.in. w grupie

artystycznej „Bractwo św. Łukasza”, którzy zadbali o projekt nie tylko pomieszczeń ale również najmniejszych detali takich jak zastawa stołowa czy karty dań. Linię pokładu podkreślała biała wstęga burtowa wybijająca się z czarnego kadłuba. Liniowiec miał niezbyt mocno wychyloną, ozdobioną stylizowanym herbem Stefana Batorego dziobnicę.

„Swoją najlepszą czas miał podczas międzywojnia, gdy za sterami stał legendarny »Szaman Morski« kapitan Eustazy Borkowski. Postać uwielbiana przez pasażerów, poliglota mówiący kilkunastoma językami i to przeważnie jednocześnie. Przysłowiowa była jego słabość do pań i wysokoprocentowych napojów. Na »Batorym« żartowano, że statek zatonię, gdy kapitan Eustazy Borkowski wytrzeźwieje” - pisze Aksamit.

Żałoga „Batorego”, zgodnie z ogólnym poleceniem szefostwa, była otwarta na pasażerów, spędzała z nimi czas i wspólnie imprezowała. Na statku była też wysmienita kuchnia, która przyciągała gości z zagranicy. Posiłki jedzono na porcelanie z Ćmielowa, sztukami Fragaeta, pod obrazami Zofii Stryjeńskiej.

Państwo wspomaga

Wystrój polskich transatlantyków był wynikiem świadomych założeń. Do jego realizacji powołano nawet specjalną podkomisję artystyczną, której przewodniczącym został artysta i projektant Wojciech Jastrzębowski, projektant wnętrz gmachu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego - obecnie Ministerstwo Edukacji Narodowej.

„Statki miały stać się pływającymi salonami, świadczącymi o polskiej kulturze artystycznej. Komisja zaprosiła do współpracy artystów z rozmaitych środowisk. Zarówno z akademii, jak i politechnik, w tym wielu młodych, wręcz jeszcze studentów” - czytamy na stronie designlive.pl, poświęconej architekturze wnętrza.

Można powiedzieć, że wystrój transatlantyków stał się zatem dziełem zbiorowym. Zaprojektowano nie tylko pomieszczenia, ale także liczne detale, w tym zastawę stołową i kartę dań.

Biznes z rozmachem

„Batory” był ikoną stylu, ale miał też zarabiać. Pomysł jego budowy zrodził się na początku lat 30. w zarządzie nowo utworzonej polsko-duńskiej spółki akcyjnej z siedzibą w Gdyni, czyli Polskiego Transatlantycznego Towarzystwa Okrętowego (PTTO).

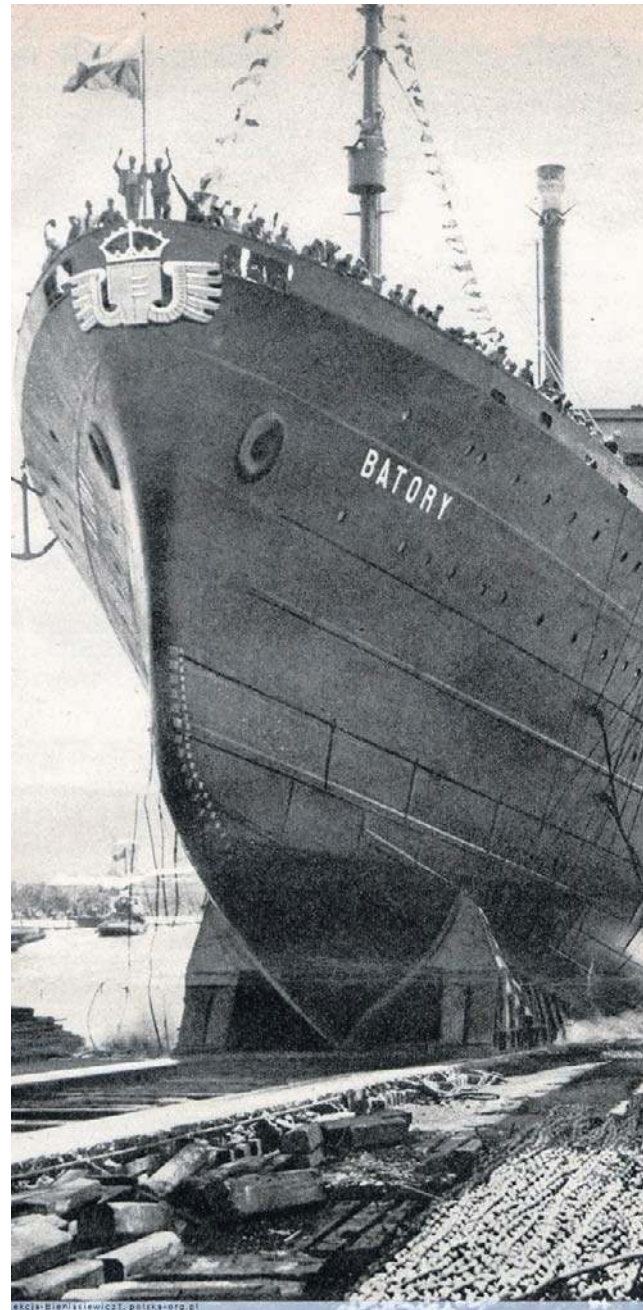
Jak czytamy w trzecim tomie „Księgi statków polskich 1918-1945”: „11 marca 1930 r. zawarto umowę między Żegluga Polska a Det Østasiatiske Kompagni o powołaniu spółki akcyjnej Polskie Transatlantyczne Towarzystwo Okrętowe Linia Gdynia-Ameryka z siedzibą w Gdyni. Udział strony polskiej wynosił 75 proc. akcji. Za kwotę 18 mln ówczesnych złotych, rozłożoną na raty i zabezpieczoną na hipotekach statków, strona polska zakupiła całą Bałtycko-Amerykańską Linię ze statkami, biurami i przystanią w Nowym Jorku”.

Jednocześnie podjęto decyzję o zmianie profilu linii północnoamerykańskiej, z emigracyjnej na turystyczną. W takiej sytuacji koniecznością stała się budowa nowych jednostek, które spełniałyby najnowsze standardy. Do budowy przyszłego „Batorego” wybrano włoską stocznice Cantieri Riuniti dell'Adriatico. Co ciekawe, część zapłaty - 1,25 mln dolarów - miała być zrealizowana polskim węgłem.

Kierunek: Nowy Jork

W 1932 r. w miejsce Żegluga Polskiej akcjonariuszem PTTO został Skarb Państwa, a siedzibę przeniesiono z Gdyni do Warszawy. Luksusowe biura mieściła się najpierw w kamienicy na rogu Marszałkowskiej i Żłotej, a potem w Pałacu Kronenberga. W październiku 1934 r. udziałowcy PTTO zdecydowali o zmianie nazwy firmy na Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe S.A., w skrócie GAL, zmieniając też flagę i odznakę armatorską.

Biznes okazał się opłacalny: GAL prowadziły przewozy pasażerskie głównie do obu Ameryki oraz z rumuńskiej Konstancy, przez Istanbuł, do Haify i w końcu sierpnia 1939 r. dysponowały ośmioma statkami. Największymi w okrętowej stajni były M/S „Piłsudski” i M/S „Batory” (po ok. 14 tys. BRT), najmniejszym zaś M/S „Stalowa



Wodowanie kadłuba odbyło się 3 lipca 1935 roku, a matką chrzestną była Jadwiga Barthel de Weydenthal. 21 kwietnia 1936 wyruszył w swój pierwszy rejs

Wola” (3,5 tys. BRT). GAL utrzymywały sieć przedstawicielstw w kraju i za granicą, m.in. w Londynie, Nowym Jorku, Pradze, Rydze, Bukareszcie, Buenos Aires, Tel Awiwie, Kopenhadze i Gdańsku. W Nowym Jorku spółka dzierżawiła początkowo przystań Bush Pier w Brooklynie, a od 1935 r. znacznie większą przystań Hoboken.

Transatlantyki prezentowały się majestatycznie na tle wzbu-

rzonych fal, ale ich pasażerami byli najczęściej nie celebryci, lecz biedota: polska emigrująca do Stanów i żydowska do Palestyny.

Polska bieda

Dużo mniej liczny był transport reemigrantów powracających do Polski lub Polaków mieszkających w USA, którzy przyjeżdżali do kraju odwiedzić rodziny. Z dokumentów Mu-

zeum Emigracji w Gdyni wynika, że w Dwudziestolecium w ramach emigracji zarobkowej wyjechało z Polski ok. 2,2 mln osób. Zanim uruchomiono port w Gdyni, emigranci do Stanów Zjednoczonych i krajów Ameryki Południowej odplywali przeważnie z portów niemieckich i na niemieckich statkach.

„Słońce, wino i dancingi”

Przenieśmy się na „Batorego”, wyruszającego w swój dziewiczy rejs. Rejs był szeroko reklamowany w prasie, stał się towarzyską sensacją i GAL nie miały problemów ze sprzedażą biletów. Jak opisywał później Melchior Wańkowicz, który codziennie nadawał audycje radiowe do kraju, znalazło się na nim „620 burżujów”. Na późniejsze zarzuty, że artyści i przedstawiciele wolnych zawodów - a to właśnie śmietanka miała testować „Batorego” - sami kupili bilety, odparł, że „biednych na pokładzie na pewno nie było”. „Ci ludzie zarabiali po pięćdziesiąt tysięcy złotych miesięcznie” - odpowiadał pisarz. Dla porównania: nauczyciel zarabiał wówczas około 200 zł miesięcznie, a starszy sierżant policji ponad 250 zł. Z kolei pierwszy rejs z Gdyni do Nowego Jorku, nie licząc postoju w Kopenhadze, zajął „Batoremu” siedem dni i 17 godzin. Na pokładzie byli nie tylko pasażerowie. Do Stanów zabrał ze sobą wędliny, nabiał, cement, gięte meble czy blachę. W kolejnych rejsach z i do USA, „Batory” przewoził auta, listy, a nawet samolot, należący do Tomasza Baty, założyciela firmy Bata. Wbrew legendzie, „Batory” nie transportował... żubrów. W listopadzie 1934 r. cztery bizony - dar Polonii kanadyjskiej dla prezydenta RP Ignacego Mościckiego - przewiózł do Gdyni MS „Kościszko”.

Na wojnie i później

24 sierpnia 1939 r. „Batory” wypłynął z Gdyni, a 30 sierpnia kapitan Borkowski dostał polecenie, by skierować się do najbliższego angielskiego portu. Zdecydował się jednak płynąć do Nowego Jorku, choć do Anglii było dużo bliżej. „Batory” dotarł tam 4 września. Polski transatlantyk Amerykanie wycharterowali Brytyjczykom. Po przejęciu nazywał się H (is) M (ajesty's) T (ransport) „Batory”. „Na wojenny kamuflaż poszło kilka ton farby, statek stał się ciemnoszary, a burty zostały zamalowane w podłużne, faliste pasy o kolorze zielono-czarno-szarym” - pisze Bożena Aksamit. „Batory” służył w czasie wojny Brytyjczykom jako transportowiec z polską załogą, a w 1945 r. wrócił do Polski. Zezłomowano go w 1971 r. Oblicza się, że 35 lat służby odbył 222 rejsy liniowe, przewożąc ok. pół mln pasażerów. W 1952 r. zastąpił go transatlantyk „Stefan Batory”, też przedmiot polskiej dumy, ale tym razem tej socjalistycznej.

Local content to nie hasło. To walka o miliardy i przyszłość polskich firm

Local content od miesięcy jest jednym z najgorętszych tematów gospodarczych. Rząd kończy prace nad jego definicją, strategiczne inwestycje przyspieszają. Czy to realna szansa dla polskich firm czy tylko modne hasło?

Niewątpliwie te dwa słowa zostaną wybrane na najbardziej popularne sformułowanie w bieżącym roku. Nie sposób zliczyć wypowiedzi i artykułów, w jakich występują w różnych kontekstach. A przecież nie chodzi o to, żeby na tym poprzestać, żeby „local content” był tylko metką „made in Poland”, którą sygnujemy kolejne umowy i inwestycje. To przekonanie, że jak największa część z tych kilkuset miliardów złotych, jakie zostaną wydane na strategiczne inwestycje, powinna pozostać w naszym kraju w każdej możliwej postaci – nie tylko jako zapłata za wystawione faktury, wynagrodzenia i podatki, ale przede wszystkim jako wzrost kompetencji polskich firm w oparciu o nowe technologie i doświadczenie. Mówimy bowiem o wielkich projektach inwestycyjnych w transformacji energetycznej (pierwsza polska elektrownia atomowa, morskie farmy wiatrowe, sieci przesyłowe), infrastrukturze (Port Polska, Kolej Dużych Prędkości) czy też obronności. Jestem przekonany, że te inwestycje będą kołem zamachowym dla całej polskiej gospodarki, skorzysta wiele polskich przedsiębiorstw i to nie tylko tych bezpośrednio realizujących te wielkie zamówienia, ale i ich dostawcy oraz poddostawcy dostawców. To system naczyń połączonych - tysiące przedsiębiorstw i setki tysięcy miejsc pracy.

Poziom rozwoju gospodarczego nigdy nie jest efektem choćby największych, ale pojedynczych kontraktów. Kluczowe jest miejsce, jakie zajmą polskie przedsiębiorstwa w łańcuchach dostaw towarów i usług, transferze technologii, tworzeniu wartości dodanej, co w rezultacie pozwoli na szerokie wejście z ofertą również na rynki zagraniczne. Podstawową rolę w tej drodze po nowe kontrakty, kompetencje i specjalizacje powinien odegrać sektor prywatny, szczególnie małe i średnie przedsiębiorstwa.

Dobrze, ale co to oznacza w praktyce dla małych i średnich firm? Jak mogą włączyć się w reali-



Krzysztof Telega Wiceprezes Zarządu ARP S.A.

zacje tych strategicznych projektów?

Nie czekać, tylko rozpocząć przygotowania tak, aby być gotowym na pojawiające się projekty. Moim zdaniem, dobrze jest zacząć od rozpoznania swoich kompetencji i podjęcia strategicznej decyzji, w jakich projektach chcę uczestniczyć, w jakich sektorach chcę być aktywny. Powinno to dać przedsiębiorcy obraz, czy aktualnie posiadane umiejętności i doświadczenie są wystarczające do mocniejszego włączenia się w łańcuchy dostaw. Musi uczciwie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dziś jest gotowy wziąć udział w danym przetargu czy potrzebuje się przygotować? W wielu przypadkach będzie to zapewne druga odpowiedź, a to wymaga opracowania koncepcji, inwestycji w ludzi, park maszynowy czy procesy, niezbędny jest też czas i finansowanie. Niezwykle istotną rzeczą

jest też dostęp do informacji i budowanie relacji zawodowych w wybranych obszarach aktywności. W większości wcześniej wymienionych projektów inwestorzy i zamawiający prowadzą szeroką akcję informacyjną w postaci spotkań z dostawcami, prezentacji planów zakupowych i branżowych. Dobrym przykładem mogą tu być wszystkie spółki inwestorskie w sektorze morskich farm wiatrowych czy też spółka odpowiedzialna za budowę elektrowni atomowej, które już dziś komunikują, czego i kiedy będą potrzebować.

Podobnie czynią najwięksi ich dostawcy, jak choćby nasza spółka Grupa Przemysłowa Baltic, która już wie, o jakie kontrakty będzie się starać i jakich kooperatorów szukać. Organizuje spotkania dla przedstawicieli MŚP i pokazuje konkretne obszary współpracy, co miało miejsce podczas ostatnie-

go kongresu PowerConnect w Gdańsku. Widać więc wyraźnie, że local content przechodzi na kolejne szczeble łańcucha dostaw. O to właśnie w tej całej koncepcji chodzi. Jeden duży kontrakt napędza rozwój całego szeregu firm. Dziś jest ten moment, żeby budować swoją pozycję.

Czy to gra tylko dla największych?

To jeden z największych mitów wokół local content. Oczywiście projekty i towaryzujące im zlecenia są różnej wielkości i wartości. Są takie, które wymagają dużego doświadczenia, posiadania certyfikatów, a także mocnych gwarancji finansowych i są to zadania „szyte” pod większe firmy. Obok tego istnieje jednak ogromny rynek mniejszych zleceń, a przykładów nie trzeba daleko szukać - w marcu został opublikowany kalendarz przetargów na 2026 r. zwią-

zany z budową elektrowni atomowej. Znajdują się w nim zarówno wysoce specjalistyczne usługi, jak i zadania znacznie mniej złożone, na przykład budowa sieci wodno-kanalizacyjnych. Zatem warto trzymać rękę na pulsie i być przygotowanym.

A jeśli firma jest za mała na udział w przetargu?

Nie traktujmy tego jako barierę, tylko punkt wyjścia. Wiele kontraktów realizowanych będzie nie przez pojedyncze podmioty, ale przez sieci współpracujących przedsiębiorstw. Konsorcja i partnerstwa powinny być standardem, stanowiąc podstawę do zdobywania niezbędnej wiedzy i doświadczenia dla mniejszych firm, które nauczą się współpracować, czyli łączyć kompetencje, dzielić ryzyko i wspólnie startować w przetargach. W praktyce oznacza to, że nawet mniejszy podmiot może

wejść do dużego projektu, jeśli będzie współpracował z innymi partnerami, a tym samym zwiększy swoje szanse w przesuwaniu się w górę łańcucha dostaw i z czasem sam może zostać liderem konsorcjum.

Co z firmami, które dopiero muszą zbudować kompetencje?

Jeśli mówimy o sektorach zaawansowanych technologicznie, takich jak na przykład energetyka jądrowa, to wejście do nich wymaga przede wszystkim spełnienia rygorystycznych, międzynarodowych standardów jakości i bezpieczeństwa. Dla wielu firm udźwignięcie kosztów tego dostosowania może być największą barierą, dlatego stworzyliśmy program „Atom bez Barier” – kompleksowy pakiet finansowania dla przedsiębiorstw, które chcą włączyć się w realizację pierwszej polskiej elektrowni jądrowej.

Jednym z kluczowych elementów programu jest pożyczka certyfikacyjna. To rozwiązanie stworzone z myślą o firmach, które muszą sfinansować i zdobyć wymagane certyfikaty, aby startować w przetargach. Do tego dochodzi finansowanie inwestycji (w postaci pożyczek lub leasingu), które są niezbędne dla spełnienia norm jakościowych. Przedsiębiorcy mogą też skorzystać ze zwolnienia z podatku dochodowego do 70% wartości inwestycji, jeśli realizują je w ramach Polskiej Strefy Inwestycji. Wszystkie te instrumenty można elastycznie łączyć. To przykład tego, jak w odpowiedzi na potrzeby rynku, konstruujemy nasze pakiety rozwiązań.

Na koniec – kto naprawdę wygra na local content?

Sukces będzie należeć do tych, którzy już dziś podejmą decyzję, gdzie chcą być za kilka lat. Liczyć się będzie praktyka i inicjatywa. To jest przestrzeń, w której polskie przedsiębiorstwa muszą aktywnie zaważać o swoje miejsce w łańcuchu dostaw. I właśnie ci, którzy zrobią to pierwszy, mają szansę zbudować przewagę na lata. W Agencji Rozwoju Przemysłu towarzyszymy naszym przedsiębiorcom na tej drodze i zapewniamy elastyczne rozwiązania finansowe, ułatwiające wejście do łańcuchów dostaw w strategicznych sektorach polskiej gospodarki.

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 8.

POZIOMO: 1) materiał dla dawnego wędkarza, w połowie z pojazdu, 4) odzywka dla wyspiarskiego mebla, 8) bóstwo z Suez, 9) zachęcenie Ady do wypicia, 10) Jan wśród drewnianych naczyń, 11) Saski w Warszawie, Czerwony w Moskwie, 12) on to z AK, 13) skaza, hańba, dla przodków, 14) ten dzwonek, 17) marcowe, w dzień śmierci Cezara, 19) zawodowiec, filmowy, 20) pije w pracy, więc się nie upija, 22) wyznawca mazdaizmu, 23) materiał z boleni, 24) pomocnik trybuna, 26) stan z Kaziowej, 29) imię pianisty Brody, 32) mniejszy - do biegów i pod kotkiem, 33) masa czasu z Noego, 34) film z 1963 r. z Mikulskim i Karewiczem, o statku, 35) przestępstwo w koksie, 36) z diabła morskiego na zalotnika.

PIONOWO: 1) władcy Tatarów w baliach, 2) małe koziolki kastrowane,

3) nasza artystka kapeluszu (z franc.), 4) naczynie w stronę mydła, 5) już okrażeni, jak w worku, 6) o jak źle wykonaną czynność miały awantury wiejskie dzieci?, 7) bezbarwny obywatel, 15) zna się na analizach, 16) ciastko lekceważące duchownych, 18) osobnik leczący Ewy (przed Barrymore), 21) spławiane przez flisaków, 25) do niego piłka, nieduża, 27) rzeka, jezioro i miasto w Rosji, 28) rzymski krewny męski, z tanga, 30) pewna swej wartości, w parlamencie ros., 31) kawa w kani.

● Rozwiązanie z 3.04.2026 r.

Hasło: PIOŁUN

POZIOMO: drętwia, tłoki, molo, drób, ruszt, alga, Kastor, anat, lady, fantasmagorie, tarant, asysta, stopa, Atalanta, Reks, Ełk, altembas, azyl. **PIONOWO:** dodekafonia, Tybet, ambaras, Toranaga, internat, satyra, Galata, Santana, adorator, Adyga, inspekty, Tot, tiul, leże, nimb, Ares.

1		2			3		4	5		6		7
					8							
9								10				
					11							
12								13				
		14	15				16			17	18	
19							20		21			
		22					23					
24	25							26	27			28
					29	30		31				
32										33		
			34									
35								36				

1	2	3	4	5	6	7	8
---	---	---	---	---	---	---	---

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

JULIA WIENIAWA

Popada w kompleksy

Ostatnio celebrytka opublikowała w mediach społecznościowych kilka zakulisowych fotografii z pierwszego półfinału „Mam Talent!”. Tego dnia zaprezentowała się w obcisłym body, ozdobionym kryształkami. Wśród komentarzy internautów nie zabrakło nieprzyjemnych wpisów, krytykujących jej figurę. W odpowiedzi na nie, Wieniawa napisała: „I jak tu potem nie wpaść w kompleksy. Najgorsze jest to, że wiele z tych komentarzy napisały kobiety. Tak jakby nie wiedziały, że istnieje coś takiego jak hormony, które szczególnie w czasie dużego stresu plątają figle i np. zatrzymują wodę. Już nie mówiąc o tym, że można mieć różne przewlekłe problemy zdrowotne, które nie pomagają w utrzymaniu sylwetki społecznie uznanej za „idealną”.

ANNA CZARTORYSKA

Była bardzo rozczarowana

Aktorka dołączyła niedawno do popularnego serialu „Szpital św. Anny”. Z tej okazji przypomniano sobie o jej arystokratycznym pochodzeniu. W rozmowie z „Vivą” zdradziła, że dowiedziała się o tym, że wywodzi się z znamienitego rodu, kiedy miała cztery lata. Mieszkała wtedy z rodzicami w Holandii i znalazła w domu list adresowany do jej taty, w którym tytułowano go „Prince Czartoryski”. Poprosiła go więc o wyjaśnienia. Wtedy tata wyznał jej, że jest „księżniczką na Klewaniu i Żukowie herbu Pogoń Litewska”. - To było dla mnie trudne do zrozumienia. Księżniczki znałam tylko z bajek. Sądziłam, że mieszkają w zamkach i że kochają się w księżętach na białych koniach. Odkrycie, że sama jestem księżniczką, było, co by nie mówić, jednak jakimś rozczarowaniem - przyznała.

DOROTA WELLMAN

Stała się twarzą w twarz

Mimo że dziennikarka cieszy się powszechną sympatią te-



FOT. SZYMON STARNAWSKI

Baron miał wypadek, w którym poszkodowany został motocyklista. On sam nie komentuje zdarzenia

lewidzów, zdarzają się hejterzy, którzy obrażają ją w mediach społecznościowych. Pewnego razu nerwy puściły jej do tego stopnia, że zamiast odpisywać internaucie na złośliwe komentarze, postanowiła stanąć z nim twarzą w twarz. Opowiedziała o tym w programie „Imponderabilia”. - Znalazłam go i poszłam spotkać się z nim w jego miejscu pracy. To była duża firma, było wiele osób. I poprosiłam, żeby powtórzył to, co pisze w internecie. Wydrukowałam też te rzeczy i przyniosłam, rozdałam państwu, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Bo myślę, że warto wiedzieć, z kim się ma do czynienia, bo może to dotyczy również tych ludzi, z którymi się pracuje. W życiu nikt mnie tak nie przeproszał. Płakał - podsumowała.

MARCIN PROKOP

Otwiera nowy rozdział

W miniony wtorek dziennikarz poinformowała na Instagramie, że rozstał się z żoną - Marią Prazuch-Prokop. Rozwód przebiegł w przyjacielskiej atmosferze, czego dowodem ma być zdjęcie, na którym Prokop obejmuje byłą żonę. Para była ze sobą ponad 20 lat i ma już dorosłą córkę Zofię. Przyszli małżonkowie poznali się na imprezie u znajomych. Wkrótce potem byli już razem i powitali na świecie córeczkę. Później rzadko udzielali się razem publicznie, stroniąc od odsła-

niania życia prywatnego w mediach. W informacji o rozstaniu, Prokop napisał: „Dla niektórych rozwój to koniec wspólnego świata. Dla nas - był początkiem nowego. Innego, ale bardziej dopasowanego do tego, kim dzisiaj jesteśmy i dokąd osobno szczęśliwie zmierzamy. „Dobre rozstanie” brzmi jak oksymoron, ale - jak się okazuje - jest całkiem możliwe”.

ALEKSANDER MILWIW-BARON

Narobił sobie kłopotów

W niedzielę późnym popołudniem w Słomczynie doszło do wypadku z udziałem samochodu osobowego i motocykla. W jego wyniku poszkodowany został motocyklista, który trafił do szpitala. Jak ustalił portal tvnvarszawa.pl, za kierownicą auta Jetour miał znajdować się Aleksander Milwiw-Baron z zespołu Afromental. Ani muzyk, ani jego menedżer nie chcieli komentować sytuacji. - Na chwilę obecną nikt nie usłyszał zarzutów, mimo że pojawiają się takie pytania. Jest jednak na to zdecydowanie za wcześnie. W sprawie konieczne jest przeprowadzenie szeregu czynności, z których część na ten moment nie jest możliwa, m.in. ze względu na hospitalizację jednej z osób - powiedziała Pudelkowi podkom. Magdalena Gąsowska, oficer prasowy Komendanta Powiatowego Policji w Piasecznie.

dawny górnik	imię Ostrowskiej, aktorki	dawny dostawca wojskowy	serbski oddział wojska	kuzyn bielaka	antonim hossy zatyczka antaika	broń straży pałacowej	awan-tura, krzyk	pod-cienie budynku	mistrz duchowy filtrują krew	plynie przez Gandawę	na głowie panny młodej	samuraj bez pana rzymski strój	porcja surowca do marteny												
polski western z 1968 roku			23		13		kryształ do tamowania krwi	5		lekka tkanina															
podróżna torba				święteczny dzień w judaizmie				przedporcie kapelusz Chaplina			rzymska Selene														
damka z ramą szara w sadzie				ryba morska podeszwica			rzeka w Azji odmiana bajki	7		imię Teligi, żeglarza	15		16												
				arty-styczny gobelin				11	tango Grechuty	grecka litera	film Andrzeja Wajdy														
dawny żagłowiec				dochód rodziny królewskiej	bystry w potoku	duma pawia i wieiórki	ogół świec-kich w kościele				imię kobiece z Anina	indiański namiot													
pracow-nica wywiadu	był zako-chany w Balladynie	w portfelu Fina	informa-tyczne etykiety	seria-łowa królowa					bry-tyjska wyspa	imię Kuleszy mierzy opór															
				3	góry na granicy Europy i Azji		rozbi-jany na biwaku				dawny środek do narkozy	26	metro-polia Ghany												
panień-ska roślina skwar			22	krótki miecz bonifi-kata	4	spra-wiedliwy tłuszcz		14		pląksa, mazgaj															
		bieрки lub warcaby wdzięk			plac z kramami		śpie-wak w syna-godze				skurcz mięśni twarzy smar														
... czarny to hajstra										yerba z Parag-waju	17		defi-ladowy lub milowy												
sklep o dużej powierzchni	znak ręką		2	mączka z pnia palmi	ży-dowski placek																				
										młoda dziewczyna	naczynie na kapu-śniaczek	jed-nostka masy	turecka łódka												
ku-chenny obrus																									
dostojna kobieta	wez-wanie do dzia-łania	stolica nad Tybrem		szla-chetny helo-wiec	8					silne krwa-wienie															
										Pucka lub Gdańska	słowa piosenki	24	lew górski	rozdział Koranu											
rasa owiec o cennym runie	śledzi ruch samo-lotów		9	puścynia wyżyna w Izraelu	brat ojca																				
			12																						
narze-kanie, biado-lenie						archi-tekt wnętrz	odmiana kapusty ogrodowej	maż Sawy okres mezo-zoiku	codzienne prace w gospodarstwie	utwór Bocca-cia															
pieszczoły sarmaty	stopień czcionki, mignon	dra-pieżnik z tajgi		np. Ama-zonka ryżowy trunek				chmury owadów			sprzęt filmowca	klasowy demon													
rosyjski placek weselny					10	Indianin z Gujany				starszy zwany cen-zorem		szef uniwer-sytetu	do mie-szania koktajli												
						rodzaj lasu liściastego		korab wioślarska ósemka			naśladowe głosy innych ptaków														
następca w rodzinie	Pięcio-ksiąg Moj-żesza	przyja-ciółka Gucia	25	lodowa polska teleno-wela		kiргiskie miasto zespół rockowy			prze-cier owo-cowy		wyty-czona droga	19	ziemia uprawna	rodzaj flaneli											
						piłkarze z Salonik			japoński utwór poetycki	plynny miód natu-ralny	morski sko-rupiak														
zgorzel wargi i policzka			21	beta lub omega				ostra choroba zakaźna																	
						deszcz lub grad		szeroki futrzany szal				silni-kowy lub roślinny													
zgrana paczka chiński werniks				kry-jówka lisicy			petla przy siodle gaucho			20	indiańska trucizna		18												
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

AUTOPROMOCJA 0011227967

Gazeta WROCLAWSKA

w prenumeracie z Tele Magazynem

☎ 71 727 62 37

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą rozwiązanie – myśl Andrzeja Majewskiego.

ROZWIĄZANIE: SZKOŁA UCZY, ŻYCIE DAJE NAUCZKI.

SŁOWNIK: ARIS, ATAPASK, KAIK, KARAIM, LIMERANT, NEGEW, OSZ, UTA.

KOBIECA TWARZ ROKU. Zobacz liderki rankingu, które mają szansę na awans do castingu i finału, w którym czeka samochód!

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Mamy niecałe dwa tygodnie do końca głosowania w plebiscybie Kobieta Twarz Roku naszego województwa.

Czas upływa, a emocje rosną. Nic tu nie jest jeszcze rozstrzy-

gnięte! Ranking liderki w trzech kategoriach plebiscytowych - Córki, Matki, Kobiety Dojrzałe - zmienia się dynamicznie. A to właśnie on zadecyduje, które panie wezmą udział w castingu podczas Forum Kobiectwa i awansują do ogólnopolskiego finału, gdzie będą mieć szansę na zdobycie głównej nagrody -

samochodu osobowego Citroen C3 Aircross Plus lub wouchera na wczasy o wartości 5000 zł. - Aby znaleźć się w tym rankingu trzeba mieć najwięcej głosów w swoim mieście lub powiecie - wyjaśnia Daria Janiewicz-Kaczmarek, menadżerka akcji Kobieta Twarz Roku. Wszystkie laureatki z tego

rankingu otrzymają zaproszenia na Forum Kobiectwa. Te, które w rankingu zajmą miejsca od 1. do 10. wezmą udział w castingu i awansują do ogólnopolskiego finału, w którym główną nagrodą jest właśnie samochód osobowy Citroen C3 Aircross Plus. Podczas Forum Kobiectwa jury spotka się z nimi, aby

wybrać główne laureatki tytułu Kobieta Twarz Roku w naszym województwie w każdej kategorii pokoleniowej. Uczestniczki castingu otrzymają nagrodę - bransoletkę z limitowanej serii zaprojektowanej specjalnie dla laureatek naszej akcji. Awansują też do ogólnopolskiego finału akcji, w którym

główną nagrodą będzie auto. Dodatkowo 5 pań w każdej kategorii pokoleniowej z największą liczbą głosów w skali województwa otrzyma zaproszenie na DAY SPA.

Aktualne wyniki głosowania można znaleźć na gazetawroclawska.pl/kobiety

CÓRKI,



1. Ewelina Romanowska,
Wrocław



2. Marta Gerus,
powiat dzierzoniowski



3. Katarzyna
Zalewska-Mendel,
powiat lubiński



4. Sandra Kozak,
powiat świdnicki



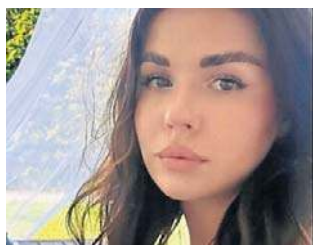
5. Patrycja Janiszewska,
powiaty bolesławiecki
i zgorzelecki



6. Hanna Tzymańska,
powiaty milicki i oleśnicki



7. Agnieszka Wierzba,
Jelenia Góra i powiat
karkonoski



8. Maria Bzdek,
Legnica
i powiat legnicki



9. Iwona Piksa,
Wałbrzych i powiat
wałbrzyski



10. Laura Węgrzynowicz,
powiaty głogowski
i polkowicki

MATKI



1. Justyna Gałęcka,
Legnica i powiat legnicki



2. Arleta Brzozan-
Wysomierska,
Wałbrzych



3. Beata Obrochta,
powiat głogowski



4. Katarzyna Dylewicz,
powiat wałbrzyski



5. Patrycja Dąbrowska,
Wrocław



6. Ewa Dziepak,
powiat oławski



7. Anna Przewoźnik,
powiat wrocławski



8. Wioletta Piątek,
powiat kłodzki



9. Ewelina
Wojciechowska,
powiat jaworski



10. Karolina Ganus,
powiat świdnicki

KOBIETY DOJRZAŁE



1. Dagmara Czechowska,
powiat wrocławski



2. Elżbieta Rostkowska,
powiat świdnicki



3. Edyta Dykier,
Wrocław



4. Elżbieta Paluszek,
powiat bolesławiecki



5. Ewa Exner,
powiat kamiennogórski



6. Jolanta Kowal,
powiat kłodzki



7. Marzena Czerewko,
powiat zgorzelecki



8. Urszula Burzyńska,
powiat średzki



9. Anna Brzeźniakiewicz,
powiat dzierzoniowski



10. Małgorzata
Kanak-Piersiak,
Legnica i powiat legnicki

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 71/37-48-249
Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: ogloszenia.wroclawska@polskapress.pl

W Biurze Reklamy:

Biuro Ogłoszeń: **Wrocław**, ul. Świętego Antoniego 2/4
tel. 71/37-48-249, 71/37-48-132
Czekamy od poniedziałku do piątku w godz.: 8.00-16.00

BIURA W REGIONIE:

Jelenia Góra, tel. 797 607 853

Legnica, tel. 514 800 870

Syców, tel. 514 800 969

Lubin, tel. 514 800 969

Wałbrzych, tel. 502 499 983

Głogów, tel. 798 751 830

Świdnica, tel. 502 499 983

BIURA WSPÓŁPRACUJĄCE:

ARPRO Sp. z o.o. Al. Kasztanowa 20, tel.71/341-23-53

DAMAK'S ul. Kniaziewiczza 23 B, tel. 71/341-07-87

EUROPARTNER Centrum Ogłoszeń Prasowych Wrocław,
ul. Stefana Czarnieckiego 13, tel. 71/789-44-00 -03

PRESTIGE ul. Kościuszki 128a, tel. 693-693-737

SEBAMAR ul. Sienkiewicza 43, tel. 71/321-29-04

SUNPRESS Biuro Ogłoszeń Prasowych Plac Pereca 3 lok. 1 B,
tel. 71/785-55-23

Gazeta WROCLAWSKA

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel.
504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

**Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202**

KUPIĘ udział w mieszkaniu 500185254.

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania,
pokoju tel. 504-358-452.

Handlowe

ANTYKI

ANTYKI, stare obrazy, meble, starocie
- kupię, 660-532-696.

MATERIAŁY BUDOWLANE

PRODUCENT cegły budowlanej pełnej
kl. 20 i dziurawki kl. 5, 600-773-046,
www.cegielniasiedleszczany.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

SPRZĄTANIE klatek schodowych oraz
posesji, Wrocław, tel. 515-144-576.

Motoryzacja

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

SPRZĘGŁA-NAPRAWA Szczęki
hamulcowe - wymiana okładzin.
Świdnica. www.metalowiec.com Tel.
728-493-565.

Usługi

AGD RTV FOTO

**Domowa naprawa telewizorów
LED, LCD; 71/351-60-02,
502-175-735.**

BUDOWLANO-REMONTOWE

A-Z remonty. Tanio! 502-974-900.

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary.

71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie

71/351-15-15, 603-867-128.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

PEŁNY remont mieszkań 665-939-825

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna,
rolety, drzwi. Montaż, produkcja,
naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie,
tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULICY taniej 694-724-672

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis
drzwi antywłam. 501-104-158.

INNE

KUCHNIE junkersy piece 609-528-079.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

**Beskidy turnusy 60+ w maju od
1050 zł dostępny masaż leczniczy
/ dowóz, tel.: 501-642-492.**

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie

wczasy z żywieniem dla Seniorów.

601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

ibo TWOJE DOMOWE
BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie
złecisz przez Internetowe Biuro
Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Komunikaty

**POOR Z TELEWIZJI
SZUKA INFORMACJI, GDZIE
KUPIĆ TO URZĄDZENIE?
PŁACĘ 10000 ZŁ ZA INFO.
TEL: 733018648**

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K
28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona,
500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

REKLAMA 0011509304

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

**DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO
AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO WE WROCŁAWIU**
działając zgodnie z art. 35 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r.
o gospodarce nieruchomościami (t. j. Dz. U. z 2026 r. poz. 399),
art. 7 i art. 54 ust.1 ustawy z dnia 10 lipca 2015 r.
o Agencji Mienia Wojskowego (t. j. Dz. U. z 2025 r. poz. 817)

informuje, że

w siedzibie przy ul. Sztabowej 32 i ul. Zwycięskiej 39 we Wrocławiu,
a także na stronach internetowych Agencji zostały wywieszono **wykazy**
nr 30/2026 i nr 31/2026 obejmujące samodzielne lokale mieszkalne
położone w miejscowości Wrocław, przeznaczone do sprzedaży
w trybie bezprzetargowym na rzecz najemców.
Dodatkowe informacje można uzyskać w Agencji Mienia Wojskowego
Oddział Regionalny we Wrocławiu - tel. 71/710 72 75.

ODDZIAŁ REGIONALNY AMW WE WROCŁAWIU
ul. Sztabowa 32, 50-984 Wrocław
tel. 71 710 72 00, fax 71 710 72 01
e-mail: wroclaw@amw.com.pl; www.amw.com.pl

WYKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ

REKLAMA 0011498567

DOLNOŚLĄSKA FUNDACJA ROZWOJU OCHRONY ZDROWIA IM. WROCŁAWIA
DOLFROZ
ROK ZAŁOŻENIA 1988

**Dolnośląska Fundacja
Rozwoju Ochrony Zdrowia
Zapraszamy do wsparcia
naszych podopiecznych**

To takie proste!

1,5%

KRS 00000 50135

Bezpłatny program PIT na dolfroz.com

REKLAMA 0011504893

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL

**KASACJA
POJAZDÓW**

64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)


500 545 500

Autoreklama

motofakty.pl

Motoryzacja
na wysokich obrotach

motofakty.pl



REKLAMA 0011459132

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec



SPORT

www.sportowy24.pl

KRÓTKO

SPORTY MOTOROWE

Kubica wraca do ścigania

W weekend na włoskim torze Imola rozpocznie się sezon mistrzostw świata World Endurance Championship (WEC). Pierwszą imprezą będzie wyścig sześciogodzinny, a na starcie staną m.in. kierowcy zespołu AF Corse, z Robertem Kubicą na czele. Przed rokiem zespół Polaka zajął w cyklu drugą lokatę.

Partnerami Kubicy, podobnie jak w poprzedniej edycji WEC, będą Chińczyk Yifey Ye i Brytyjczyk Phil Hanson.

W 2025 roku AF Corse, załoga prywatnego zespołu Ferrari, wygrała legendarny 24 Le Mans. Kubica został wtedy pierwszym Polakiem w historii, który stanął na najwyższym stopniu podium w klasyfikacji generalnej tego najbardziej prestiżowego wyścigu.

Kubica jest obecnie trzecim na świecie kierowcą, który może się pochwalić wygranymi wyścigami zarówno WEC, jak i Formuły 1, obok Hiszpana Fernando Alonso i Australijczyka Marka Webbera.

(PAP) ©©

SNOOKER

Wielki rywal Kowalskiego



FOT. OTK / IMAGO SPORT / FOT. ODENSI/ITAL CHENGZHE

Rywal 22-letniego Antoniego Kowalskiego w I rundzie mistrzostw świata będzie Mark J. Williams, który po tytuł sięgał trzykrotnie (2000, 2003, 2018). Polska po raz pierwszy ma w turnieju głównym swojego reprezentanta. Pula nagród to 2,39 mln funtów. JG

KOSZYKÓWKA

Ostatnia szansa na brąz

Dzisiaj koszykarki Ślązy Wrocław zagrają drugi mecz o brązowy medal Orlen Basket Ligi Kobiet. Ich rywalem na wyjeździe będzie KSSSE Enea AJP Gorzów Wielkopolski. W pierwszym pojedynku tych drużyn górą były Gorzowianki, które we Wrocławiu wygrały 77:63. O tym, kto zdobędzie medal, decyduje dwumecz, a zatem podopieczne

Arkadiusza Rusina muszą dziś odrobić stratę aż 14 punktów. Zadanie należy do tych z kategorii „trudne”. Enea AJP sezon zasadniczy zakończyła na pierwszym miejscu w lidze i będzie zdecydowanym faworytem tego meczu. Początek starcia o godz. 17. Transmisję na żywo można oglądać na EMOCJE TV. JG

WYNIKI LOSOWAŃ LOTTO

ŚRODA, 15.04

Multi Multi (22):

3, 11, 13, 21, 27, 29, 30, 36, 37, 42, 43, 45, 46, 56, 57, 58, 77, 78, 79, 80; plus 79;

Kaskada (22):

2, 4, 6, 7, 8, 12, 14, 17, 18, 21, 22, 24;

Mini Lotto:

2, 7, 10, 27, 42;

Ekstra Pensja:

6, 9, 19, 25, 33 - 1;

Ekstra Premia:

7, 15, 24, 26, 35 - 3

CZWARTEK, 16.04

Multi Multi (14):

1, 3, 7, 12, 17, 20, 23, 24, 43, 46, 52, 53, 57, 64, 65, 66, 67, 68, 72, 78; plus 72;

Kaskada (14):

1, 2, 3, 4, 8, 10, 12, 13, 16, 17, 20, 23

Zrewanżować się Zniczowi i raz jeszcze pożegnać trenera

Piotr Janas

x.com:@Piotr_K_Janas

W sobotę o godz. 13 Śląsk Wrocław podejmie Znicz Pruszków w 29. kolejce Betclia 1 ligi. Na tym meczu kibice raz jeszcze pożegnają s.p. trenera Jacka Magierę.

Śląsk Wrocław jest w kapitalnej formie. Zdecydowanie najlepszej, odkąd spadł z PKO Ekstraklasy. Wrocławianie wygrali 6 z 7 ostatnich meczów, a jeden zremisowali. To pozwoliło im umocnić się na pozycji wicelidera Betclia 1 ligi i wypracować pięciopunktową przewagę nad trzecim w tabeli Chrobrym Głogów. Wprawdzie będąca tuż za nim Wiczyzta ma do rozegrania zaległy mecz 25. kolejki z Polonią Bytom i jeśli wygra, będzie traciła do WKS-u cztery oczka, ale to wciąż bardzo solidna przewaga.

Znicz Pruszków znajduje się na przeciwnym biegunie. Pruszkowianie desperacko walczą o utrzymanie, lecz do bezpiecznej strefy tracą już 6 oczek, dlatego nie mają nic do stracenia. To pozwala wierzyć, że będziemy świadkami dość otwartej gry, tak jak miało to miejsce w ostatnim domowym meczu Znicza z Miedzią Legnica. Miedzianka wygrała 2:1, lecz gospodarze postawili bardzo twarde warunki i kilkukrotnie poważnie zagrozili bramce Legniczanie.

Znicz w tym sezonie wygrał raptem 6 spotkań i zanotował



FOT. PAP

Bohaterem meczu Śląska z Polonią Warszawa był Luka Marjanac. Kibice liczą na Bośniaka w meczu ze Zniczem

tylko 5 remisów, ale paradoksem jest to, że największe problemy sprawia faworytom. Pruszkowianie w tym roku potrafili zremisować z Wisłą i to w Krakowie - kończąc mecz w 10. - z Pogonią Grodzisk Mazowiecki i Polonią Warszawa. W poprzedniej rundzie w pokonanym polu zostawili Ruch Chorzów oraz... Śląsk Wrocław. WKS po słabym meczu przegrał w Pruszkowie 1:2 i pała rządzą rewanżu.

W sobotnim meczu kibice Śląska raz jeszcze pożegnają tragicznie zmarłego trenera

Jacka Magierę, który w czwartek został pochowany na Powązkach w Warszawie. Zarówno Stowarzyszenie Wielki Śląsk jak i sam klub apelują do wszystkich wybierających się na to spotkanie o przywdzianie czarnych barw. Na sektorze „Oporowska”, gdzie zasiadają kibice prowadzący doping, przygotowana jest specjalna oprawa na cześć szkoleniowca, który został z „Wojskowymi” wice mistrzem Polski i dwukrotnie awansował z klubem do europejskich pucharów.

Dzisiaj z kolei o godz. 18 Chrobry Głogów podejmie rozpedzoną w ostatnich tygodniach Stal Mielec w meczu inauguracyjnym 29. kolejki. Miedź Legnica w tej serii gier zagra dopiero w poniedziałek. Do Legnicy przyjedzie Górnika Łęczna.

Mecz Śląsk Wrocław - Znicz Pruszków rozpocznie się o godz. 13. Transmisja na antenie TVP Sport.

29. KOLEJKA BETCLIA 1 LIGI

Dzisiaj: Chrobry Głogów - Stal Mielec (godz. 18), Stal Rzeszów - Polonia Warszawa (g. 20:30).

Jutro: Śląsk Wrocław - Znicz Pruszków (g. 13), Puszcza Niepołomice - Polonia Bytom (g. 19:30), GKS Tychy - ŁKS Łódź (g. 19:30), Wiczyzta Kraków - Odra Opole (g. 19:30).

Niedziela: Ruch Chorzów - Wisła Kraków (g. 14:30), Pogon Grodzisk Mazowiecki - Pogon Siedlce (g. 17).

Poniedziałek: Miedź Legnica - Górnika Łęczna (g. 18).

1. Wisła Kraków	28	57	62-28
2. Śląsk Wrocław	28	50	55-40
3. Chrobry Głogów	28	45	39-27
4. Wiczyzta Kraków	27	43	54-40
5. Miedź Legnica	28	43	47-46
6. Pogon Grodzisk Maz.	27	42	45-40
7. Ruch Chorzów	28	42	41-39
8. ŁKS Łódź	27	41	40-38
9. Polonia Warszawa	28	41	43-43
10. Stal Rzeszów	28	39	41-45
11. Polonia Bytom	27	38	41-34
12. Puszcza Niepołomice	28	38	37-34
13. Odra Opole	28	37	28-33
14. Pogon Siedlce	28	30	27-32
15. Stal Mielec	28	29	40-53
16. Górnika Łęczna	28	23	33-49
17. Znicz Pruszków	28	23	30-54
18. GKS Tychy	28	18	32-60

©©

Betard Sparta w Gorzowie po drugą wygraną

JG

sport@gazeta.wroc.pl

Dzisiaj Betard Sparta Wrocław zmierzy się na wyjeździe ze Stalą Gorzów Wielkopolski. Początek meczu PGE Ekstraligi o godz. 20:30.

Wrocławianie do pierwszego wyjazdowego spotkania w tym sezonie przystępują w znakomitych nastrojach po pewnej wygranej z Falubazem. Stal na inaugurację sezonu zremisowała z GKM-em Grudziądz. Ustawienie gorzowian będzie dziś

inne niż w pierwszym meczu w Grudziądzu. Na pozycji U-24 został wystawiony Hubert Jabłoński, który - w razie konieczności - może być zmieniany przez obydwo juniorów. Pod numerem 16. pojedzie Mathias Pollestad, zmiennika Marcela Szymki.

Piątkowe spotkanie rozpocznie się o godz. 20:30. Transmisja na antenie stacji Canal+ Sport oraz w aplikacji Canal+ Online.

2. KOLEJKA PGE EKSTRALIGI

Awizowane składki na mecz Gezet Stal Gorzów - Betard Sparta Wrocław



FOT. PAMEL RELIKOWSKI

Maciej Janowski na starcie sezonu jest w dobrej formie

(piątek, godz. 20:30, Canal+ Sport)

Stal: 9. Jack Holder; 10. Hubert Jabłoński; 11. Paweł Przedpeński; 12. Marcel Szymko; 13. Anders Thomsen; 14. Oskar Paluch; 15. Adam Bednár. Sparta: 1. Brady Kurtz; 2. Daniel Bewley; 3. Bartłomiej Kowalski; 4. Maciej Janowski; 5. Artiom Łaguta; 6. Marcel Kowolik; 7. Mikkel Andersen.

1. Sparta Wrocław	1	2	+38
2. Unia Leszno	1	2	+28
3. Motor Lublin	1	2	+22
4. GKM Grudziądz	1	1	0
5. Stal Gorzów	1	1	0
6. PRES Toruń	1	0	-22
7. Włókniarz Częstochowa	1	0	-28
8. Falubaz Zielona Góra	1	0	-38

©©

Ostatnia droga Jacka Magiery. Żegnaj, Panie Trenerze

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

W czwartek odbył się pogrzeb Jacka Magiery, ostatnio asystenta selekcjonera reprezentacji Polski, a wcześniej trenera między innymi Legii i Śląska, który zmarł nagle w piątek, 10 kwietnia.

Na uroczystości pogrzebowej obecni byli prezydent RP Karol Nawrocki, minister sportu Jakub Rutnicki, prezes PZPN Cezary Kulesza oraz kapitan reprezentacji Polski Robert Lewandowski.

O godz. 12.00 w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie odbyła się msza święta żałobna, w której oprócz selekcjonera Jana Urbana i byłych szkoleniowców drużyny narodowej oraz kierownictwa PZPN wzięli udział również przedstawiciele klubów ekstraklasy i 1. ligi, na czele z Dariuszem Mioduskim z Legii Warszawa, liczne grono byłych reprezentantów Polski, a także rzesze kibiców. Nie tylko z Warszawy, Częstochowy i Wrocławia - gdzie grał, a później pracował w charakterze szkoleniowca - ale także z wielu innych miast.

Po mszy świętej kondukt żałobny udał się na Cmentarz Wojskowy na Powązkach, gdzie o godz. 14.30 odbyła się ceremonia pogrzebowa. Jacek Magiera spoczął obok innej wielkiej legendy stołecznej Legii i całego polskiego futbolu - Lucjana Brychczego.

Magiera piłkarską karierę rozpoczął z przytupem, od wygrania w 1993 roku z reprezentacją Polski mistrzostw Europy do lat 16. Po raz pierwszy w najwyższej polskiej lidze wystąpił w Rakowie Częstochowa, którego był wychowankiem, jednak największe znaczenie w jego karierze miała gra dla Le-



W czwartek pożegnaliśmy cenionego trenera Jacka Magierę - asystenta selekcjonera reprezentacji Polski

gia Warszawa. Barwach stołecznej drużyny reprezentował przez wiele lat. Jako zawodnik był ceniony za taktyczną dyscyplinę, umiejętność czytania gry oraz zaangażowanie. Choć nie należał do piłkarzy z pierwszych stron gazet, pełnił ważną rolę w drużynie, będąc jednym z tych zawodników, którzy stabilizują grę zespołu. I budując szatnię.

Będąc piłkarzem klubu z Łazienkowskiej, dwukrotnie sięgnął po mistrzostwo Polski, w roku 2002 oraz 4 lata później. Ponadto w 1997 roku mógł cieszyć się z Pucharu Polski.

Po zakończeniu kariery piłkarskiej Magiera szybko skierował swoje kroki ku trenerce. Po-

czątkowo pracował w strukturach Legii Warszawa jako asystent, gdzie zdobywał cenne doświadczenie u boku bardziej doświadczonych szkoleniowców. Jednocześnie był również asystentem selekcjonera reprezentacji Polski do lat 18.

Przełomowym momentem było objęcie funkcji pierwszego trenera Legii w 2016 roku. W swoim debiutanckim sezonie odniósł znaczący sukces, zdobywając mistrzostwo Polski oraz prowadząc drużynę w rozgrywkach Liga Mistrzów.

Po zakończeniu pracy w Warszawie Magiera objął stanowisko selekcjonera reprezentacji Polski do lat 20. Prowadził kadre podczas MŚ 2019, które odby-

wały się w Polsce. Choć drużyna nie osiągnęła spektakularnego wyniku, udział w turnieju i możliwość pracy z młodymi talentami były ważnym etapem w karierze.

Kolejnym istotnym rozdziałem Jacka Magiery była praca w Śląsk Wrocław. Pod jego wodzą zespół przeszedł zauważalną metamorfozę, poprawiając wyniki i styl gry. Dał się poznać jako trener, który potrafi rozwijać młodych zawodników, jednocześnie budując zespół oparty na solidnej organizacji i konsekwencji taktycznej. Wrocławianie w sezonie 2023/2024 sensacyjnie sięgnęli po wicemistrzostwo Polski, ustępując w walce o tytuł jedynie Jagiellonii Białystok.

Latem ubiegłego roku szkoleniowiec podjął kolejne wyzwanie, został asystentem selekcjonera Jana Urbana w seniorskiej reprezentacji Polski. Biało-Czerwoni nie zdołali awansować na MŚ 2026, ale poprawa stylu gry i atmosfery wokół kadry sprawiły, że prezes Kulesza postanowił kontynuować współpracę ze sztabem. Bo dostrzegł szansę także na progres wyników...

Nagła śmierć Jacka Magiery wstrząsnęła całą - nie tylko piłkarską - Polską. Szkoleniowiec ceniony za warsztat i wysokie morale zasłabł w trakcie porannego treningu biegowego w Parku Grabiszyńskim we Wrocławiu. Został przewieziony do szpitala wojskowego, gdzie lekarze podjęli walkę o życie, którego niestety nie udało się uratować. Zmarł w wieku 49 lat.

Karol Nawrocki przyznał pośmiertnie Jackowi Magierze Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Odznaczenie z rąk prezydenta RP odebrała żona zmarłego Magdalena Magiera podczas uroczystości pogrzebowej. ©©

Kolan: Liczę, że z Legią od początku wyjdziemy bardzo agresywnie

JG
sport@gazeta.wroc.pl

PIĘKA NOŻNA. Jeśli Zagłębie Lubin wygra dziś w Warszawie z Legią, to chociaż na chwilę wróci na fotel lidera ekstraklasy.

Jesienią Zagłębie Lubin pokonało u siebie Legię 3:1, ale Marek Papszun poukładał już trochę swój nowy zespół, który nie przegrał w lidze od początku lutego. Tymczasem drużyna Leszka Ojrzyńskiego przerwała serię trzech porażek z rzędu wygrywając 1:0 z Radomiakiem.

- Wiemy, że mają dużą jakość jako cała drużyna i posiadają w swoim zespole mocne indywidualności. Jesteśmy dobrze przygotowani do tego meczu. Nie obawiamy się Legii i jedziemy do Warszawy po trzy punkty. Chciałbym, aby to było otwarte spotkanie. Liczę na to, że wyjdziemy od początku bardzo agresywnie i nie pozwolimy rywalom pokazać ich mocnych stron - mówi piłkarz Zagłębia Jakub Kolan. ©©

PKO BPEKSTRAKLASA - 29. KOLEJKA. Piątek: GKS Katowice - Motor Lublin (godz. 18, Canal+ Sport3), Legia Warszawa - KGHM Zagłębie Lubin (godz. 20:30, Canal+ Sport). **Sobota:** Radomiak Radom - Widzew Łódź (14:45, Canal+ Sport3), Górnik Zabrze - Korona Kielce (17:30, Canal+ Sport3), Pogoń Szczecin - Lech Poznań (20:15, Canal+ Sport3). **Niedziela:** Bruk-Bet Termalica - Wisła Płock (12:15, Canal+ Sport3), Raków Częstochowa - Cracovia (14:45, Canal+ Sport3), Arka Gdynia - Jagiellonia Białystok (17:30, Canal+ Sport3, TVP Sport). **Poniedziałek:** Lechia Gdańsk - Piast Gliwice (19, Canal+ Sport3).

1. Lech Poznań	28	46	49-40
2. Zagłębie Lubin	28	44	42-33
3. Jagiellonia Białystok	28	43	44-35
4. Górnik Zabrze	28	43	40-33
5. Wisła Płock	28	42	29-26
6. Raków Częstochowa	28	40	37-35
7. GKS Katowice	28	40	39-38
8. Motor Lublin	28	39	37-40
9. Lechia Gdańsk	28	37	55-51
10. Korona Kielce	28	37	36-34
11. Cracovia	28	37	33-33
12. Pogoń Szczecin	28	37	38-42
13. Piast Gliwice	28	35	34-38
14. Legia Warszawa	28	34	33-32
15. Radomiak Radom	28	34	43-42
16. Arka Gdynia	28	34	30-47
17. Widzew Łódź	28	33	33-35
18. Bruk-Bet Termalica	28	25	33-51



Zagłębie Lubin walczy o udział w europejskich pucharach. To może dać nawet zajęcie piątego miejsca w lidze

W Lidze Mistrzów nie ma już Polaka. Barcelona i Real upokorzone

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Mamy to. Paris Saint-Germain kontra Bayern Monachium i Atletico Madryt przeciwko Arsenal Londyn - oto pary półfinałowe piłkarskiej Ligi Mistrzów sezonu 2025/2026.

Najpierw, na Anfield, FC Liverpool uległ Paris Saint-Germain 0:2, a na Estadio Metropolitan, Atletico Madryt przegrało z FC Barcelona 1:2. Dzień później Bayern Monachium pokonał

u siebie Real Madryt 4:3, a Arsenal Londyn zremisował ze Sportingiem Lizbona 0:0 w rewanżowych spotkaniach ćwierćfinału piłkarskiej Ligi Mistrzów.

Do półfinału awansowały zatem zespoły PSG, Atletico, Bayernu i Arsenalu

Piłkarze z Madrytu już po raz szósty w tym sezonie mierzyli się z drużyną FC Barcelona. W La Liga „Duma Katalonii” odniosła dwa zwycięstwa (3:1, 2:1), ale przegrała dwumecz w półfinale Pucharu Króla (0:4, 3:0).

W meczu rewanżowym Champions League, Robert Le-

wandowski pojawił się na boisku w 68 minucie, gdy zmienił Ferrana Torresa. Niestety, nasz napastnik nie wyróżnił się niczym szczególnym...

W Monachium bohater pierwszego meczu - Manuel Neuer już w pierwszej minucie popełnił poważny błąd. Po jego zagrananiu z pola karnego piłkę przejął Arda Güler, który skierował ją do pustej bramki gospodarzy.

Kibice Bayernu dobrze nie ochłonęli na Allianz Arenie, a kolejna pomyłka bramkarza wpłynęła na zmianę wyniku. Tym ra-

zaniem Andrij Łunin wykazał brak zdecydowania przy rzucie różnym, co strzałem głową wykorzystał Aleksandar Pavlović.

Nie było to koniec popisów Gülera, który tuż przed upływem drugiego kwadransu z rzutu wolnego mierzonym uderzeniem po raz drugi pokonał Neuera. W końcowych minutach połowy do remisu doprowadził Harry Kane, który kompletnie zmylił Łunina. W odpowiedzi kontra Realu, którą wykończył Kylian Mbappe, ponownie doprowadził do prowadzenia „Królewskich”, a zarazem wyrównania

stanu rywalizacji w dwumeczu.

Po zmianie stron doskonałych okazji strzeleckich nie brakowało, ale telebim boiskowy długo niezmiennie wskazywał prowadzenie gości. Trybuny mocno się ożywiły, gdy pomocnik Realu - Eduardo Camavinga ukarany został drugą żółtą i w efekcie czerwoną kartką (86.).

Po chwili lukę w defensywie rywala wykorzystał Luiz Diaz, który zza pola karnego pokonał bramkarza. Awans Bawarczyków przypieczętował Michael Olise po świetnej asyście Harry Kane'a. ©©

Ćwierćfinały Ligi Mistrzów

FC Liverpool - *Paris Saint-Germain 0:2 i pierwszy mecz 0:2

*Atletico Madryt - FC Barcelona 1:2 i pierwszy mecz 2:0

*Bayern Monachium - Real Madryt 4:3 i pierwszy mecz 2:1

*Arsenal Londyn - Sporting Lizbona 0:0 i pierwszy mecz 1:0

Półfinały (28-29 kwietnia i 5-6 maja)

Paris Saint-Germain - Bayern Monachium

Atletico Madryt - Arsenal

Finał (30 maja, Budapeszt)

Jesteśmy tam, gdzie potrzebujesz nas *najbardziej*



ZADBAJ
o swój słuch
już dzisiaj

Chcemy być blisko Ciebie.

Tak, byś każdego dnia mógł być bliżej tych, których kochasz.

Zapraszamy do telefonicznego umówienia się na **bezpłatne badanie słuchu** w najbliższym Centrum Słuchu Audika.
Bez skierowania i bez kolejek.

Mamy **ponad 600 gabinetów** w całej Polsce.

Infolinia: tel. 42 237 43 66
www.audika.pl

 **Audika**

tygodnik

GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 16/89



FOTOGRAFINA SZYSZKA

AKCJA
„SENIORZY
DLA KUDŁATYCH
SENIORÓW”
WYJĄTKOWA
INICJATYWA
PAŃ Z SERBÓW
I MANIOWA
str. 4

PRAWO

Za koszmarne wypadek idzie za kraty

Sąd w Legnicy podtrzymał wyrok półtora roku więzienia dla sprawcy. Motocyklista stracił nogę **str. 6**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206



SŁUŻBA ZDROWIA

Za postój na parking przy szpitalu trzeba zapłacić. Jakiej są stawki? **str. 3**

FOTOREPORTAŻ

Pancerne kolosy w Głogowie
Można było zobaczyć też wielu rekonstruktorów **str. 8**



FOT. GRAZYNA SZYSZKA

REKLAMA

0011464646



DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA

- Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:
- ▶ Videootoscopia
 - ▶ Tympanometria
 - ▶ otoemisja akustyczna
 - ▶ ABR, ASSR
 - ▶ Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego



ZBADAJ SWÓJ SŁUCH
I BEZPŁATNIE

przetestuj aparat słuchowy
u siebie w domu

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
od 1997



GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F ☎ **76 835 05 01, 888 748 707** www.fonmed.pl
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

Andrzej Kłopotowski
publicysta



Kto się boi edukacji zdrowotnej i seksu

Od września edukacja zdrowotna wejdzie - jako przedmiot obowiązkowy - do planów lekcji. Edukacja seksualna pozostanie komponentem nieobowiązkowym. To dobry ruch. Podobnie jak zapowiadany zakaz używania telefonów komórkowych w szkołach. W czasach, gdy palnę pierwszeństwa przejmują elektroniczne urządzenia wiedza na temat równowagi - bo tak to można określać - nie tylko fizycznej, ale i psychicznej jest niezwykle ważna. Są tacy, którzy będą się śmiać, słysząc o uzależnieniach czy depresji wśród młodych. Ale nie ma w tym niczego śmiesznego. Jeśli przedmiot ma pomagać, ma mówić o problemach, zrobić może wiele dobrego w życiu tych, którzy często nie zdają sobie sprawy, że coś jest nie tak. Zresztą argumenty te podnoszą i nauczyciele, i specjaliści. A dlaczego komponent poświęcony edukacji seksualnej pozostanie nieobowiązkowy? Tu daje się słyszeć, że to zagadnienia, które budzą kontrowersje i wywołują napięcia wśród rodziców, nauczycieli i społeczności szkolnej. Z prawej strony sceny politycznej dawało się słyszeć mnóstwo bzdur, że ktoś chce seksualizować młodzież czy uczyć dzieci masturbacji.

Można na pewne sprawy zamykać oczy. Tylko po co? Zapewniam krytyków nauczania w szkole o seksie, że nawet dzieci w przedszkolu wiedzą, czym różni się chłopak od dziewczynki. Zabraniając takiej edukacji, nie uchronicie nikogo przed zetknięciem na przykład z homoseksualizmem. To kwestia każdego z nas, a nie - jak mówicie - wyboru ideologii. I nikomu o tym decydować. Trzeba rozmawiać, trzeba edukować. Mamy XXI wiek. No, chyba że zatrzymamy się na etapie, że dzieci przynosi bocian albo znajduje się w kapuście.

LUBIN/RUDNA

Zginęli dwaj młodzi kierowcy

Drogowy koszmar rozegrał się w poniedziałek, 13 kwietnia, około godz. 19. Według wstępnych ustaleń policji wynika, że kierujący samochodem osobowym marki Chrysler, 25-letni mieszkaniec powiatu lubińskiego, jadąc drogą powiatową relacji Rudna - Lubin, podczas manewru wyprzedzania na prostym odcinku drogi, doprowadził do zderzenia czołowego z prawidłowo jadącym pojazdem marki Audi, którym kierował 19-letni mieszkaniec gminy Rudna. W wyniku odniesionych obrażeń, nastolatek zmarł na miejscu. 25-latek w stanie krytycznym został przetransportowany Lotniczym Pogotowiem Ratunkowym do szpitala. Po kilku godzinach walki o jego życie, niestety, mężczyzna zmarł.

SEL

GŁOGÓW

Turniej „Młodzież Zapobiega Pożarom”

W Komendzie Państwowej Straży Pożarnej w Głogowie odbyły się powiatowe eliminacje do Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy Pożarniczej „Młodzież Zapobiega Pożarom”. W rywalizacji wzięło udział blisko 50 uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Oto laureaci: szkoły podstawowe, klasy

I-IV - Julita Gwadera, Maja Szelest, Zofia Hucala; klasy V-VIII - Hubert Kazimierczak, Patrycja Kowalewska, Hania Florczak; szkoły ponadpodstawowe - Sebastian Szmidt, Barbara Kaliszewska, Oliwia Osińska. Laureaci będą reprezentować nasz region w dalszym etapie konkursu.

SEL

Plac Festynowy do naprawy

Grażyna Szyszka
Głogów

Po weekendowym festiwalu teren wymagał rekułtywacji. Przeorana ziemia i zniszczona trawa to efekt przejazdów ciężkiego sprzętu wojskowego.

Po sobotnim historycznym festiwalu, na który zjechało sporo ciężkiego wojskowego sprzętu, ucierpiał Plac Festynowy nad Odrą. W wielu miejscach murawa jest przeorana kołami wyrzutni raketowych, wozów bojowych oraz gąsienicami czołgów. Choć wielka wojskowa impreza z licznymi pokazami i atrakcjami przyciągnęła tłumy i bardzo się podobała, są też głogowianie, którzy krytykują zdewastowanie terenu.

- Plac jest odwiedzany przez wiele osób. Wiem, bo codziennie sam przychodzę tu na spacer z psem. To, co zrobiono z tym terenem, bardzo mi się nie podoba - mówi Maciej Sielski. - Plac został zdewastowany i nie wiem, czy ktoś poczuwa się do odpowiedzialności, żeby

to naprawić. A powinien, bo w tej chwili wygląda to okropnie.

Pan Maciej dodaje, że nie ma nic przeciwko takim imprezom, ale nie zgadza się na dewastowanie terenów rekreacyjnych.

Marta Dytwińska-Gawrońska, naczelniczka Wydziału Komunikacji Społecznej, Promocji i Turystyki Urzędu Miejskiego zapewnia, że plac zostanie naprawiony.

- Wiedzieliśmy, że dynamiczne pokazy czołgów naruszą ziemię - przyznała Marta Dytwińska-Gawrońska. Poinformowała, że prace najprawdopodobniej rozpoczną się 16 kwietnia.

Dodajmy, że koszt rekułtywacji placu nad Odrą wyniesie około 8 tys. zł.

Fotoreportaż z festiwalu na str. 8

W wielu miejscach murawa została przeorana kołami wyrzutni raketowych, wozów bojowych oraz gąsienicami czołgów



FOT. PARAFIA KOŁEGIAKKA

GŁOGÓW

Wyróżnieni za bezinteresowną pomoc

Głogowianie Teresa Długosz oraz Zdzisław Błażejewski odebrali nagrodę „Człowiek Człowiekowi”. To nagroda diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, przyznawana za szczególne osiągnięcia w działalności dobroczynnej i bezinteresownej służbie drugiemu człowiekowi.

Teresa Długosz jest prezeską Parafialnego Zespołu Caritas natomiast Zdzisław Błażejewski, podobnie jak pani Teresa, od lat z wielkim oddaniem angażuje się w pomoc potrzebującym, wspierając ubogich i samotnych.

Uroczystość odbyła się we wtorek, 14 kwietnia, w parafii pw. Pierwszych Męczenników Polskich w Gorzowie Wielkopolskim. Statuetkę wręczył bp ks. bp. Tadeusz Litwiński.

Głównym przesłaniem nagrody jest szerzenie zasady miłości bliźniego poprzez nagradzanie ludzi, którzy swoją postawą i działaniem rozporozwzeczniają i umacniają ideę dobroczynności w diecezji. Dotychczas w dwudziestu dwóch edycjach nagrody wręczono ponad 150 statuetek. Grażyna Szyszka

PUMPTRACK, CZYLI ATRAKCJA DLA ROWERZYSTÓW



FOT. GMINA RADWANICE

Gmina Radwanice poinformowała o rozpoczęciu kolejnej inwestycji, która będzie służyć mieszkańcom. To specjalny tor składający się z fal (tzw. muld) oraz profilowanych zakrętów, po którym można poruszać się na rowerze, hulajnodze, deskorolce czy rolkach. Tor ma być wykonany z trwałej nawierzchni asfaltowej, co zapewni komfort jazdy oraz możliwość korzystania z niego przez wiele lat. Projekt uwzględnia odpowiednio wyprofilowane zakręty, muldy oraz sekcje umożliwiające płynną jazdę bez konieczności pedałowania. Na wizualizacji pokazano przebieg trasy. Grażyna Szyszka

DROGI SAMORZĄDY CHCĄ STWORZYĆ SZYBKIE POŁĄCZENIE MIĘDZY S3 I S5

Obwodnice mają być impulsem do zmian

Grażyna Szyszka
Głogów/Wschowa

DK12 ma szansę stać się trasą szybkiego ruchu łączącą ważne drogi ekspresowe. Samorządowcy z Głogowa, Wschowy i Leszna przekonują, że inwestycja jest potrzebna.

Samorządowcy trzech województw - dolnośląskiego, lubuskiego i wielkopolskiego - po raz kolejny rozmawiali o budowie łącznika pomiędzy drogami ekspresowymi S3 i S5. W środę, 8 kwietnia, władze miast i gmin, przez które przebiega DK12, m.in. Głogowa, Wschowy i Leszna, spotkali się we wschowskim ratuszu, tym razem w szerszym gronie. Zaproszono również parlamentarzystów z trzech województw, reprezentujących różne opcje polityczne, bo - jak podkreślano - jest to inwestycja ponad podziałami.

Samorządowcom zależy na nadaniu drodze krajowej nr 12 standardu drogi ekspresowej lub trasy umożliwiającej szybki tranzyt między miastami. Tym bardziej że w tym roku ma ruszyć budowa obwodnicy Głogowa, a w przyszłym - Wschowy. Obie inwestycje mają zostać ukończone w 2028 roku.

- To bardzo potrzebna inwestycja, która połączyłaby drogi ekspresowe pomiędzy województwami, miastami i gminami, a jej wartością dodaną byłby rozwój gospodarczy oraz większa mobilność mieszkańców - powiedział gospodarz spotkania, Konrad Antkowiak, burmistrz Wschowy.

Nie wykluczają finansowego wsparcia

Takiego samego zdania jest prezydent Głogowa Rafał Rokaszewicz, któremu zależy, aby jak największa grupa osób przekonywała do tego pomysłu.

- Będziemy organizować kolejne spotkania, w różnych gremiach, które - mam nadzieję - przybliżą nas do budowy tego łącznika. Wiemy, że jesteśmy dopiero na początku tej drogi, ale każda wielka podróż zaczyna się od postawienia pierwszych kroków - mówi Rafał Rokaszewicz, prezydent Głogowa. - My, jako samorządy, chcemy wspierać i pomagać, a na tym pierwszym, przedprojektowym etapie



Samorządowcy chcą wspólnie zabiegać o lepsze warunki podróżowania mieszkańców



Chodzi o nadanie DK12 standardu drogi ekspresowej lub trasy umożliwiającej szybki tranzyt między miastami



Na spotkanie do Wschowy zaproszono parlamentarzystów z trzech województw

także wesprzeć finansowo. Musimy angażować się w prace, aby w naszych pla-

nach miejscowych zabezpieczyć miejsca pod przyszłą trasę tej drogi, a następnie starać się

o wpisanie tego zadania do krajowych programów drogowych - dodał.

Przejeżdżają 24 tys. samochodów

Na spotkaniu obecny był też Wiesław Szczepański, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. Przyznał on, że podejmowanie decyzji o budowie dróg na szczeblu krajowym zależy m.in. od natężenia ruchu. A takie pomiary w całej Polsce przeprowadziła w ubiegłym roku GDDKiA.

- Już dziś wiadomo, że na odcinku od Leszna do Wschowy dziennie przejeżdża 11,5 tysiąca samochodów, między Wschową a Głogowem 8 tysięcy, a między Głogowem a S3 około 9 tysięcy. W samym Głogowie ruch na DK12 to aż 24 tysiące pojazdów dziennie - powiedział.

Minister przypomniał, że w programie budowy dróg na lata 2023-2030 łącznika nie ma, a każda zmiana tego programu wymaga dodatkowych środków finansowych. Nie oznacza to jednak, że w kolejnych programach ich nie będzie.

Przypomnijmy, że spotkania samorządowców odbyły się już w Głogowie i Lesznie. Kolejne zaplanowano na maj - z udziałem przedstawicieli Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, zarządcy DK12 - ponownie w Głogowie.

Opłaty za parkowanie przy szpitalu

Grażyna Szyszka
Głogów

Od środy, 15 kwietnia, za pierwszą godzinę postoju na parkingu przy szpitalu płacimy 5 złotych.

Po prawie roku szpital w Głogowie przywraca opłaty za parkowanie na terenie placówki. Płatny wjazd dla pacjentów oraz innych osób będzie obowiązywał od środy, 15 kwietnia. Pierwszy kwadrans jest gratis, a za postój od 16 do 60 minut zapłacimy 5 złotych.

W regulaminie nastąpiła jednak bardzo istotna zmiana. Przed remontem parkingów jednorazowa opłata obowiązywała bez względu na czas postoju. Za każdą rozpoczętą godzinę klienci płacą kolejne 5 złotych.

Wprowadzenie opłat szpital tłumaczy troską o dostępność miejsc parkingowych oraz uporządkowaniem ruchu.

- Płatny, niestrzeżony parking obsługiwany jest przez automatyczny, bezbiletowy system parkingowy. Kamery odczytują numery rejestracyjne przy wjeździe i wyjeździe - informuje Beata Bugała, rzeczniczka szpitala.

Płatności można dokonać kartą lub gotówką w kasie parkingowej przy wyjeździe ze szpitala.

Z opłat za parkowanie zwolnione będą osoby niepełnosprawne, ale będą musiały okazać w kasie parkingowej ważną

kartę parkingową wydaną przez Zespół ds. Orzekania o Niepełnosprawności.

Abonamenty dla pracowników

Jak informuje głogowski szpital, płatne parkowanie dotyczy też załogi szpitala, łącząc z jego zarządem. Jednak dla nich przewidziano opłaty abonamentowe, które wejdą w życie od maja.

Pracownicy oraz współpracownicy mogą wykupić abonament miesięczny albo roczny w kwocie:

- Abonament pracowniczy: 20 zł opłata miesięczna lub 200 zł opłata roczna dla pracowników (osoby fizyczne zatrudnione przez Szpital na mocy umowy o pracę, jak również współpracujące na podstawie umowy zlecenia lub o dzieło, umowy współpracy, umowy o zarządzanie, kontraktu, stażu, wolontariatu, praktyki, itp.).

- Abonament współpracownicy: 50 zł opłata miesięczna lub 500 zł opłata roczna dla współpracowników (osoby fizyczne zatrudnione przez podmioty współpracujące ze Szpitalem na mocy umowy o pracę, umowy zlecenia, umowy o dzieło i innych form).

- Abonament komercyjny: 200 zł opłata miesięczna lub 2200 zł dla podmiotów gospodarczych i osób fizycznych innych niż w punkcie 1 i 2 - na okoliczność wystawienia faktury za parking.



PRZEMKÓW

Trudna akcja strażaków przy stawach

Noc z 11 na 12 kwietnia była wyjątkowo trudna dla strażaków z powiatu polkowickiego. W kilku miejscach niemal jednocześnie wybuchły pożary, a największy z nich objął rozległe trzcinowiska w rejonie Stawów Przemkowskich. Ze względu na podmokłe podłoże oraz brak dojazdu, strażacy i sprzęt gaśniczy

czyli byli transportowani na miejsce m.in. przy użyciu quada. Akcja trwała kilka godzin, zakończono działania dopiero przed godz. 6 rano. Wcześniej, również w Przemkowie, gaszono trzy pożary traw na sąsiadujących ze sobą terenach. Wszystko wskazuje na to, że były one wynikiem celowego podpalenia. SEL

„Seniorzy dla kudłatych seniorów”

Grażyna Szyszka
Głogów

Seniorzy z dwóch gmin odwiedziły schronisko we Wróblinie Głogowskim i zabrały na spacer jego najstarszych mieszkańców - psich seniorów.

Seniorzy z dwóch gminnych klubów - z Maniowa (gm. Jerzmanowa) i Serbów (gm. Głogów) - wzięły udział w wyjątkowej akcji. W sobotę, 11 kwietnia, 17 pań odwiedziło schronisko dla bezdomnych zwierząt we Wróblinie Głogowskim i zabrało psy na spacer. Co warto podkreślić - zwierzęta również należały do psich seniorów.

Na początku panie odwiedziły całe schronisko i poznały jego mieszkańców. Był lekki stres, ale gdy tylko opiekunowie wyprowadzili z kojców uradowane czworonogi i wręczyli im smycze, zapanowała radość i wzruszenie.

Akcję o nazwie „Seniorzy dla seniorów kudłatych” zaproponowała powiatowa radna Monika Makowska-Sikora.

- Nasi seniorzy mają wielkie serca, dużo empatii no i dużo



To była akcja pełna emocji i dobrych serc

czasu. Dla nich będzie to spacer, czyli coś dla zdrowia, a psiaki będą szczęśliwe. Plan zrodził się w czasie ferii, ale czekaliśmy na dobrą pogodę. Seniorzy bardzo miło go przyjęli i część z nich chętnie zgodziła się na taki wyjazd. Byli też tacy, dla których odwiedziny w tym miejscu wiązały się ze zbyt dużymi emocjami i nie zdecydowa-

wali się podjąć wyzwania - mówi pomysłodawczyni.

Wśród pań, które poszły na spacer z pieskiem, były Bożena Oczadło i Małgorzata Potulicka z gminy Jerzmanowa.

- Już byłam w schronisku i od pięciu lat mam stąd pieska - przyznaje pani Bożena. - Jest bardzo fajna i wdzięczna za to, że została przygarnięta.

Z kolei dla pani Małgorzaty była to pierwsza wizyta w takim miejscu. W domu ma trzy koty, więc spacer z psem, tym bardziej obcym, wzbudzał nieco niepokoju - ale tylko na początku.

- Jeżeli będzie kolejna okazja, to będziemy przyjeżdżać - zapewnia seniorka z gminy Jerzmanowa.



Pierwsza, ale być może nie ostatnia

Sobotnia akcja była pierwszą, ale być może nie ostatnią. Jeżeli seniorki będą chciały odwiedzić schronisko regularnie, tak się stanie.

- Być może któryś z psików skradnie serce naszego seniora i znajdzie dom? - dodaje Monika Makowska-Sikora.

Alicja Grześnińska-Świątek, kierowniczka Klubu Seniora

gminy wiejskiej Głogów, dodaje, że akcja to strzał w dziesiątkę.

- To obopólna korzyść - dla seniorów i zwierząt. Łączą ruch na świeżym powietrzu z dobrym uczynkiem. Może dzięki tej akcji więcej psów trafi do adopcji? - dodaje.

Trzymamy kciuki za kolejną edycję tej wyjątkowej akcji.

Radny powrócił z przytupem

Grażyna Szyszka
Głogów

Po trzymiesięcznej przerwie spowodowanej wypadkiem radny miejski Michał Górąski wraca do pracy z dużą energią. Jednego dnia złożył aż dziewięć interpelacji i jedno zapytanie.

- Chciałem z przytupem wrócić do swojej aktywności. Mam poczucie obowiązku, bo zostałem wybrany przez mieszkańców. Mam też osobistą satysfakcję z pracy w radzie miejskiej - przyznaje 33-letni Michał Górąski. - Część z tych pomysłów miałem jeszcze przed wypadkiem, a pozostałe pojawiły się w czasie mojej rekonwalescencji. Miałem dużo czasu na przemyślenia.

Większość interpelacji dotyczy bezpieczeństwa na przejściach dla pieszych, co - jak podkreśla radny - jest mu szczególnie bliskie. Jeżdżąc po mieście, z perspektywy kierowcy przygląda się miejscom dla pieszych, które warto poprawić, zarówno w kwestii doświetlenia przejść, jak i montażu progów zwalniających.

- Chodzi o tak zwaną aktywną sygnalizację świetlną z mrugającym „ludzikiem” (znak D-6). Uważam, że jest to rozwiązanie sprawdzone i łatwiejsze do realizacji w praktyce - wyjaśnia.

Michał Górąski jest radnym kadencji 2024-2029. Pełni funkcję przewodniczącego Komisji Społeczno-Samorządowej, Polityki Społecznej i Rodziny. Radny jest aktywny - zarówno na sesjach, jak i pod względem liczby składanych interpelacji. W tej kadencji ma ich już ponad 40.



Michał Górąski, głogowski radny

Niezwykłe akcje ratunkowe strażaków

Grażyna Szyszka
Głogów/Polkowice

Sarna w ogrodzeniu, gołąb na ścianie bloku i pies w wykopie - to tylko część interwencji, do których wyjeżdżali strażacy z Polkowic i Głogowa.

Strażackie akcje to nie tylko gaszenie pożarów, ratowanie ludzi w wypadkach czy usuwanie powalonych drzew. W czwartek rano, 10 kwietnia, do Stanowiska Kierowania Komendanta Powiatowego Państwowej Straży Pożarnej w Polkowicach wpłynęło zgłoszenie dotyczące samy uwięzionej w ogrodzeniu.

Zwierzę utknęło w siatce na nieużytkach w pobliżu Gaworzyc. Na miejscu pojawiły się zastępy straży pożarnej z JRG Polkowice oraz OSP Gaworzyc.

- Z zachowaniem szczególnej ostrożności strażacy uwolnili sarnę i udzielił jej niezbędnej pomocy przedweterynaryjnej, to znaczy opatrzyli rany oraz okryli ją folią ratunkową chroniącą przed wychłodzeniem, Zwierzę przekazano pod opiekę weterynarza - infor-

muje Adrian Ziemiański, oficer prasowy PSP w Polkowicach.

Zaplątał się w siatkę

Dzień wcześniej w Polkowicach strażacy uratowali gołębia, który zaplątał się w siatkę... na ptaki. Akcja była prowadzona z użyciem drabiny, ponieważ ptak był uwięziony na ścianie bloku na wysokości trzeciego piętra.

Rzecznik polkowickich strażaków przyznaje, że do podobnych akcji, tj. ratowania zwierząt, wzywani są średnio raz w miesiącu. W lutym, koło Gaworzyc, wyciągnęli psa, który wpadł do pięciometrowego wykopu i nie był w stanie samodzielnie się z niego wydostać. Jeden z ratowników zszedł na dół i bezpiecznie ewakuował zwierzę.

- Mamy też wezwania do kotów na drzewach. Ale to zwierzęta, które często same potrafią zejść bez naszej pomocy. Nie należy wtedy stać pod drzewem i krzyżeć, bo kot się boi. Przy takich wezwaniach nasz dyżurny często prosi, by odejść i faktycznie problem się rozwiązuje - dodaje rzecznik strażaków.



W Gaworzycach strażacy uratowali sarnę, która zaplątała się w ogrodzeniową siatkę

Wąż w studzience

Do podobnych wezwań ratowania zwierząt jeżdżą też głogowscy strażacy. Pomagali m.in. łabędziowi przymarzniałemu do lodu, wylapywali szczury na kłatkach schodowych. Ostatnio ratowali też kota na drzewie, bo świadkowie twierdzili, że zwierzę siedzi między gałęziami od dwóch dni.

- Mielśmy też wezwania do zaskrońców, które wystra-

szyły ludzi. Pamiętam szczególnie jedną taką akcję w Serbach. Wezwano nas do węży, którego znaleziono w studzience. Okazało się, że był to potężny, półtorametrowy zaskrońiec. Mamy przecież świadomość, jak one wyglądają, ale gdy go wyciągnęliśmy, sami nie dowierzaliśmy, że mogą być aż tak duże - wspomina Kamil Szydłowski, oficer prasowy PSP w Głogowie.

Dni Otwarte w głogowskich szkołach średnich

Grażyna Szyszka
Głogów

Placówki oświatowe zaprosiły w swoje progi ósmoklasistów. Można było odwiedzić ILO i ZSTiO.

Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Krzywoustego w Głogowie zaprosiło tegorocznych absolwentów ósmych klas na Dni Otwarte szkoły. W sobotnim (11 kwietnia) wydarzeniu wzięło udział wielu uczniów, którzy przyszli ze znajomymi a nawet rodzinami, by zapoznać się z ofertą edukacyjną oraz zwiedzić budynek - od piwnic po poddasze.

Odwiedzający byli witani przy wejściu głównym smyczką z logo placówki oraz banerem z napisem „Twoja przyszłość zaczyna się tutaj. Absolwenci 2030”.

Następnie starsi koledzy, w eleganckich bordowych białych, oprowadzali gości po klasach, opowiadając o nauce, atrakcjach i ciekawostkach związanych ze szkołą.

- Bardzo interesuje mnie nauka w tej szkole, szczególnie rozszerzenie matematyki i fizyki - powiedział Bartosz z SP



W ILO przygotowano 150 miejsc w pięciu klasach pierwszych o trzech profilach

nr 3, który odwiedził I LO. - Moja siostra również się tu uczyła. Dziś chciałem sam poznać tę szkołę i dowiedzieć się jak najwięcej o panującej tu atmosferze. Muszę przyznać, że czuć tu bardzo pozytywną energię, a z relacji siostry wiem, że nauczyciele są bardzo życzliwi.

Młodych gości oprowadzał również dyrektor szkoły, Janusz Kosałka. Podkreślał, że

placówka zawsze dba o odwiedzających.

- Pokazujemy, jak wygląda nasze liceum i jak funkcjonujemy. Można porozmawiać z uczniami i nauczycielami oraz zobaczyć, co nowego oferujemy w nadchodzącym roku szkolnym - powiedział. - Warto podkreślić, że jesteśmy szkołą, w której wiele się dzieje. Samorząd uczniowski działa bardzo



W Zespole Szkół Technicznych i Ogólnokształcących impreza była utrzymana w stylu hawajskim

aktywnie, a my wspieramy młodzież w realizowaniu ich własnych inicjatyw. Dbamy również o wysoki poziom nauczania, aby dobrze przygotować naszych absolwentów do podjęcia studiów.

Dla absolwentów szkół podstawowych, od nowego roku szkolnego w ILO przygotowano 150 miejsc w pięciu klasach o profilach: matematycznym

(30 miejsc), medycznym (dwie klasy po 30 miejsc), akademickim (dwie klasy po 30 miejsc).

W hawajskim stylu

W Zespole Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w Głogowie było tłumnie, kolorowo i gwarno. Piątkowy dzień, 10 kwietnia, w hawajskim stylu okazał się bardzo udany.

„Muszę przyznać, że czuć tu bardzo pozytywną energię, a z relacji siostry wiem, że nauczyciele są bardzo życzliwi”

Dla gości przygotowano liczne atrakcje, m.in.: wykonywanie warkoczyków i warkoczy z dodatkiem włosów syntetycznych, wirtualną strzelnicę, pokaz pierwszej pomocy, prezentację kultury i kuchni hawajskiej oraz współpracy międzynarodowej, pokaz pracowni fotograficznej i specjalistycznego sprzętu, a także ciekawostki ze świata reklamy.

Zorganizowano również wystawę obrazów Małgorzaty Bartoszek, nauczycielki języka niemieckiego, oraz Kącik Twórczości Alicji Malinowskiej, uczennicy technikum usług fryzjerskich, piszącej wiersze.

Kandydaci mają do wyboru: technikum usług fryzjerskich, technikum reklamy, technikum fotografii i multimediów, technikum organizacji turystyki, liceum, branżową szkołę I stopnia.

REKLAMA

0011509217

Chocianów, dnia 15.04.2026 r.



WYCIĄG z OGŁOSZENIA o PRZETARGU

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW

informuje,

że w dniu 19 maja 2026 r. o godz. 9:00 w sali nr 4a w Urzędzie Miasta i Gminy w Chocianowie odbędzie się:

CZWARTY przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości gruntowej zab. budynkiem mieszkalnym nr 748 o pow. uż. 71,90 m², Chocianowiec nr 156, obr. Chocianowiec, oznaczonej geodezyjnie nr 902/1 o pow. 0,1700 ha (użytek Br-PSiV), KW nr LE1U/00031332/6.

Nieruchomość zgodnie z MPZP wsi Chocianowiec oznaczona jest symbolem: 12MN/U – tereny zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej i usługowej. Nieruchomość zabudowana jest budynkiem mieszkalnym oraz budynkami gospodarczymi.

CENA WYWOŁAWCZA: 110 000,00 zł (słownie: sto dziesięć tysięcy złotych), VAT ZW, przy postąpieniu nie mniejszym niż 1% ceny wywoławczej z zaokrągleniem w górę do pełnych dziesiątek złotych.

Wysokość wadium, forma, termin i miejsce jego wniesienia: 6 000,00 PLN (słownie: sześć tysięcy złotych), wpłata na rachunek bankowy Gminy Chocianów nr 73 1020 5226 0000 6702 0706 0603 w PKO BP Oddział 1 we Wrocławiu do 13.05.2026 r. (włącznie). Przy wpłacie wadium należy podać nr działki.

Ogłoszenie o przetargu wywieszane jest na tablicy ogłoszeń Urzędu i Miasta i Gminy w Chocianowie, opublikowane w BIP > OGŁOSZENIA BURMISTRZA: <http://chocianow.bip.pbox.pl> oraz na <https://chocianow.pl/nieruchomosci>. Szczegółowe informacje pod nr tel. 76 81 85 020 wew. 164, w zakresie MPZP 163, sylwia.przybysz@chocianow.pl

REKLAMA

0011509295

Chocianów, dnia 15.04.2026 r.



WYCIĄG z OGŁOSZENIA o PRZETARGU

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW

informuje,

że dnia 19 maja 2026 r. o godz. 9:15 w Sali Nr 4a w Urzędzie Miasta i Gminy w Chocianowie odbędzie się:

PIERWSZY przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości gruntowej niezabudowanej, oznaczonej nr geodezyjnym 322/5 o pow. 0,2946 ha, obręb 3 miasta Chocianów, dla nieruchomości w Sądzie Rejonowym w Lubinie w V Wydziale Ksiąg Wieczystych prowadzona jest księga wieczysta nr LE1U/00018330/5.

CENA WYWOŁAWCZA: 203 000,00 PLN (dwieście trzy tysiące złotych) z VAT 23%, przy postąpieniu nie mniejszym niż 1% ceny wywoławczej z zaokrągleniem w górę do pełnych dziesiątek złotych.

Wysokość wadium, forma, termin i miejsce jego wniesienia: 11 000,00 PLN wpłata na rachunek bankowy Gminy Chocianów nr 73 1020 5226 0000 6702 0706 0603 w PKO BP Oddział 1 we Wrocławiu do 13 maja 2026 r. (włącznie). Przy wpłacie wadium należy podać numer działki.

Ogłoszenie o przetargu wywieszane jest na tablicy ogłoszeń w Urzędzie i Miasta i Gminy w Chocianowie, opublikowane w BIP pod adresem <http://chocianow.bip.pbox.pl> Szczegółowe informacje można uzyskać w UMIG Chocianów, pokój nr 13, tel. 76 81 85 020 wew. 164, w zakresie MPZP 163.

PRAWO SĄD OKRĘGOWY ORZEKŁ KARĘ WIĘZIENIA I ZAKAZ PROWADZENIA POJAZDÓW

Sprawca koszmarnego wypadku skazany

Grażyna Szyszka
Głogów/Legnica

Sąd Okręgowy w Legnicy utrzymał wyrok 1,5 roku więzienia dla 67-latk, który wjechał w motocyklistę. W wyniku wypadku Artur Cejba stracił nogę.

Sąd podtrzymał 9 kwietnia wyrok 1,5 roku więzienia dla 67-letniego mężczyzny, który w marcu zeszłego roku wjechał samochodem w motocyklistę. W wypadku 52-letni wówczas Artur Cejba stracił nogę. Sąd utrzymał też w mocy zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na 5 lat oraz wysokość orzeczonej na rzecz pokrzywdzonego nawiązki w wysokości 50 tys. zł.

W styczniu tego roku karę dla sprawcy wypadku orzekł Sąd Rejonowy w Głogowie, ale oskarżony odwołał się do wyższej instancji.

- Właśnie wróciliśmy z Legnicy i wreszcie zakończyliśmy tę sądową batalię - powiedziała nam, zadowolona

z wyroku Paulina Cejba, córka pana Artura.

Motocyklista stracił nogę

Przypomnijmy: do tragicznego wypadku doszło 20 marca 2025 roku na drodze wojewódzkiej nr 319 pod Grodzcem Małym koło Głogowa.

Artur Cejba wracał do domu z corocznego przeglądu swojego motocykla. W jadącego prawidłowo motocyklistę uderzył samochód osobowy marki Seat, którym kierował 66-letni wówczas kierowca.

Motocyklista z poważnymi obrażeniami został przetransportowany śmigłowcem do Uniwersyteckiego Szpitala w Zielonej Górze. W wyniku silnego uderzenia noga mężczyzny została całkowicie zmiażdżona, stracił dużo krwi i doznał wstrząsu krwotocznego. Lekarze byli zmuszeni amputować lewą nogę powyżej kolana.

Po wypadku bliscy i znajomi pana Artura ruszyli z ak-



Artur stracił nogę, ale nie siłę ducha i walki. Ma kochającą rodzinę i duże grono wiernych przyjaciół

W jadącego prawidłowo motocyklistę uderzył samochód marki Seat, którym kierował 66-letni wówczas kierowca

cją pomocy motocykliście. Zbierano m.in. pieniądze na protezę nogi. Dla niego organizowano również zbiórki podczas 15. głogowskiej akcji „Motokrew”.

Jak się dziś czuje Artur Cejba?

Po ponad roku od koszmarnego wypadku, dzięki ogromnemu wsparciu rodziny Artur Cejba ma się dobrze, ale wciąż przechodzi rehabilitację.

- Zaraz jedzie do Krakowa, również na rehabilitację i naukę chodzenia. Niestety, lekarze wykryli w nodze taty nerwiaka i konieczna będzie kolejna operacja. Oznacza to powrót, przynajmniej na jakiś czas, na wózek. Niedawno tata otrzymał protezę - mówi pani Paulina.

Poseł z Głogowa sprzedał butelki i kupił kwitnącą wiśnię

Grażyna Szyszka
Głogów

Plastikowe butelki miały być politycznym protestem. Po ich sprzedaży posadzono drzewko na terenie przewidzianym pod rekreację.

Zaskakujący finał akcji z plastikowymi butelkami w tle. Kilka dni temu działacze Nowa Nadzieja i Konfederacja z okręgu legnickiego zasypali biuro posła Łukasza Horbatowskiego plastikowymi butelkami. Krytykowali w ten sposób działanie systemu kaucyjnego, zarzucając, że KO zrobiło z Polaków „meneli i śmieciarzy”, którzy muszą chodzić do sklepu z reklamówkami pełnymi butelek.

Poseł przyjął „prezent”, a następnie objechał głogowskie sklepy, by sprawdzić, czy faktycznie istnieje problem. Oddał butelki do automatów i twierdzi, że w odwiedzonych placówkach wszystko działało poprawnie, a kaucja została bez problemu wypłacona.

- Wiem, że z automatami są problemy na terenach wiejskich. Na pewno zwrócę na to uwagę w Ministerstwie Kli-

matu i Środowiska - zapewnił poseł z Głogowa.

Ile zarobił na подарowanych przez Konfederację plastikowych butelkach zwrotnych?

- Dokładnie 22 złote i 40 groszy. Razem z radnymi dołożyliśmy trochę i za 70 zł kupiliśmy piękną, kwitnącą wiśnię - powiedział Łukasz Horbatowski.

Przy okazji akcji poseł ogłosił konkurs pod nazwą „Zamieńmy plastik w drzewo”,

skierowany do najmłodszych mieszkańców miasta i powiatu. Szczegóły mają zostać ogłoszone w środę, 22 kwietnia, czyli w Dzień Ziemi.

Kwitnącą wiśnię, kupioną za pieniądze z recyklingu, posadzono na półhektarowej działce powiatowej przy ul. Polwarcznej. Jak zapowiedział starosta Michał Wnuk, ma tam powstać teren rekreacyjny dla całych rodzin.



Poseł sadi drzewko z pomocą radnych i starosty

KRÓTKO

GŁOGÓW

Zderzyły się dwa Volkswageny

W środę, 15 kwietnia, o godz. 7 na rondzie Popiełuszki w centrum miasta zderzyły się dwa samochody osobowe.

Wszystko wskazuje na to, że kierowca jadący aleją Wolności nie ustąpił pierwszeństwa przejazdu i uderzył w samochód poruszający się po rondzie. Kierowca, który wymusił pierwszeństwo został odwieziony do szpitala na badania. SEL

GŁOGÓW

Remont drogi do Sławy

Od poniedziałku są prowadzone prace między Sobzycami a Moszowicami. Stara nawierzchnia zostanie sfrezowana, a na jej miejsce wyłana nowa. Remontowany jest odcinek o długości blisko półtora kilometra. Ruch odbywa się tam wahadłowo. Prace mają się zakończyć do czerwca. Inwestycja jest realizowana w ramach programu „Dolny Śląsk na dobrej drodze”. SEL

Nauczyciel i uczeń mają odmienne wersje

Grażyna Szyszka
Głogów

Sąd przesłuchał 12-letniego ucznia, który miał zostać obrażony i szarpany przez nauczyciela. Wersje zdarzeń przedstawiane przez strony różnią się.

Wracamy do sprawy nauczyciela z głogowskiej Szkoły Podstawowej nr 3, który na lekcji techniki miał - przy innych uczniach - szarpać i wyzywać 12-latkę z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego.

W poniedziałek, 13 kwietnia, 12-latek w obecności psychologa został przesłuchany przez sąd.

- Na posiedzeniu był obecny prokurator, który mógł zadawać pytania. W sprawie będą przesłuchane również inne osoby małoletnie - informuje Marek Wójcik, prokurator rejonowy w Głogowie.

Wcześniej, w charakterze świadka, śledczy przesłuchali już nauczyciela techniki.

Na podstawie zebranego materiału dowodowego za-

padnie decyzja, czy mężczyzna usłyszy zarzuty i sprawa trafi do sądu, czy zostanie umorzona.

Prokurator przyznaje, że na razie trudno powiedzieć, jaki będzie dalszy tok postępowania, ponieważ wersje przebiegu zdarzenia przedstawione przez nauczyciela oraz ucznia są sprzeczne.

Przypomnijmy: awantura miała miejsce 23 stycznia w jednej z największych szkół podstawowych w mieście. Zawiadomienie na policję złożyła matka chłopca, którego nauczyciel miał wyzywać od „debili”, „gnoja” i kazać mu „wyp... z klasy”.

Po zdarzeniu w SP 3 kuratorium oświaty przeprowadziło kontrolę. We wnioskach wskazano m.in. problemy z wykonywaniem zaleceń dotyczących ucznia z orzeczeniem.

Co istotne, w obronie nauczyciela techniki stanęli uczniowie i ich rodzice. Napisali nawet petycję w sprawie rzetelnego wyjaśnienia zdarzenia na lekcji techniki, ale też chcą, by 12-latek został usunięty z klasy.

Wielki Bal Pirata. Zuchy opanowały Radwanice

Grażyna Szyszka
Gaworzyce

Aż 220 zuchów przyjechało do Radwanic na trzydniową (10-12 kwietnia) akcję „ZuchArt” 2026. Był uroczysty apel, integracja i twórcze działania.

Gmina Radwanice była gospodarzem kolejnej akcji pod nazwą „ZuchArt”, czyli Dolnośląskiego Festiwalu Twórczości Artystycznej Zuchów. Na trzydniowe wydarzenie przyjechało aż 220 dzieci.

Pierwszego dnia wójt Gminy Radwanice Paweł Piwko oraz dyrektorka szkoły Izabela Jokiel uroczystie wręczyli dzieciom symboliczne klucze do szkoły i do gminy.

Trzy różne atrakcje

Pierwszego dnia, po uroczystym apelu, dzieci wykonywały pirackie rekwizyty, m.in. pirackie flagi. Na zakończenie dnia czekała na nie wyjątkowa nagroda - seans w kinie „Kijawiak”.

Drugi dzień miał charakter społeczny. Zuchy, wspólnie z mieszkańcami, sołtysem i radą sołecką, sprzątały park, a potem wzięły udział w grze terenowej. Skarbem, który odkryły na końcu, była sala gim-



LOREM

nastyczna pełna dmuchańców - idealne miejsce na integrację i zabawę.

Wieczorem każda gromada zaprezentowała piracki taniec i piosenkę. Dzień zakończył się wielkim Balem Pirata przy muzyce i w towarzystwie kolorowych maskotek.

W ostatnim dniu akcji zuchy zdobywały nowe sprawności, uczyły się pracy zespołowej i samodzielności - od pakowania i rozpakowywania, po samodzielne dbanie o mundur.



FOT. GMINA GAWORZYCE

FOT. GMINA GAWORZYCE

W niedzielę do Sławy zjadą właściciele BMW (seria Z). Zaparkuje blisko 70 aut

Grażyna Szyszka
Sława

Na Plaży Miejskiej odbędzie się charytatywny Złot BMW serii Z. Akcja zgromadzi miłośników motoryzacji, którzy wspólnie wesprą zbiórkę na rzecz czteroletniego, chorego Antosia.

Do Sławy nad Jezioro Sławskie zjadą samochody marki BMW serii Z. Na Miejskiej Plaży zaparkują w niedzielę, 19 kwietnia, w godz. 11.30-15.

Unikalne pojazdy

Podczas tegorocznego zlotu będzie można zobaczyć około 70 unikatowych pojazdów. Nad Jezioro Sławskie przyjadą właściciele kabrioletów z całej Polski.



Szlachetny cel zlotu to pomoc choremu chłopcu

Zbiórka na rzecz Antosia

Wydarzenie zgromadzi miłośników motoryzacji, którzy wspólnie wesprą zbiórkę na rzecz Antosia. Chłopiec cho-

ruje na mózgowie porażenie czterokończynowe dyskinezyjne. Jest to postać MPD charakteryzująca się znacznymi zaburzeniami kontroli ruchu i napięcia mięśniowego oraz ograniczonymi efektami terapii.

Komunikacja alternatywna

Celem zbiórki jest zakup specjalistycznego urządzenia do komunikacji alternatywnej PC Eye. Łączna kwota potrzebna na realizację celu wynosi 30 000 zł, z czego dotychczas udało się zebrać około 12 000 zł.

W trakcie wydarzenia na terenie Sławskiego Centrum Kultury i Wypoczynku dostępne będą trzy puszki kwestarskie. Znajdziecie je:

- w kawiarni Tiramisu,
- w kawiarni Café na rogu,
- przy ekspozycji samochodów na plaży.

Każdy, kto wrzuci datek otrzyma drobny upominek - m.in. klubową naklejkę lub gadżet. Przekazanie urządzenia dla Antosia zostało zaplanowane na kolejnym zlocie BMW Z. Ma to nastąpić w Białymstoku pod koniec lipca.

REKLAMA 0011504919

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL
KASACJA POJAZDÓW
64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)
500 545 500

REKLAMA

GPI.6840.28-50.2024



BURMISTRZ PRZEMKOWA

ogłasza

- II ROKOWANIA na sprzedaż lokalu użytkowego** położonego w Przemkowie przy ul. Plac Wolności 20/1u na działce nr 620/2 o powierzchni 373 m², KW LE1G/00027964/1
Powierzchnia użytkowa lokalu: 64,35 m²
Cena wywoławcza: 150.000,00 zł
Zaliczka: 7.500,00 zł
Termin przeprowadzenia rokowań: 18 maja 2026 r. o godz. 9.00
 - II ROKOWANIA na sprzedaż lokalu mieszkalnego** położonego w Przemkowie przy ul. Zamkowej 3/4 na działce nr 523 o powierzchni 720 m², KW LE1G/00031469/2
Powierzchnia użytkowa lokalu: 20,18 m²
Cena wywoławcza: 46.000,00 zł
Zaliczka: 2.300,00 zł
Termin przeprowadzenia rokowań: 18 maja 2026 r. o godz. 10.00
 - I ROKOWANIA na sprzedaż lokalu mieszkalnego** położonego w Przemkowie przy ul. Nowej 5/1 na działce nr 548/1 o powierzchni 107 m², KW LE1G/00035225/8
Powierzchnia użytkowa lokalu: 30,95 m²
Cena wywoławcza: 45.000,00 zł
Zaliczka: 2.250,00 zł
Termin przeprowadzenia rokowań: 18 maja 2026 r. o godz. 11.00
 - I PRZETARG ustny nieograniczony na sprzedaż lokalu mieszkalnego** położonego w Przemkowie przy ul. Szkolnej 4/3 na działce nr 38/1 o powierzchni 1630 m², KW LE1G/00057313/2
Powierzchnia użytkowa lokalu: 36,20 m²
Cena wywoławcza: 45.000,00 zł
Wadium: 2.250,00 zł
Termin przeprowadzenia przetargu: 18 maja 2026 r. o godz. 12.00
- Termin wpłaty wadium, zaliczki oraz złożenia zgłoszenia:** najpóźniej do dnia 14 maja 2026 r.

Rokowania i przetarg zostaną przeprowadzone w siedzibie Urzędu Miejskiego w Przemkowie przy ul. Plac Wolności 25 - sala sesyjna (pokój nr 27).

Zaliczkę oraz wadium należy wpłacić na konto Urzędu Miejskiego w Przemkowie nr 67 1610 0048 2000 0500 0101 0015 w SGB-Bank S.A. Przemków z podaniem położenia lokalu w tytule wpłaty. Za datę wniesienia zaliczki oraz wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek Urzędu Miejskiego.

Pełną informację dotyczącą nieruchomości oraz rokowań i przetargu zawiera ogłoszenie wywieszane na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Przemkowie przy ul. Plac Wolności 25 oraz na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Przemkowie

(<https://umprzemkow.bip.gov.pl> zakładka: Przetargi - sprzedaż). Dodatkowe informacje można uzyskać w pokoju nr 30 tut. Urzędu lub telefonicznie (76) 8320 480.

Burmistrz Przemkowa zastrzega sobie prawo odwołania rokowań i przetargu z ważnych powodów oraz prawo zamknięcia rokowań i przetargu bez wybrania nabywcy nieruchomości.

BURMISTRZ
Jerzy Szczupak

REKLAMA

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec



Huk silników, zapach wojskowej grochówki i wielu zwiedzających. W Głogowie zorganizowano wyjątkowy festiwal, który przeniósł nas w czasie. To jedna z największych takich imprez w Polsce

Pancerne kolosy stanęły w Głogowie. Były czołgi i wyrzutnie rakietowe



Na Placu Festynowym stanęły ogromne czołgi i pojazdy pancerne, a setki żołnierzy rozbiło obozy

Na IV Głogowski Festiwal Historyczny zjechało do miasta blisko 200 rekonstruktorów

SP nr 10 w Głogowie świętuje 45-lecie



Uczniowie zbrali się w czwartek na uroczystym apelu. Zaprezentowano na nim nowy sztandar



Nowy sztandar ma w centralnym miejscu popiersie patrona szkoły – Mikołaja Kopernika



Historię szkoły i jej znaczenie dla miasta przypomniała dyrektor szkoły Joanna Ołówek

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl



HUMOR

Pod knajpę podjeżdża zamówiona taksówka. Kelner pakuje na tylne siedzenie trzech pijanych klientów i instruuje taksówkarza:

– Tego z lewej na Kopernika, tego w środku na Kościuszki, a tego z prawej na Spokojną. Po pięciu minutach taksówka ponownie podjeżdża pod knajpę, taksiarz woła kelnera:

– Powiedz pan to jeszcze raz, bo na zakręcie mi się przemieszali.

Żona oznajmiła mi dzisiaj rozkazującym tonem, że mam ugotować obiad, a potem rozwieść pranie. „Co to, to nie!” – pomyślałem. „Nie wie chyba, z kim ma do czynienia! Nie będzie mi baba rozkazywała!”. Najpierw rozwiesiłem pranie, a potem ugotowałem obiad!



FOT. PARAFIA KOLEGIACKA

Konserwatorzy odnowią gotycką kaplicę w kolegiacie

W głogowskiej kolegiacie będą prowadzone kolejne prace konserwatorskie. Tym razem chodzi o kaplicę Najświętszego Sakramentu, która w najbliższych tygodniach ma być przy-

wrócona do pierwotnego, gotyckiego wyglądu. Parafia otrzymała dofinansowanie z Urzędu Miasta oraz Urzędu Marszałkowskiego. SEL

REKLAMA

0011509663

MECZ TOWARZYSKI PARTNERSKICH GMIN
GMINA GRĘBOCICE I DUBĂSARII VECHI (MOŁDAWIA)

SPARTA GRĘBOCICE 1947 **VS** **FC HAIDUC** 1958 DUBĂSARII VECHI

SPARTA GRĘBOCICE **FC HAIDUC**

PIĄTEK
24.04.2026
16:00

ZAPRASZA WÓJT GMINY GRĘBOCICE

W TRAKCIE MECZU ZBIÓRKA PIENIEDZY DLA BARTKA

Razem możemy więcej!
Każda złotówka ma znaczenie!

Gręboćice
Przyjazna Gmina

Po raz pierwszy od czasów apostołskich, 40 lat temu, następca Świętego Piotra wszedł do żydowskiego domu modlitwy, modlił się i przemawiał do Żydów. Watykan od synagogi nad Tybrem dzieli niespełna kilometr, ale na gruncie ekumenizmu była to odległość bardzo długa. A jej echa słychać i dziś.

Starsi bracia?

Wizyta i wygłoszone tam przemówienie oznaczały przełom w relacjach z judaizmem. Odwołując się do soborowej deklaracji „Nostra aetate” papież zwrócił uwagę na szczególną relację chrześcijaństwa z judaizmem. „Religia żydowska nie jest dla naszej religii rzeczywistością zewnętrzną, lecz czymś wewnętrznym. Stosunek do niej jest inny aniżeli do jakiegokolwiek innej religii. Jesteście naszymi umiłowanymi braćmi i pod pewnym względem - można powiedzieć - naszymi starszymi braćmi”.

Papież podkreślił też, że nie można Żydom jako narodowi przypisywać żadnej dziedzicznej ani zbiorowej winy za to, co popełniono podczas męki Jezusa. Dlatego nie ma „żadnych podstaw do jakiegokolwiek, rzekomo teologicznie usprawiedliwionej dyskryminacji czy - co gorsza - prześladowań Żydów”. Cytując „Nostra aetate” Ojciec Święty przypomniał, że Żydzi „pozostają przedmiotem miłości Boga”, który powołał ich „wezwaniami nieodwracalnym”. Nie należy zatem przedstawiać Żydów jako odrzuconych czy przeklętych.

Komentatorzy określili później to przemówienie jako „Od-należone braterstwo”.

Przypomnijmy historyczne okoliczności wizyty. Papież wszedł do Tempio Maggiore di Roma przy Lungotevere de' Cenci o godz. 17. Na zdjęciach z tego wydarzenia widać, jak wita się z rabinem Rzymu Elio Toaffem. Rabin powitał Ojca Świętego przed główną bramą synagogi, po czym obaj, wraz z towarzyszącymi im osobami, weszli do środka.

Do dziś w muzeum w synagodze znajduje się dokumentacja tamtego wydarzenia. A jak ważne były relacje katolicko-żydowskie dla św. Jana Pawła II świadczy fakt, że w swoim teście wspomina rabina Rzymu, Elio Toaffa, który w 2000 r. otrzymał doktorat honoris causa KUL.

Wizycie w synagodze towarzyszyły wielkie emocje. Wizytę kontestowali wówczas m.in. obecna przed świątynią grupa członków Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, wołająca: „Papieżu, powstrzymaj się, nie idź do Kajfasza”.

Nim Jan Paweł II wygłosił swoje przemówienie, głos zabrał gospodarz - rabin Toaff. Witając gości zauważył, że „Kościoł w sposób radykalny zmie-



Przemawiając w synagodze, Jan Paweł II podkreślił, że nie można Żydom jako narodowi przypisywać żadnej dziedzicznej ani zbiorowej winy za to, co popełniono podczas męki Jezusa

CO JAN PAWEŁ II MÓWIŁ W RZYMSKIEJ SYNAGODZIE?

13 kwietnia 1986 r. Jan Paweł II złożył wizytę w rzymskiej synagodze. Jako pierwszy papież w historii

Mariusz Grabowski

nił swoje nauczanie na temat Żydów i traktuje ich z szacunkiem i powagą”. Podkreślił, że nie zapominając o przeszłości, Żydzi chcą współpracować w ramach obu wspólnot na zasadzie partnerstwa i równości. Nie zmienia to jednak faktu, iż „pragną oni nadal szerzyć wiarę w Jedyne Boga i Jego miłość, a także ojcostwo wobec wszystkich ludzi”. Przekonani, że człowiek został stworzony przez Boga na Jego podobieństwo, chcieliby wraz z chrześcijanami nauczać o koniecznym szacunku w stosunkach międzyludzkich, przeciwstawiać się wszelkim formom rasizmu i antysemityzmu.

„Żydzi i chrześcijanie mogą - mówił Toaff - współpracować również w dziedzinie ochrony praw człowieka, jak prawo do wolności sumienia i wyznawania własnej religii. Interesująco brzmi zachęta do wspólnej

troski o życie »od pierwszej chwili jego poczęcia«”.

Jezus w centrum

Po Toaffie przemówił Jan Paweł II. Ale zanim przeszedł do teologicznej wykładni nauczania Kościoła na temat Żydów, odwołał się do wydarzeń ze swego życia. Na wstępie przyznał, że od dawna myślał o tej wizycie i przypomniał, że rabin Toaff spotkał się już z nim 8 lutego 1981 r., gdy biskup Rzymu odwiedził pobliską parafię św. Karola i Błażeja.

Wspomniał też o swym pobycie na terenie byłego obozu koncentracyjnego Auschwitz 7 czerwca 1979 r. w czasie wizyty apostolskiej w Polsce, gdy cierpieniem narodu żydowskiego w czasie ostatniej wojny poświęcił oddzielny fragment wygłoszonej wówczas homilii.

Dodał także, że jego wizyta nie jest zwieńczeniem prze-

zwycięzonych różnic i poglądów, ponieważ we wzajemnych kontaktach chrześcijanie i żydzi znajdują się dopiero u początku drogi. Przypomniał, że „jednych i drugich dzieli przede wszystkim osoba i nauczanie Jezusa z Nazaretu, syna narodu żydowskiego”.

Jan Paweł II i kolejni

Wątek chrystologiczny często umyka tym, którzy opisują tamto wydarzenie. A przecież jest kluczowy dla dialogu katolicko-żydowskiego. „Możemy więc zauważyć - mówił papież - że Jezus Chrystus na stałe podzielił chrześcijan i żydów. Przed każdym chrześcijaninem staje nieustannie wyzwanie, aby owo »nie« dla Jezusa Chrystusa umieć wyjaśnić w sposób pozytywny, starając się zrewidować własny sposób składania o Nim świadectwa”.

I dalej: „Mogę więc otworzyć przed wami swoje serce i szczerze okazać swoje uczucia życzliwości dla całej wspólnoty żydowskiej Rzymu, jak i wszystkich Żydów na całym świecie” - zapewnił Jan Paweł II.

Na zakończenie wizyty Ojciec Święty i naczelny rabin Rzymu wymienili pocałunki pokoju. W ślady Jana Pawła II poszli też jego następcy: 17

stycznia 2010 r. rzymską synagogę odwiedził Benedykt XVI, a 17 stycznia 2016 r. papież Franciszek.

W 2021 r., w 35. rocznicę wizyty, rabin Riccardo di Segni, obecny rabin Rzymu, ujawnił kulisy jej przygotowania. Wedle niego pomysł zrodził się przy obiedzie w gronie papieskich współpracowników. Rabin Toaff przyjął propozycję wizyty z ogromnym zaskoczeniem, ale i jako wyzwanie powitania w synagodze pierwszego w historii papieża. Przekonał do tego pomysłu rabinat europejski, zupełnie ignorując opinię rabinatu Izraela, który mógł stwarzać problemy. „Papież Wojtyła doskonale zdawał sobie sprawę, że ob-raz mówi wiele więcej niż słowa. Jego uścisk z rabinem Elio Toaffem stał się ikoną tej wizyty, która sprawiła, że dotychczasowe niedomówienia w dwustronnych relacjach zaczęły zniknąć” - wspominał di Segni.

Przypomina też, że słowa Jana Pawła II, który w rzymskiej synagodze po raz pierwszy w historii nazwał Żydów „starszymi braćmi w wierze”, zasugerował mu charyzmatyczny kard. Roger Etcheberry, wówczas prezydent Papieskiej Komisji Iustitia et Pax oraz Papieskiej Rady Cor Unum.

List i emocje

I te właśnie słowa - „starsi bracia w wierze” - budzą do dziś największe emocje na gruncie teologicznym. W Polsce wywołał je ponownie wydany w 40. rocznicę wizyty list episkopatu.

Czytamy w nim m.in. „W swoim wystąpieniu papież radykalnie sprzeciwił się przedstawianiu Żydów jako »odrzuconych albo przeklętych«. Przez ponad półtora tysiąca lat treści te, obecne w katolickim nauczaniu i błędnej interpretacji Pisma Świętego, kształtowały postawy chrześcijan, przyczyniając się do nienawiści, prześladowań i manifestacji antysemityzmu. Powinniśmy pamiętać, że Kościół katolicki stwierdza dziś jednoznacznie: Żydzi są nadal umiłowani przez Boga, który wezwał ich nieodwołalnym powołaniem. Bóg bowiem, wierny swym obietnicom, nie odwołał Pierwszego Przymierza. Izrael pozostaje nadal narodem wybranym”.

W liście znalazły się sformułowania, które wywołały falę krytyki kościelnych konserwatystów. Choćby takie: „Pamiętając, że zawsze modlimy się za nich w liturgii wielkopiątkowej, prosząc Boga, aby lud, który On jako pierwszy nabył na własność, »wzrastał w wierności Jego przymierzu« i mógł »osiągnąć pełnię odkupienia«. Bo »nie ma żadnych wątpliwości, że Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia, ale jak to może być możliwe bez wyraźnego wyznawania Chrystusa - jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą«”.

Metropolita krakowski kard. Grzegorz Ryś, uważany za inspiratora listu episkopatu, tak wyjaśnia te kwestie w rozmowie z Polską Agencją Prasową: „O tym, że Izrael pozostaje narodem wybranym, mówi nauczanie wszystkich kolejnych papieży od Soboru Watykańskiego II aż do papieża Leona XIV łącznie. A to, że Izrael jest zbawiony, to nie jest żadne wyważenie otwartych drzwi, bo wszyscy ludzie zostali zbawieni przez Jezusa Chrystusa. Ten list nie mówi o tym, że Żydzi są zbawieni jakoś inaczej, obok Jezusa Chrystusa albo bez Niego. Powtarzam: wszyscy ludzie, którzykolwiek żyli, żyją i będą żyć na świecie, są zbawieni w Jezusie Chrystusie. W tym liście nie ma więc żadnych przewrotów doktrynalnych. W moim odczuciu niezrozumienie tego listu wynika z faktu, że to, czego Kościół systematycznie uczy przez ostatnie 60 lat - Kościół katolicki, z papieżami na czele - najwyraźniej wciąż nie dotarło do naszych wiernych. To chyba wymaga jakiejś szerszej analizy, dlaczego tak się dzieje. Potrzebujemy w tej kwestii - i może nie tylko w tej - poważnej i konsekwentnej edukacji religijnej w polskim Kościele”.



Paź królowej występuje w niemal całej Europie, Azji i części Ameryki Północnej

FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Z KWIATKA NA KWIATEK

Zachwycają barwami i różnorodnością. Można je spotkać nawet w ścisłym centrum, choć najlepiej czują się tam, gdzie przyroda jest dzika. Przez kilka lat zielonogórskie motyle obserwowali przyrodnicy – efektem ich pracy jest atlas, którego może pozazdrościć niejedno miasto.

Urszula Baumann

Autorami „Atlasu rozmieszczenia motyli dziennych Zielonej Góry” są przyrodnicy: dr Paweł Czechowski, mgr Alicja Dubicka-Czechowska i mgr Ryszard Orzechowski. W książce podsumowali osiem lat żmudnych badań prowadzonych na terenie całego miasta. Do rąk czytelników oddali opracowanie opisujące wszystkie zaobserwowane motyle wraz ze zdjęciami, mapami ich występowania, opisem siedlisk, listą roślin pokarmowych oraz charakterystyką zagrożeń.

– Cały obszar miasta został podzielony na 94 kwadraty o boku 2 km. W każdym z nich prowadzono obserwacje. Celem naszej pracy było wykrycie

jak największej liczby gatunków i wskazanie miejsc cennych dla motyli rzadkich, chronionych i szybko zmniejszających swoją liczebność – wyjaśnia dr Czechowski. – Opracowanie, oprócz walorów poznawczych, może stanowić cenny materiał porównawczy dla podobnych badań wykonywanych w przyszłości. Trzeba pamiętać, że motyle są niezwykle wrażliwe na wszelkie zmiany w środowisku, co czyni je doskonałymi wskaźnikami jego stanu.

Im bardziej dziko, tym lepiej

Podczas prac terenowych potwierdzono występowanie 68 gatunków motyli dziennych. Dla porównania – w całej Polsce notuje się ich około 160,

a w województwie lubuskim około 90. Warto wiedzieć, że zdecydowanie liczniejszą grupę tworzą motyle nocne, czyli ćmy – w Polsce jest ich ponad 3 tysiące gatunków.

– 68 to dość przeciętny wynik – ocenia dr Czechowski. – Trzeba jednak pamiętać, że Zielona Góra jest specyficznym miastem. Aż 50 proc. jej powierzchni zajmują ubogie bory sosnowe, które nie są atrakcyjne dla motyli. Mimo to można mówić o dużej różnorodności siedlisk. Są tu lasy liściaste i mieszane, fragment Odry, doliny mniejszych rzek, takich jak Śląska Ochla czy Czarna Struga, oraz elementy krajobrazu rolniczego. To czyni miasto miejscem całkiem dobrym dla motyli.

Niestety, nie brakuje w nim zagrożeń dla tych pięknych owadów.

– Głównym problemem jest postępujący zanik siedlisk wskutek rozbudowy. Cenne przyrodniczo tereny często przeznaczone są pod zabudowę mieszkaniową lub przemysłową – mówi dr Czechowski. – Na szczęście zmienia się podejście do koszenia poboczy i trawników – robi się to rzadziej. A każdy pozostawiony skrawek ziemi z dziką roślinnością jest niezwykle cenny dla owadów – dodaje.

Rusałki i bielinki na deptaku

Motyle można spotkać w całej Zielonej Górze. Najwięcej gatunków odnotowano w Lesie Odrzańskim, gdzie stwierdzono

59 z 68 gatunków występujących w mieście. Równie bogata w motyle okazała się Ochla, w której naliczono ich 50.

Cennymi siedliskami są również łąki, ugory, nieużytki, pobocza dróg i torowiska, które dzięki różnorodności dzikich roślin zapewniają tym owadom dogodne warunki do życia.

Jak się okazuje, motyle docierają także do ścisłego centrum miasta.

– Tam zieleń ogranicza się do niewielkich skwerów i rabat kwiatowych. Gościnnie pojawiają się głównie bielinki i rusałki – gatunki zdolne do pokonywania większych odległości. Korzystają z nektaru, ale nie znajdują roślin niezbędnych do rozmnażania – wyjaśnia dr Czechowski.

To właśnie bielinki, a także rusałka pawik, rusałka admirał oraz cytrynek należą do najczęściej spotykanych gatunków w Zielonej Górze. Natomiast tylko raz odnotowano powszechna małowca, choć w naszym kraju występuje on dość licznie. W niewielu miejscach można natknąć się na modraszka semiargusa czy mieniaka tęczowca – gatunki uznawane w Polsce za zagrożone.

Paź żeglarz znalazł przystań

– Co ciekawe, obok gatunków zanikających obserwujemy również takie, które kiedyś były rzadkością, a dziś są już rozpowszechnione – podkreśla dr Czechowski. – Przykładem jest paź żeglarz, efektowny i duży motyl. Spotykamy go w wielu miejscach. Wynika to z tego, że rozszerzył zakres roślin, na których żerują jego gąsienice, o ekspansywną czeremchę amerykańską.

Paź żeglarz, a także paź królowej, są najbardziej okazałymi dziennymi motylami spotykanymi w mieście – rozpiętość ich skrzydeł dochodzi do 8 cm. Dla porównania jedne z najmniejszych, modraszek agestis i modraszek argiades, osiągają zaledwie od 2,3 do 2,9 cm.

Goście z południa

Zieloną Górę odwiedzają także motyle wędrowne, przylatujące z południa Europy. Do najbardziej znanych należą rusałka osetnik i admirał.

– Szczególnie spektakularne są wędrowki rusałki osetnik. Zdarzają się masowe naloty tych motyli. W 2019 roku inwazja objęła niemal całą Europę wraz z Wyspami Brytyjskimi i Skandynawią. Także w Polsce były ich tysiące, jeśli nie miliony. Można je było spotkać dosłownie wszędzie – opowiada dr Czechowski.

Rusałka osetnik potrafi pokonać tysiące kilometrów w ciągu zaledwie kilku tygodni. Do Polski przylatuje w drugiej połowie maja, gdzie się rozmnaża. Nowe pokolenie we wrześniu dociera nad Morze Śródziemne, gdzie przystępuje do rozrodu, aby powtórzyć cały cykl migracyjny.

Podobną trasę pokonuje rusałka admirał. W tym przypadku jednak część osobników rezygnuje z wędrowki i pozostaje na zimę w Polsce.

Nie patrz w kalendarz

Wraz z pierwszym mocniejszym słońcem, gdy po zimie nadchodzą ciepłe dni, pojawia się cytrynek. To jeden z pierwszych motyli, które można zobaczyć wiosną. Zdarza się, że wylatuje z ukrycia już w lutym, gdy tylko powietrze nagrzeje się do kilkunastu stopni Celsjusza.

Jest wyjątkowo odpornym gatunkiem. Zimą spędza jako dorosły motyl, ukrywając się w ściółce leśnej, w pęknięciach

Ciąg dalszy na str. 12

Kontynuacja ze str. 11

kory, między igłami drzew czy pod opadłymi liśćmi. Dzięki temu, w przeciwieństwie do większości gatunków zimujących w postaci jaj, gąsienic lub poczwarek, już od wczesnej wiosny jest gotowy do zalotów.

Podobną strategię przyjmują niektóre rusałki, na przykład rusałka pawik, która zimuje w dorosłej postaci w piwnicach czy na strychach. Ją także pierwsze ciepłe dni wybudzają z zimowego spoczynku.

Kolejne gatunki pojawiają się w następnych tygodniach - najpierw zimujące w postaci poczwarek, a następnie te, które przetrwały jako gąsienice i jaja.

Jak podkreśla dr Czechowski, motyle niezimujące w postaci dorosłej można obserwować od pierwszej połowy kwietnia. Wśród nich są m.in. modraszek wieszczek, czerwonończyk żarek, bielinek rzepnik czy bielinek bytomkowiec. Najlepszym okresem do obserwacji motyli jest przełom czerwca i lipca - wtedy występuje największa ich różnorodność.

Jednak nie wszystkie gatunki zostają z nami na lato. Zieleńczyk ostrężyniec, niewielki motyl o intensywnie zielonej spodniej stronie skrzydeł, występuje od kwietnia do pierwszych dni czerwca. Innym typowo wiosennym motylem, którego próżno szukać w późniejszych miesiącach, jest zorzynek rzeżuchowiec. Trudno go pomylić z innymi motylami, ponieważ samiec ma na przednich skrzydłach charakterystyczną pomarańczową plamę, przypominającą wschodzące słońce.

Ile naprawdę żyją motyle?

Stosunkowo krótko - większość ma zaledwie od dwóch do czterech tygodni na przedłużenie gatunku. Długość ich życia zależy jednak od przyjętej strategii przetrwania. Jednym z najkrócej żyjących gatunków jest mały, niepozorny powszelatek brunatek, który jako imago (postać dorosła) może przetrwać zaledwie kilka dni. W sezonie pojawiają się jednak dwa jego pokolenia - wiosenne i letnie. Nie dłużej niż 2-5 dni trwa życie modraszka nausitosa - zagrożonego gatunku o ciekawej biologii rozrodu.

Miejskim rekordzistą jest natomiast cytrynek. Dzięki temu, że zimą przechodzi okres spoczynku, może przetrwać nawet 11 miesięcy. To jeden



FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Powszelatek malwowiec jest dość pospolitym gatunkiem, jednak w Zielonej Górze został zaobserwowany przez autorów atlasu tylko raz

z najdłużej żyjących przedstawicieli tej grupy owadów w Europie. Bywa obserwowany nawet pod koniec października.

Od kwietnia do drugiej dekady października w niemal całym mieście można wypatrzeć bielinka rzepnika. W tym czasie pojawiają się dwa, a nawet trzy pokolenia, przy czym pojedyncze osobniki żyją krótko - od dwóch do trzech tygodni.

W podobnym okresie pojawiają się również dwa lub trzy pokolenia jednego z najbardziej rozpowszechnionych gatunków w mieście - czerwonończyka żarka.

Warto pamiętać, że obserwowany przez nas motyl to tylko jeden z etapów rozwoju. Cały cykl - od jaja, przez gąsienicę i poczwarkę, aż po dorosłą formę - może trwać znacznie dłużej, nawet kilka miesięcy.

Fałszywe oczy i kamuflaż

- Motyle to bardzo delikatne organizmy. Gwałtowne zmiany pogody, majowe czy czerwcowe ochłodzenia, silny wiatr oraz intensywne deszcze stanowią dla nich duże zagrożenie - podkreśla dr Czechowski. - Oprócz tego czyhają na nie ptaki, które zjadają także gąsienice i jaja. Śmiertelną pułapką są również pajęczki sieci.

Motyle stosują różne strategie, aby zmylić wroga. Fałszywe „oczy” na skrzydłach rusałki pawika mają odstraszać ptaki, a jaskrawe kolory, jak u czerwonończyka dukackiego, sygnalizują, że motyl może być niejadalny. Są też gatunki, które dla odwrócenia uwagi starają się jak najlepiej stopić z otoczeniem.

- Zielonogórskim mistrzem kamuflażu jest żyjący w borach skalnik semele - wskazuje dr Czechowski. - Po złożeniu

nice rusałek - pawika, pokrzywnika czy ceika - bronią się kolcami.

- Ptaki niechętnie zjadają duże, włochate czy kolczaste gąsienice, zdecydowanie częściej wybierają drobniejsze larwy motyli nocnych - wyjaśnia dr Czechowski. - Wyjątkiem jest kukułka, która nie pogardzi dorodną gąsienicą.

Oszustwo na mrówkę

Bardzo ciekawy sposób na ochronę gąsienic ma modraszek nausitosa. Samica składa jaja na kwiatostanach krwiciągu lekarskiego i to tam rozwijają się młode gąsienice. Kiedy tylko nieco podrosną, ich dalszy los przestaje zależeć od rośliny, a zaczyna - od wścieklic - agresywnych, czerwonych mrówek.

Gąsienice spadają na ziemię i zaczynają swoją grę. Do złudzenia przypominają larwy mrówek, a dodatkowo wydzielają substancje chemiczne, które „oszukują” robotnice. Mrówki uznają je za własne potomstwo i przenoszą do mrowiska.

Tam gąsienice spędzają nawet 10 miesięcy. Są bezpieczne, mają stały dostęp do pokarmu - żywią się larwami mrówek. Zdarza się nawet, że robotnice karmią intruzów.

W mrowisku przechodzą przeobrażenie i opuszczają je jako dorosłe motyle. Na wolności mają niewiele czasu - żyją najwyżej kilka dni. W tym czasie piją nektar wyłącznie

z krwiciągu i muszą zdążyć się rozmnożyć.

To uzależnienie od jednej rośliny żywicielskiej i konkretnego gatunku mrówek w obecnych czasach działa na ich niekorzyść.

- Modraszek nausitosa to gatunek zagrożony, objęty ochroną. Znika wraz z zanikiem łąk oraz przekształcaniem ekosystemów - wyjaśnia dr Czechowski. - Jego specyficzne wymagania sprawiają, że jest coraz rzadziej spotykany. Na dodatek to gatunek południowy - w województwie lubuskim sięga do doliny Odry, na północy regionu już go nie znajdziemy.

Oset wygrywa

Większość motyli czerpie pokarm z roślin. Wspomniany wcześniej modraszek jest ściśle związany tylko z jedną z nich. Są jednak gatunki znacznie mniej wybredne. Autorzy atlasu zaobserwowali bielinka bytomkowca, strzępotka ruczajnika, latolistka cytrynka czy przestrojnika jurtinę na około 50 gatunkach roślin. To prawdziwi rekordziści pod względem różnorodności „menu”.

Podobnie jest z samymi roślinami. Niektóre przyciągają pojedyncze gatunki, inne stają się prawdziwymi „stołówkami”, do których zlatuje wiele różnych motyli.

Największym powodzeniem cieszy się ostrożeń polny (po-

tocznie zwany ostem) - odnotowano na nim aż 59 gatunków.

Popularnymi roślinami są też: jeżyń, jasieniec piaskowy, sadziec konopiasty, pylenieć pospolity, świerzbnica polna, koniczyna łąkowa, żmijowiec zwyczajny i chaber nadreński, które przyciągają od 22 do 35 gatunków.

Łącznie autorzy doliczyli się w Zielonej Górze 141 roślin wabiących dorosłe motyle.

Nie tylko rośliny

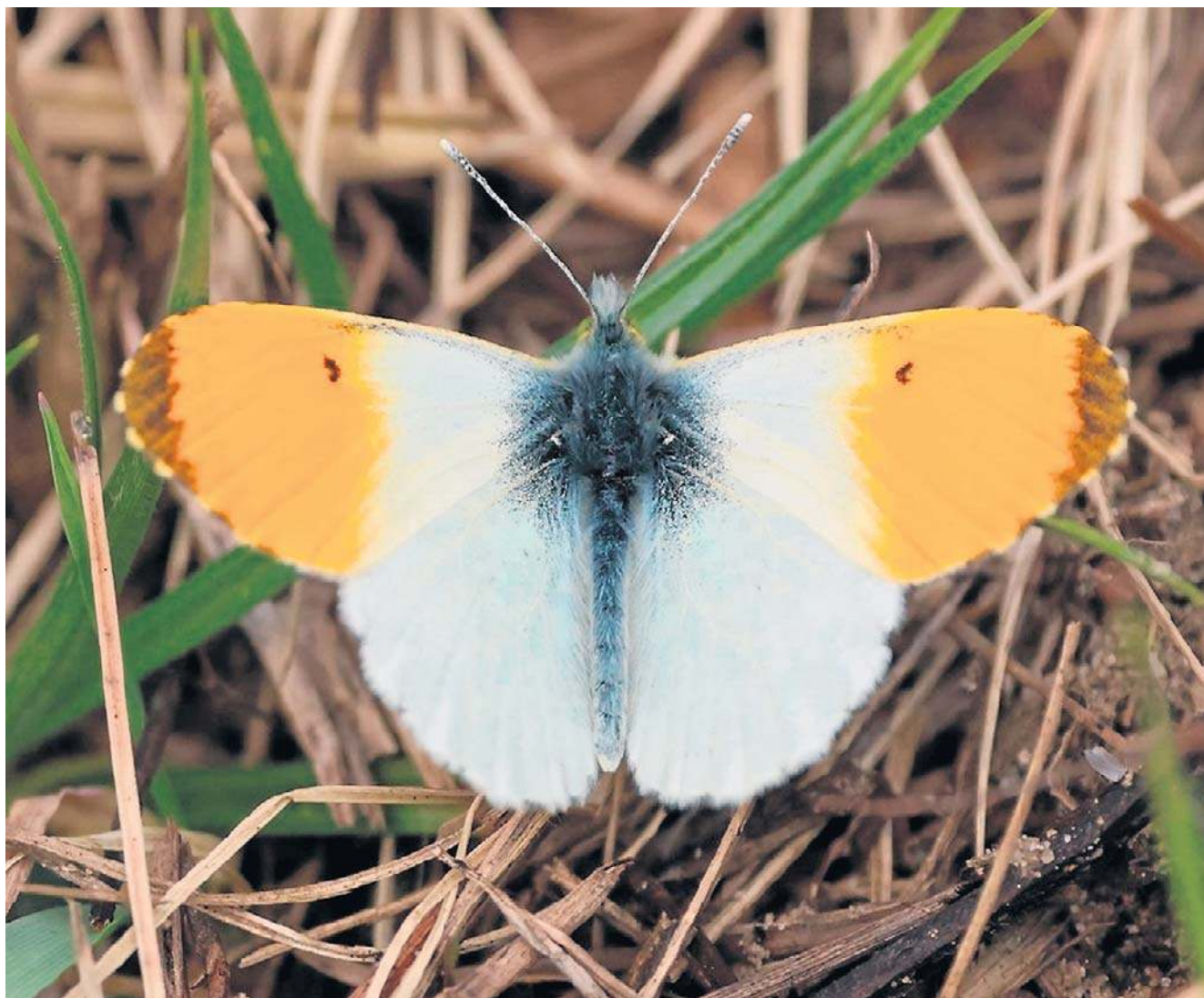
Nie wszystkie motyle potrzebują nektaru i kwiatów.

- Są gatunki, które zerują na mokrej ziemi, gnijących owocach, padlinie albo na odchodach zwierząt. To mieniaki - strużnik i tęczowiec - wymienia dr Czechowski. - W Zielonej Górze występują w niewielu miejscach, głównie w wilgotnych lasach mieszanych i liściastych.

W gorące dni potrafią przysiąść na dłoniach, ramionach czy nawet na głowie i za pomocą ssawki spijać pot wraz z zawartymi w nim mikroelementami.

W poszukiwaniu mikroelementów zlatują się także do kałuż. To zjawisko, zwane „puddlingiem”, można obserwować u wielu gatunków, szczególnie latem.

- Czasami przy jednej kałuży zbierają się dziesiątki bielinków albo modraszków - mówi dr Czechowski. - Wygląda to niesamowicie.



FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Samca zorzyńka rzeżuchowca trudno pomylić z innymi motylami - ma na przednich skrzydłach charakterystyczną pomarańczową plamę

MOTYLE TO BARDZO DELIKATNE ORGANIZMY. GWALTOWNE ZMIANY POGODY STANOWIĄ DLA NICH DUŻE ZAGROŻENIE. OPRÓCZ TEGO CZYHAJĄ NA NIE PTAKI I PAJĄKI

Zaproś motyle do ogrodu

Nawet niewielki kawałek ziemi możemy zamienić w enklawę przyjazną motylom i innym owadom.

- Im większa różnorodność roślin kwitnących od wczesnej wiosny do późnej jesieni, tym lepiej. Warto też zostawić w kącie ogrodu, za altaną czy przy płocie dziko rosnącą roślinność - radzi dr Czechowski. - Podam przykład mojego ogrodu, gdzie połowa jest koszona tylko raz w roku, późną jesienią. W ciągu 10 lat zaobserwowałem tam 48 gatunków motyli spośród 68 występujących na terenie miasta. To pokazuje, że nawet niewielkie siedlisko może mieć dużą wartość dla owadów.

Zamiast walczyć z pokrzywą, ostem czy koniczyną, warto je zostawić, a potem cieszyć się odwiedzinami różnorodnych gości.

Można pomóc naukowcom

Motyle to wdzięczny obiekt do fotografowania. Wiele osób sięga po smartfon, gdy tylko zauważy w ogrodzie albo na balkonie kolorowego gościa. Dr Czechowski zachęca, by tymi zdjęciami dzielić się w aplikacji iNaturalist. To popularna na całym świecie platforma społecznościowa służąca do rozpoznawania i dokumentowania występowania roślin, zwierząt

oraz grzybów. Zgromadzone tam dane pomagają naukowcom badać różnorodność biologiczną, śledzić losy poszczególnych gatunków i obserwować zmiany zachodzące w przyrodzie. Projekt wspierają California Academy of Sciences oraz National Geographic.

Podobną funkcję pełni aplikacja eBird, w której można zamieszczać zdjęcia i informacje o obserwowanych ptakach.

- Naukowcy z Uniwersytetu Zielonogórskiego korzystają z tych platform przy różnych projektach i publikacjach. Każdy może mieć swój wkład w ich powstanie - podkreśla dr Czechowski. - Tzw. nauka obywatelska może zrewolucjonizować badania przyrody i zmian w niej zachodzących. Im więcej osób się zaangażuje, tym pełniejszy obraz środowiska można uzyskać.

Atlas znajdziesz w internecie

„Atlas rozmieszczenia motyli dziennych Zielonej Góry” można pobrać ze strony: https://www.researchgate.net/publication/400025561_Atlas_rozmieszczenia_motyli_dziennych_Zielonej_Gory

Osoby zainteresowane przyrodą i motylami, które chciałyby otrzymać drukowaną wersję książki, proszone są o kontakt mailowy pod adresem: paczechow@gmail.com



FOT. URSZULA BAUMANN

Paź żeglarz to jeden z największych i najbardziej efektownych motyli spotykanych w mieście



FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Czerwończyk dukacik to jeden z najpiękniejszych polskich motyli. Jaskrawa barwa to strategia przetrwania – sugeruje: „jestem niejadalny”.



FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Modraszek argiades to jeden z najmniejszych motyli występujących w Zielonej Górze. Rozpiętość jego skrzydeł nie przekracza 3 cm.



FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Zieleńczyk ostrężyniec to niewielki, typowo wiosenny motyl. Występuje od kwietnia do pierwszych dni czerwca



FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Modraszek nausitous jest objęty ochroną. Spotkać go można w miejscach, gdzie występują krwisiać lekarski oraz mrowki wścieklice



FOT. PAWEŁ CZECHOWSKI

Rusałka osetnik to prawdziwy wędrowiec – potrafi pokonywać tysiące kilometrów

ZBIGNIEW BOGUCKI. NOWA TWARZ PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

Stosunkowo młody, ale już doświadczony, merytoryczny, dobrze przygotowany do dyskusji. A przy tym ambitny i zdeterminowany. To on jest twarzą dużego pałacu. To on stoi za wieloma decyzjami prezydenta Nawrockiego. Zbigniew Bogucki wszedł z rozmachem do wielkiej polityki i robi wszystko, aby pozostać w niej na dłużej

Dorota Kowalska

Kiedyś o Marcinie Ma-stalerku, szefie Kancelarii Prezydenta i jednym z najbliższych współpracowników Andrzeja Dudy, mówiono: wiceprezydent. Dzisiaj to samo można powiedzieć o Zbigniewie Boguckim. Merytoryczny, twardy, podejmujący dyskusję - to on objaśnia decyzje Karola Nawrockiego i jak mówią niektórzy, jest godnym przeciwnikiem dla Donalda Tuska.

Bogucki, podobnie zresztą jak obecny prezydent, zrobił w ostatnich miesiącach oszołamiącą karierę. To jego nazwisko padało w kontekście kandydata PiS-u w wyborach prezydenckich i potem w kontekście przyszłego premiera, który miałby pokierować rządem, kiedy wybory wygra PiS, albo zdoła stworzyć parlamentarną większość. Karol Nawrocki nie zgodził się jednak „oddać” swojego współpracownika i prezes musiał postawić na Przemysław Czarnka.

Tak czy inaczej, Zbigniew Bogucki to dzisiaj polityk pierwszej ligi, jeden z najważniejszych graczy na polskiej scenie politycznej.

Kiedy okazało się, że to on pokieruje Kancelarią Prezydenta, od razu zadeklarował, że nie złoży legitymacji partyjnej Prawa i Sprawiedliwości.

- Politykiem PiS jestem i pozostać. Będę służył panu prezydentowi, będę służył Rzeczypospolitej w inny już sposób, nie jako poseł, tylko jako szef kancelarii pana prezydenta Karola Nawrockiego. Tutaj nie ma żadnej sprzeczności - mówił Bogucki w „Sygnałach dnia” w radiowej Jedynce.

Podkreślił, że Karol Nawrocki nigdy nie należał do żadnej partii i w trakcie kampanii wyborczej był wspieranym

przez PiS, poparcia udzieliły mu jednak również inne środowiska i grupy społeczne, ale, owszem, cele prezydenta i największej partii opozycyjnej są zbieżne.

- My idziemy, tak rozumiem zamiary i plany pana prezydenta, po to, żeby czynić w Polsce władzę lepszą, a my dzisiaj mamy władzę, którą można nazwać patowładzą - powiedział Bogucki.

Potem było o tym, że współpraca rządu i prezydenta będzie bardzo trudna, ale możliwa.

- Pan prezydent zresztą już o tym kilkukrotnie mówił: nie jesteśmy do tej współpracy, co do zasady, nastawieni negatywnie - podkreślił. - Prezydent, jeszcze raz podkreślę, ma mandat z woli narodu. Dobrze takie rzeczy uzgadniać, ale jeżeli nie będzie woli po drugiej stronie, to myślę, że pan prezydent sobie z tym poradzi - podsumował Bogucki.

Dzisiaj wiemy, że ta współpraca wygląda źle, niektórzy mówią nawet o wojnie totalnej między dużym i małym pałacem. Stoi za nią także Zbigniew Bogucki. Szeroko mówiło się i pisało na przykład o tym, że to właśnie Zbigniew Bogucki napisał prezydentowi biedy, sugerując mu zawetowanie nowelizacji Kodeksu postępowania karnego.

Prezydent Nawrocki mocno wówczas podpadł kibicom. I nie byłoby w tym nic dziwnego,

wiadomo, że kibice mocno recenzują władzę, gdyby nie fakt, że Karol Nawrocki jest ze środowiskiem kibicowskim mocno związany. Nigdy nie ukrywał, że kibicuje Lechii Gdańsk, przyznawał się nawet, że brał udział w kibicowskich ustawkach i doskonale zna ludzi z kibicowskich kręgów.

Więc to, co wydarzyło się podczas kolejnej kolejki ekstraklasy, musiało prezydenta zboleć. I tak podczas spotkania Piasta Gliwice z Radomiakiem Radom w sektorze Piasta zawisł transparent wymierzony w Karola Nawrockiego. Zdjęcie błyskawicznie obiegło sieć.

„Karol Nawrocki – niekończące się areszty, nielegalne dowody, 60-tką (chodzi o art. 60 Kodeksu karnego) podajesz rękę, a krzywdzącym ludzi organom przyznajesz swobody. Nie jesteś jednym z nas!” – można było przeczytać na banerze.

Ale nie tylko kibice Piasta uderzyli w prezydenta.

„K. Nawrocki - po cichu ustawę wetujesz, wieloletnie areszty bez dowodów akceptujesz”, „Prezydencie, zapomnieliś, dzięki kogo głosom wygrałeś, jak Judasz nasze ideały dla prezesa zaprzedałeś! K.P.K.”, „Lech Poznań pamięta prokuratorские zapędy prezydenta - KPK 20.02.2026 - Nie jesteś jednym z nas” - to tylko niektóre z haseł, które zostały wywieszone przez fanów Motoru

Lublin, Cracovii, ŁKS-u Łódź, Lecha Poznań.

Nawet fani Lechii, klubu, któremu kibicuje Nawrocki, dali wyraz swojemu niezadowolaniu. Podczas meczu z Pogonią Szczecin wywiesili baner podobny do tego kibiców Piasta: „K. Nawrocki - niekończące się areszty, nielegalne dowody, 60-tkom podajesz rękę, a krzywdzącym ludzi organom przyznajesz swobody”.

Ochłodzenie relacji głowa państwa - trybuna może zaskakiwać, bo Karol Nawrocki do tej pory na stadionach przyjmowany był przynajmniej neutralnie.

Nawrocki zawetował jednak nowelizację Kodeksu postępowania karnego, która ogranicza wszechwładzę prokuratury i przez to daje większe szanse na uratowanie skóry zamieszany w przestępstwa kibolom. Rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz próbował jakoś tłumaczyć decyzję Karola Nawrockiego.

„Decyzja została podjęta z troski o bezpieczeństwo obywateli i skuteczność państwa w walce z najgroźniejszą przestępczością. Przyjęcie pojedynczych rozwiązań korzystnych nie jest wystarczającą przesłanką do podpisania ustawy. Nowe przepisy mogłyby bowiem utrudnić prowadzenie postępowań karnych, co byłoby sprzeczne z interesem obywateli i obowiązkiem państwa do zapewnienia im bezpieczeństwa” - pisał w serwisie X.

Najwidoczniej jednak tłumaczenia Leśkiewicza nie przekonali kibiców. W Kancelarii Prezydenta zapanował popłoch, dlatego ludzie Nawrockiego w panice przekonywali, że weto było konieczne, bo w kodeksie rząd ukrył przepisy chroniące pedofili.

„Po transparentach widać, że Min. Bogucki wsadził Prezydenta na solidną minę. Blokując reformę KPK, stanęli w obronie patologii w tymczasowych aresztach czy korzystania z nielegalnych dowodów. A to tylko wycinek reformy. Coś czuję, że o tym wiece jeszcze wiele razy usłyszymy” - napisał wówczas w mediach społecznościowych Arkadiusz Mucha, polityk koalicji rządzącej.

Wygląda na to, że w tym wypadku Zbigniew Bogucki nie wziął pod uwagę reakcji kibiców, bo wiadomo, że to on doradza Karolowi Nawrockiemu i wiele decyzji prezydenta zapada po jego sugestjach. Może stąd Bogucki tak przekonująco je później tłumaczy i uzasadnia. Chociaż, jak zauważają dziennikarze, jego ostatnie wyjaśnienia, dlaczego prezydent przyjął ślubowanie jedynie od dwóch sędziów TK, a nie od wszystkich sześciu, przekonujące nie były. Pojawiły się nawet głosy, że prezydent, w domyśle pałac, strzelił sobie swoją decyzją w stopę.

Bogucki trzymał jednak fason. To polityk nowej generacji: stosunkowo młody (ma 46 lat), wykształcony, rzutki, trochę inna twarz Prawa i Sprawiedliwości.

Ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego. Zrobił aplikację prokuratorską i w latach 2009-2012 był prokuratorem. Pracował także w zachodniopomorskim oddziale Narodowego Funduszu Zdrowia. W 2012 r. założył własną kancelarię adwokacką. Zasiadał w zarządzie Szczecińskiego Stowarzyszenia Dialogu o Prawie, był przewodniczącym rady nadzorczej Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych.

Z czasem zaangażował się też w działalność polityczną w ramach Prawa i Sprawiedliwości. Był członkiem społecznego komitetu budowy pomnika Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie.

W 2014 roku bez powodzenia kandydował do Rady Miasta Szczecin, a w 2015 i 2019 do Sejmu.

W 2018 roku wybrano go radnym sejmiku zachodniopomorskiego. W tym czasie wydał się dość radykalny w swoich poglądach. Kiedy po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji w całej Polsce wybuchły tak zwane czarne protesty, Bogucki pojawiał się na nich z telefonem i prowokował manifestujących. Interweniowała nawet policja. Protestujące wówczas kobiety nazwał na portalu X „dnem”.

W 2020 roku został powołany na stanowisko wojewody zachodniopomorskiego - zastąpił Tomasza Hinca, który został przezesem Grupy Azoty, spółki Skarbu Państwa.

- Dziękuję panu premierowi za zaufanie, którym zostałem obdarzony. To dla mnie honor i godność - powiedział Zbigniew Bogucki, odbierając nominację na wojewodę zachodniopomorskiego.

Pokazał też zupełnie inną twarz: polityka zaangażowanego, potrafiącego rozmawiać z każdym: pojawiał się na dożynkach, wśród bezdomnych, na stadionie. Do rany przyłóż. Ale też coraz częściej zaczęło się o nim mówić jako o przyszłym kandydacie Prawa i Sprawiedliwości w wyborach na prezydenta Szczecina, a może i na prezydenta Polski.

W tym samym czasie w mediach zaczęły się pojawiać informacje o żonie Boguckiego: Julia Dziedzic-Bogucka jest prokura-

**MÓWIŁO SIĘ O TYM, ŻE TO
BOGUCKI NAPYTAŁ PREZYDENTA
O BIEDY, SUGERUJĄC MU ZAWETOWANIE
NOWELIZACJI KODEKSU
POSTĘPOWANIA KARNEGO**



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Ci, którzy Boguckiego znają, mówią, że to sprawny gracz i gra głównie na siebie. Przez lata próbował wejść do wielkiej polityki i kiedy wreszcie mu się to udało, nie odpuścił

to. Jeszcze w 2017 roku pracowała w Prokuraturze Rejonowej Szczecin-Zachód, ale w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości awansowała o dwa szczeble -delegowano ją do Prokuratury Krajowej, do Zachodniopomorskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Prześiępczości Organizowanej i Korupcji.

Stowarzyszenie prokuratorów „Lex Super Omnia” pisało o Dziedzic-Boguckiej w raporcie „Królowie życia w prokuraturze »dobrej zmiany«”, który, przynajmniej tak twierdzą autorzy dokumentu, opisywał prokuratorские kariery w czasach, kiedy resortem sprawiedliwości kierował Zbigniew Ziobro.

Jak ustalił też Onet, Dziedzic-Bogucka badała jeden z wątków tzw. afery melioracyjnej dotyczący bezpośrednio marszałka województwa za-

chodniopomorskiego Olgierda Geblewicza. Geblewicz jest politykiem Koalicji Obywatelskiej; Zbigniew Bogucki, mąż pani prokurator, startował w wyborach samorządowych do sejmiku z tego samego okręgu, co marszałek.

Dziennikarze Onetu spytali wtedy prokurator, czy nie zachodzi w tym przypadku konflikt interesów. Prokuratura przekonywała, że Julita Dziedzic-Bogucka wprowadzie przez kilka miesięcy nadzorowała to śledztwo, ale w związku z wyborczymi planami męża już w maju 2018 roku złożyła rezygnację.

Portal pisał jednak, że kontrowersyjnych spraw było więcej. Szczecińska prokurator brała na przykład udział w śledztwie dotyczącym Stanisława Gawłowskiego, byłego wiceministra środowiska i sekretarza generalnego PO, podej-

zanego o korupcję. CBA i prokuratura weszły do warszawskiego mieszkania polityka.

Pod listą przedmiotów widnieje dyspozycja: „Oddzielnie opisać rzeczy wydane dobrowolnie, oddzielnie rzeczy ujawnione w toku przeszukiwania; w przypadku znalezienia poszukiwanych rzeczy w miejscu wskazującym na celowe ich ukrycie opisać szczegółowo to miejsce”.

Na dole pisma znajduje się podpis i pieczęć: „Prokurator Prokuratury Rejonowej del. do Prokuratury Krajowej Julita Dziedzic-Bogucka”. Więc pani prokurator brała udział w przeszukiwaniu.

Zbigniew Bogucki, wówczas nowy wojewoda zachodniopomorski, przekonywał Onet, że nic nie wie o sprawach prowadzonych przez żonę.

W wyborach w 2023 roku Bogucki uzyskał mandat posła

X kadencji i przestał pełnić funkcję wojewody.

„Zanim zostałem posłem, przez 3 lata byłem wojewodą. Sprawowałem ten zaszczytny urząd w bardzo trudnym czasie, kiedy przyszło się zmagać z pandemią, organizować szczepienia, usuwać zniszczenia po wichurach, pomagać uchodźcom wojennym, ratować Odrę, wreszcie koordynować dostawy węgla. W tym czasie wielkiej odpowiedzialności musiałem podjąć szereg bardzo trudnych decyzji, aby nasza codzienność była bezpieczna. Nie byłoby to możliwe bez kierowanych przeze mnie służb, administracji rządowej oraz wsparcia wojska, samorządów, wysiłku pracowników ochrony zdrowia, a także zaangażowania tysięcy mieszkańców naszego województwa. Wszystkim Państwu za to z serca dziękuję” - pisze na swojej stronie internetowej Bogucki.

Był bardzo aktywny, i to nie tylko przy Wiejskiej. Jako jeden z pierwszych pojawił się w budynku TVP z Jarosławem Kaczyńskim i innymi politykami, którzy chcieli „bronić wolności mediów”, kiedy sygnał TVP Info został nagle przerwany. W Sejmie był członkiem komisji śledczej ds. afery wizowej, zasiadł też w Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka.

W lutym 2024 roku był kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta Szczecina w wyborach samorządowych, przegrał jednak z Piotrem Krzystkiem, który starał się o reelekcję. W październiku tego samego roku wszedł w skład komitetu wykonawczego Prawa i Sprawiedliwości.

W dniu, w którym Karol Nawrocki ogłosił swoją decyzję o tym, że szefem jego kancelarii będzie Zbigniew Bogucki, „Gazeta Wyborcza” pisała, że Prokuratura Okręgowa w Koninie sprawdza wydatki realizowane przez szczeciński urząd wojewódzki w czasach, gdy wojewodą zachodniopomorskim był właśnie Bogucki. W okresie od grudnia 2021 roku do grudnia 2022 r. Urząd Wojewódzki w Szczecinie zakupił ponad 6 tys. gadżetów z nazwiskiem Boguckiego. Koszt to 141 tysięcy złotych - środki pochodziły z funduszu celowego przeciwdziałania COVID-19. Zbigniew Bogucki stwierdził, że nie złamał prawa.

Kiedy jednak Bogucki stanął na pierwszej linii frontu, media przeszledziły stan majątkowy państwa Boguckich. Polityk może pochwalić się sporymi oszczędnościami: zgromadził 235 488,19 zł oraz 36,52 euro. Poseł PiS wykazał w oświadczeniu majątkowym cztery mieszkania, wszystkie objęte małżeńską wspólnością majątkową. Najdroższe warte jest około 865 260 zł, kolejne ok.

NOTOWANIA BOGUCKIEGO W PIS STALE ROSNĄ. POLITYK MOCNO UDERZA W RZĄD, CHOĆBY W DEBATACH ZDROWOTNYCH CZY DYSKUSJI O KRYPTOWALUTACH

633 820 zł. Trzecie mieszkanie o całkowitej powierzchni 34,93 m to jakieś 372 600 zł, a czwarte, o powierzchni 60,70 mkw., warte jest około 485 600.

W ramach prawa do wyłącznego korzystania z trzech miejsc postojowych Bogucki razem z żoną posiada też wielostanowiskowy podziemny garaż o powierzchni 85,24 mkw. Jego wartość wynosi około 150 tys. zł.

W 2024 roku szef Kancelarii Prezydenta uzyskał dochód w wysokości 45 466,15 zł (z tytułu diety parlamentarnej) oraz 150 064,58 zł (z tytułu uposażenia poselskiego). Ma też przychody z wynajmu miejsc postojowych w garażu wielostanowiskowym i wynajmu mieszkań. Do jego dyspozycji jest Peugeot 207 o wartości około 10 500 zł oraz Kia Optima warta około 56 tys. zł. Ponadto na majątek polityka składają się monety okolicznościowe i kolekcjonerskie. Wszystkie te przedmioty są objęte małżeńską wspólnością majątkową.

Zostawiając jednak majątek, a wracając do polityki. Notowania Boguckiego w Prawie i Sprawiedliwości stale rosną. Polityk mocno uderza w rząd, choćby w debatach zdrowotnych czy dyskusji o kryptowalutach.

W tej drugiej sprawie stwierdził z mównicy sejmowej, że premier „fałszywie postawił” temat głosowania nad ustawą dotyczącą kryptowalut i nie dotyczy ono tego, czy „jesteś za rosyjską mafią, czy jesteś za tą ustawą”.

- Temat głosowania jest bardzo prosty: jak przykryć nieudolność rządu, dramatyczną sytuację w ochronie zdrowia, klęskę wczorajszego szczytu medycznego, gigantyczny deficyt finansów publicznych, brak działania służb - tłumaczył szef Kancelarii Prezydenta.

Potem było o tym, że premier „leje krokodyły łzy, straszy Polaków, mówi o rosyjskiej mafii”.

- Pan premier chodzi na grzyby w garniturze. Trzeba ściągnąć, panie premierze, ten garnitur, podwinąć rękawy i włączyć się do roboty - apelował Bogucki.

Dobrze brzmiało to w telewizji. Tyle tylko, że przed ostatnim posiedzeniem rządu premier pociągnął temat kryptowalut i weta prezydenta.

- Mam informacje, które rodzą bardzo dramatyczne pytania: dlaczego PiS, Konfederacja i prezydent blokują rozwiązania dotyczące rynku kryptowalut. Być może niestety znale-

śmy rozwiązanie, dlaczego to robią - mówił Tusk, przekazując informację, którą otrzymał od Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Wynika z niej, że na przełomie października i listopada 2025 roku, miesiąc przed głosowaniem weta prezydenta w sprawie regulacji rynku kryptowalut, Przemysław Kral, prezes zarządu giełdy kryptowalutowej Zondacrypto, dokonał wpłat na rzecz dwóch fundacji: 450 tys. zł wpłacono Fundacji Instytut Polski Suwrennej Zbigniewa Ziobro. Część z tych środków przeznaczono na obrońców Dariusza Mateckiego i księdza Michała Olszewskiego. Inna spółka związana z Zondacrypto i panem Kralem, Expofer Servis House, zrealizowała transakcję na rzecz fundacji posła Przemysława Wiplera. Zondacrypto była także głównym sponsorem imprezy prawniczych działaczy CPAC.

- W trakcie kampanii prezydenckiej najważniejszymi uczestnikami tej imprezy byli prezydenci Duda i Nawrocki - podkreślił Donald Tusk, zaznaczając, że jest to „tylko część materiału”.

Ale tego być może Zbigniew Bogucki nie wiedział. Dostało się też rządowi za kryzys służby zdrowia. Szef Kancelarii Prezydenta mówił o „chaosie”, „dramacie” i „głębokiej zapaści”, jakiej nie było od lat, a może nigdy. Tak, Bogucki jest na fali. Dużo go w mediach.

- Pracowity, świetny mówca, zawsze merytorycznie przygotowany do dyskusji, lubiany w PiS, ceniony w Konfederacji - mówi nam jeden z polityków Prawa i Sprawiedliwości. - To polityk nowej generacji: otwarty, zdecydowany, doświadczony. Potrafi nawiązać kontakt z wyborcami - dodaje inny.

Ci, którzy Boguckiego znają, mówią, że to sprawny gracz i gra głównie na siebie. Przez lata próbował wejść do wielkiej polityki i kiedy wreszcie mu się to udało, nie odpuścił.

Inni w jego błyskotliwej karierze doszukują się ręki Joachima Brudzińskiego. Obaj - Zbigniew Bogucki i Paweł Szefermaker, szef Gabinetu Prezydenta RP - są uznawani za jego ludzi. Ile w tym prawdy, nie wiadomo. Wiadomo, że Zbigniew Bogucki ma dzisiaj swoje pięć minut i skrzętnie je wykorzystuje. Postara się, żeby Kancelaria Prezydenta była odskocznią do jeszcze większej kariery.

B2B, CZYLI BĘDĄC SAMEMU SOBIE SZEFE

Czy wszyscy zatrudnieni na B2B są z tego powodu szczęśliwi? Nie. Zdarzają się pracodawcy, którzy wolą, żeby składki ZUS i podatki płacili ich pracownicy, więc stawiają sprawę jasno: założysz firmę, dostaniesz robotę. Co wcale nie znaczy, że nie brakuje ludzi, którzy chcą być szefami dla samych siebie. To zazwyczaj specjaliści w swoich dziedzinach, dobrze czujący się na rynku pracy i chcący świadczyć usługi dla wielu klientów

Dorota Kowalska

Aнна, od roku na emeryturze, pracoholiczka, więc wciąż czynna zawodowo. Zresztą, jak mówi, trochę nie ma wyjścia, bo z emerytury na pewno się nie utrzyma. Na samozatrudnienie przeszła ponad 20 lat temu.

- Pracuję w szeroko pojętej branży medialnej. Byłam w dużej firmie, to był rok 2005, szefostwo zaproponowało mi przejście na firmę - opowiada.

Dobrze zarabiała, miesięcznie - 17 tys. złotych brutto, jak szybko obliczyła, gdyby przeszła na firmę w kieszeni zostawałoby jej około 3 tys. złotych więcej. Zgodziła się, choć doskonale wiedziała, że w przyszłości za to zapłaci - wiadomo, na ZUS odprowadzała stawkę minimalną, więc siłą rzeczy nie mogła liczyć na wysoką emeryturę.

- Ale wtedy było mi to na rękę: spłacałam kredyt na dom, kredyt na samochód. Potrzebne mi były pieniądze. A będąc na firmie mogłam też pewne rzeczy odliczać od dochodu - tłumaczy.

Początek nowego wieku to były czasy, kiedy firmy broniły się przed „etatowcami”. Wielu osobom proponowano założenie działalności gospodarczej i tak zwane przejście na firmę. Zarabiał na tym i pracownik, i pracodawca. Ten pierwszy zazwyczaj w krótkiej perspektywie. Ona, prowadząc własną działalność gospodarczą, była pracownikiem bardzo pożądanym. Zmieniała pracę jeszcze kilkakrotnie. W pewnym momencie chciała jednak zostać zatrudniona na etat, ale pracodawcy przekonywali ją, że „tak jest dobrze”. I na „tak jest dobrze” przeparowała do emerytury.

- Byłam w tej dobrej sytuacji, że ustnie umawiałam się z pracodawcą, że będę miała płacone za urlopy czy podczas chorodawca będzie dzentelme-

nem i zawsze był. Więc pod tym względem nie byłam stratna - opowiada.

Wreszcie przyszedł czas odpoczynku i zdała sobie sprawę, że z emerytury opłaci gaz, prąd, wszystkie abonamenty, zrobi dwa razy duże zakupy i tyle. Musi więc pracować dalej.

Żałuje, że była na B2B?

- Dzisiaj tak, ale wtedy te dodatkowe pieniądze bardzo mi pomogły - wzrusza ramionami. Nie, nic nie odłożyła, ale na szczęście ma dobre relacje z dziećmi.

- Doskonale pamiętam słowa Pawlaka! - wybucha śmiechem. - I dzisiaj muszę mu przyznać rację - dodaje szybko.

Swego czasu, wówczas wicepremier i minister gospodarki Waldemar Pawlak przyznał, że na swoją emeryturę sam oszczędza i liczy na przyszłą pomoc nie państwa, a rodziny.

- Staram się sobie zabezpieczyć przyszłość i przez oszczędzanie, i przez dobre relacje z moimi dziećmi, bo liczę na to, że to będzie pewniejsze niż te chimeryczne państwowe rozwiązania - wyznał w napływie szczerości Waldemar Pawlak, czym wywołał polityczną burzę.

Potem próbował łagodzić swoje słowa, tłumacząc, że poza państwową emeryturą, są jeszcze inne możliwości wsparcia na starość, ale to wyznanie przyłgnęło do niego na zawsze.

- Syn teraz przeszedł na etat, bo się uparł, powiedział: żadnych śmieciowych umów. W poprzednich firmach był na B2B i bardzo się cieszy, że wreszcie to się zmieniło - mówi Anna.

Marek, jej syn, tłumaczy, że w jego firmie jedynie handlowcom opłaca się być na samozatrudnieniu, bo mają płacone premie od sprzedanych umów, gdyby byli na etacie na taką gratyfikację nie mogliby liczyć.

- Uważam, że człowiek, prowadząc działalność gospodarczą, nie ma żadnych praw. Pracodawca może zrobić z nim, co chce. Pewnie, że można potem dochodzić swoich racji, ale sprawy przed sądami ciągną się latami - kończy Anna. Marek potakuje głową, on się z tym stwierdzeniem całkowicie zgadza.

Polityczny dwugłos

Skąd dyskusja o B2B? Prezydent Karol Nawrocki podpisał właśnie nowelizację ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy, ale skierował ją do oceny następcej Trybunału Konstytucyjnego. Reforma nadaje PIP uprawnienia do zamiany pozornych umów cywilnoprawnych i B2B w umowy o pracę.

- To była decyzja trudna, bo dotycząca samego fundamentu relacji między państwem a pracownikiem i pracodawcą. To także istotne regulacje wobec niepokojącego trendu wzrostu bezrobocia - powiedział prezydent, tłumacząc powody swojej decyzji.

Nadanie Państwowej Inspekcji Pracy uprawnień do przekształcania umów to jeden z kamieni milowych, od którego realizacji zależy wypłata środków z Krajowego Planu Odbudowy.

Ustawa przewiduje, że to inspektorzy pracy uzyskają kompetencję do stwierdzania istnienia stosunku pracy w sytuacji,

gdy strony formalnie zawarły umowę cywilnoprawną (np. zlecenia, o dzieło czy kontrakt B2B). Warunkiem wydania takiej decyzji jest uprzednie niewykonanie polecenia inspektora nakazującego zawarcie umowy o pracę. Ustawodawca pozostawia więc stronom możliwość dobrowolnego ukształtowania warunków zatrudnienia - w przeciwnym razie to inspektor określi istotne elementy stosunku pracy, takie jak rodzaj pracy, miejsce jej wykonywania czy wymiar czasu pracy.

Istotnym elementem nowych regulacji jest także mechanizm interpretacji indywidualnych. Na wniosek zainteresowanego Główny Inspektor Pracy będzie wydawał ocenę, czy przedstawiony stosunek prawny ma charakter stosunku pracy. Interpretacja nie będzie wiążąca dla przedsiębiorcy, jednak zastosowanie się do niej ma zapewniać ochronę przed sankcjami administracyjnymi, finansowymi i karnymi.

W praktyce jednak użyteczność tego instrumentu może okazać się ograniczona. Nowa ustawa wprost daje Państwowej Inspekcji Pracy możliwość odstąpienia od własnej interpretacji, jeśli w trakcie kontroli uzna ona, że rzeczywisty stan faktyczny odbiega od tego przedstawionego we wniosku. Takie rozbieżności mogą pojawić się nawet przy zachowaniu najwyższej staranności przez wnioskodawcę.

W przypadku odwołania od decyzji administracyjnej, ostateczną decyzję co do jej zasadności będzie podejmował sąd.

- Po istotnych poprawkach wprowadzonych w trakcie prac parlamentarnych zdecydowałam się tę ustawę podpisać. Ale jednocześnie kieruję ją do następcej oceny Trybunału Konstytucyjnego - poinformował prezydent Karol Nawrocki w oświadczeniu opublikowanym na profilu kancelarii pre-

zydenta w serwisach społecznościowych.

Podkreślił, że cały czas ma poważne wątpliwości co do części przepisów - zwłaszcza tych, które przyznają bardzo szerokie uprawnienia PIP wobec przedsiębiorców.

- Państwo musi być silne, ale nie może być nadmierne w swojej ingerencji. Konstytucja jasno mówi o zasadzie pomocniczości i proporcjonalności. Władza publiczna nie może przekraczać granic wpływu w życie gospodarcze i to musi zostać jednoznacznie ocenione - powiedział Karol Nawrocki.

Zaznaczył też, że reforma PIP ma swoje zdefiniowane cele: umożliwi uruchomienie środków z KPO i uderza w patologię rynku pracy, wyposażając przy tym PIP w nowoczesne narzędzia.

- Pełną odpowiedzialność za kształt tej ustawy ponosi oczywiście rząd. Zarówno za sposób jej przygotowania, jak i za zobowiązania wynikające z KPO, które znacząco zawęziły pole wyboru - podkreślił.

Decyzję prezydenta Nawrockiego w serwisie X skomentowała ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Podkreśliła, że ustawa oczekiwana i popierana przez większość Poleki Polaków uzyskała podpis prezydenta.

„To dobra wiadomość dla milionów polskich pracowników. Dla młodych wkraczających na rynek pracy, dla pracujących rodziców potrzebujących stabilności, dla wszystkich ciężko pracujących Polaków, zbyt często pozbawianych należnych im praw. Państwowa Inspekcja Pracy - silniejsza, skuteczniejsza i sprawniej działająca - w końcu pomoże im te prawa odzyskać. A wraz z nimi odzyskać to, co najcenniejsze - godność i bezpieczeństwo” - przekazała szefowa resortu.

Nie wszystkim jednak spodobał się podpis prezydenta Nawrockiego.

- Wielka szkoda, że ku uciesze Lewicy prezydent podpisał ustawę o reformie PIP - stwierdził na wstępie Sławomir Mentzen, lider Konfederacji. - To krok w bardzo złym kierunku, to kolejne utrudnienie prowadzenia biznesu, to kolejne zwiększenie niepewności i niestabilności - dodał.

Na koniec swojego wpisu na platformie X Sławomir Mentzen stwierdził, że tym razem „miało być inaczej, a wyszło jak zawsze”.

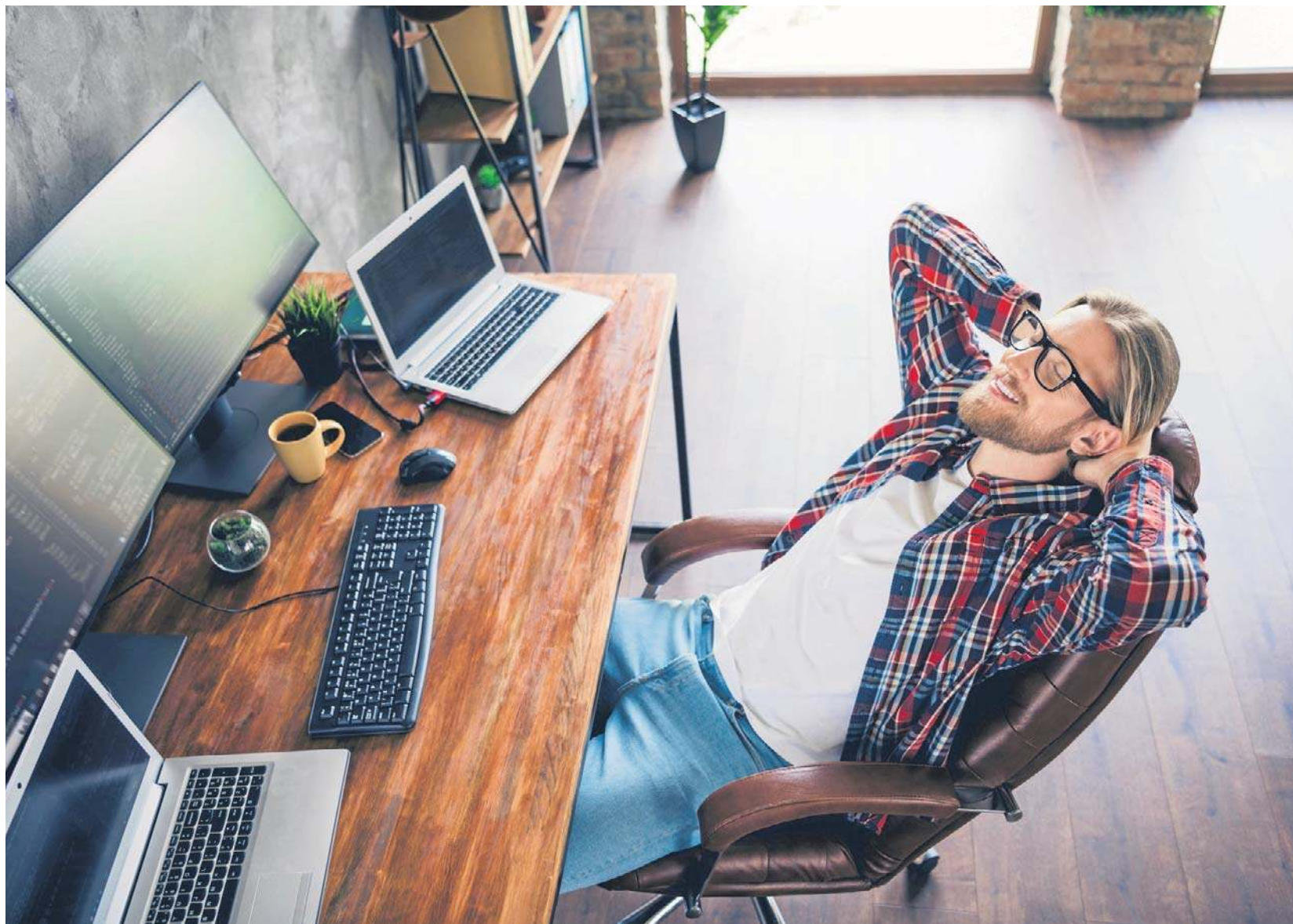
Decyzję Karola Nawrockiego mocno skrytykował także publicysta „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha.

„Pan prezydent kolejny raz wykonał unik podobny jak w przypadku równie bolszewickiej ustawy, skierowanej przeciwko kierowcom: coś tam skierował do kontroli następczej w TK. Kontrola następcza nie wstrzymuje wejścia ustawy w życie, a TK i tak jest dysfunkcyjny, więc to tylko gra pozorów. Proszę zauważyć, że pan prezydent ani razu nie zastosował kontroli uprzedniej, która wstrzymuje wejście ustawy w życie” - zwrócił uwagę.

„W trakcie kampanii wyborczej pana prezydenta starano się prezentować jako wychodzącego poza ścisły krąg poglądów i uwarunkowań pisowskich. Pan Nawrocki miał bardzo dbać o wolność obywatelskie i podatników. Objąwszy urząd, pan Nawrocki zaczął systematycznie ten wizerunek rozmontowywać” - ocenił Warzecha.

I dodał, że Karol Nawrocki „okazuje się bardziej uzależniony od pisowskiego zaplecza” od Andrzeja Dudy. - Patrząc na to, jakie decyzje podejmuje pan prezydent obecnie, można bardzo poważnie niepokoić się o to, jak by się zachowywał, gdyby władzę przejął PiS. Jeśli ktoś sądził, że w takim układzie pan Nawrocki dałby odpór etatystycznym tendencjom socjaldemokra-

**CZŁOWIEK, PROWADZĄC
DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZĄ,
NIE MA ŻADNYCH PRAW.
PRACODAWCA MOŻE ZROBIĆ
Z NIM, CO CHCE**



FOT. 12ARF

Taka forma zatrudnienia musi być po prostu wykorzystywana zgodnie z celem, a tym jest wysoka elastyczność pracy. Człowiek prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą świadczy zazwyczaj usługi dla wielu podmiotów, wystawia więc miesięcznie więcej niż jedną fakturę

tycznej partii pana Kaczyńskiego, powinien zacząć uświadamiać sobie, że nic takiego nie miałyby prawdopodobnie miejsca - stwierdził publicysta.

Totalny wyzysk

Marek mieszka na Śląsku 45 lat. Od ponad ośmiu na B2B. Szukał pracy przez kilka miesięcy, wreszcie wziął, co było. Zdradzać nazwy firmy nie będzie, nie chce kłopotów.

- Pracujemy po 180-190 godzin miesięcznie, większość pracowników, jakieś 80 procent, jest na B2B. Nikt nie miał wyjścia, etaty w firmie są zarezerwowane wyłącznie dla kierownictwa - opowiada. Stawki godzinowe mają marne. Koniec końców, po opłaceniu składek ZUS, podatku i księgowej zostaje mu niewiele ponad 4 tys. złotych. Wiadomo, że nie pracuje nigdzie indziej, bo nie ma na to czasu, musiałyby nie spać.

- Za urlopy płacone nie mamy, więc mój urlop to jego koszty plus połowę niższa pensja następnego miesiąca. Wtedy wystarcza na opłacenie składek i księgowej, bo to płacić muszę zawsze. Żadnych świadczeń socjalnych: bonów na święta, wczasów pod gruszą, nic! - tłumaczy.

W czasie pandemii COVID-19 był miesiącem na L4, miał go-

rażkę, problemy z płucami, bardzo ciężko przeszedł chorobę. Dostał potem z ZUS niewiele ponad tysiąc złotych.

- Gdybym mógł, chętnie poszedłbym do pracy, gdzie miałbym etat. Wiadomo, że w każdym przypadku można pracownika zwolnić, ale jednak pracownik etatowy ma zdecydowanie więcej praw. Może pójść na urlop i może chorować. W moim przypadku jedno i drugie sporo mnie kosztuje - wzrusza ramionami.

Właśnie UoP czy B2B? Pytanie aktualne, co doskonale widać w sieci.

Internauta1: „B2B, czyli business to business oznacza prowadzenie interesów pomiędzy podmiotami gospodarczymi. To muszą być przynajmniej dwie firmy. Czyli pracownik, którego w ten sposób zatrudnia pracodawca, też musi mieć założoną własną działalność gospodarczą najczęściej jednoosobową. Często na takich umowach pracują przedstawiciele handlowi”.

Internauta2: „A to jest opłacalne, to zakładanie swojej firmy? No wiesz te wszystkie składki i czy się zarabia czy nie, to ZUS trzeba płacić”.

Internauta3: „Jak dobrze zarabiasz, to pewnie jest opłacalne. Dużo osób jest na takich umowach i muszą być”.

Internauta4: „A ja myślę, że pracują na takich umowach, bo nie mają wyjścia i wcale nie jest to jakoś atrakcyjne finansowo”.

Internauta4: „Umowa B2B (business to business) zawierana jest między dwoma podmiotami gospodarczymi. W związku z tym, że prawo nie określa dokładnych wytycznych charakteryzujących owe podmioty, coraz większą popularność zyskują więc umowy zawierane z osobami prowadzącymi jednoosobową działalność gospodarczą. Jest to korzystna forma współpracy, w ramach której firma zatrudniająca ponosi mniejsze koszty, a zatrudniony dostaje wyższe wynagrodzenie netto. Warto podkreślić, że umowa B2B nie podlega przepisom zawartym w Kodeksie pracy - nie przysługują prawo do płatnego urlopu wypoczynkowego, wynagrodzenia chorobowego czy okresu wypowiedzenia. Z drugiej jednak strony osoba prowadząca jednoosobową działalność gospodarczą nie podlega żadnemu kierownictwu. W praktyce oznacza to, że druga strona umowy nie może wpływać na czas wykonywania zlecenia. Jedynym źródłem kontroli jest wymaganie konkretnych terminów ukończenia prac, ustalonych w umowie”.

Prawda czy fałsz

Prof. Witold Orłowski tłumaczy, że sprawa z B2B jest złożona. Trzeba o niej mówić i jasno stawiać pewne kwestie.

- B2B jest w wielu sytuacjach potrzebne, ale nie może być wykorzystywane jako fikcyjna metoda niepłacenia przez pracodawców składek ZUS - tłumaczy. - To krzywdzące dla pracowników i dla nas wszystkich - dodaje.

Taka forma zatrudnienia musi być po prostu wykorzystywana zgodnie z celem, a tym jest wysoka elastyczność pracy. Człowiek prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą świadczy zazwyczaj usługi dla wielu podmiotów, wystawia więc miesięcznie więcej niż jedną fakturę. Oczywiście, może się zdarzyć, że konkretnego miesiąca ma jednego klienta, któremu poświęca 90 procent swojego czasu, ale jest to zlecenie, które wcześniej czy później się kończy. Jeżeli konkretna osoba prowadzi działalność gospodarczą i co miesiąc wystawia fakturę jednej firmie, to wiadomo, że mamy do czynienia z fikcją. Pracodawcy chodzi po prostu o to, żeby to nie on, a jego pracownik odprowadzał składki ZUS i płacił podatki.

- Jeśli pracownik jest zmuszany do samozatrudnienia, bo inaczej nie przyjmie się go

do pracy, jeżeli proponuje się takie umowy młodym ludziom, którzy nie myślą jeszcze o przyszłości, to jest to wysoce naganne - mówi prof. Orłowski. I dodaje, że wprowadzenie martwi go trochę fakt, że kontroler PIP jednoosobowo będzie miał prawo decydowania, czy B2B jest fikcją, czy nie, to jednak dobrze, że formy zatrudnienia będą poddane kontroli.

- Być może powinno się opracować pewne wytyczne, czyli opisać sytuacje, w których mamy do czynienia z fikcją B2B, one mogłyby pomóc kontrolerom w pracy - sugeruje prof. Orłowski. I przypomina, że porządek z B2B chciał już zrobić premier Mateusz Morawiecki, za co - jego zdaniem - był niesłusznie krytykowany.

Mowa o słynnym teście przedsiębiorcy. Ów test miał być narzędziem do odsiania przedsiębiorców od osób wybierających samozatrudnienie, by płacić niższy podatek.

Propozycja znalazła się w Wieloletnim Planie Finansowym Państwa na lata 2019-2022. Po krytyce, także z wewnątrz rządu, Ministerstwo Finansów wycofało się z pomysłu, ale nie z samej idei.

Jak pisała potem „Rzeczpospolita”, ministerstwa przedsiębiorczości i technologii, inwestycji i rozwoju we współ-

pracy z Radą Dialogu Społecznego miały przygotować przepisy, które pozwolą na weryfikację przedsiębiorców, ale bez „ingerowania w swobodę wyboru modelu, w którym przedsiębiorcy prowadzą swoją aktywność gospodarczą”.

Money.pl ustalił wówczas, że nawet pół miliona samozatrudnionych mogło mieć tylko jednego kontrahenta, i właśnie ich test mógłby dotknąć w największym stopniu. Narzędziem do jego przeprowadzenia miały być analizy składowych obowiązków przez wszystkich przedsiębiorców plików JPK. Sprawdzana miałaby być nie tylko liczba faktur wystawianych jednej firmie, ale także procentowy udział tego źródła w przychodach przedsiębiorcy.

Koniec końców skończyły się na pomysłach.

Wolność nie dla wszystkich

Czarek, 32 lata, od zawsze na B2B. Jest informatykiem, wykonuje usługi dla kilku firm.

- To dla mnie najlepsza forma zatrudnienia - mówi.

Doskonale zarabia. Jego większość znajomych to także szefowie dla samych siebie. Mateusz jest lekarzem, Julka grafikami komputerowymi, Marta księgową, Kuba trenerem personalnym - oni wszyscy prowadzą jednoosobowe firmy i są zadowoleni.

- Myślę, że jeśli ktoś jest specjalistą w swojej dziedzinie i widzi możliwość większych zarobków, prowadząc własną działalność gospodarczą, powinien rozważyć taką opcję - tłumaczy Czarek. I dodaje, że B2B to elastyczności w planowaniu swojego czasu pracy, więc taka forma zatrudnienia daje na pewno większą swobodę w organizowaniu sobie życia. Poza tym, jak tłumaczy, prowadzenie własnej firmy daje możliwość „sprzedawania” swoich usług kilku klientom jednocześnie, praca na etacie najczęściej to uniemożliwia.

- Trzeba być jednak pewnym, że damy sobie radę z prowadzeniem firmy - zastrzega Czarek.

On nie wyobraża sobie smyczy na szyi, bo tak nazywa umowę o pracę. Pewnie, że będąc samym sobie szefem trzeba samodyscypliny, dobrej organizacji, samoświadomości.

- Są ludzie, którzy do takiej pracy się nadają i tacy, którzy pewnie będą się czuć bezpiecznie na umowie o pracę. Wszystko zależy od charakteru człowieka, jego zawodu i zarobków - uważa Czarek.

Jemu nowelizacja ustawy o PIP nie przeszkadza. Uczciwie pracuje, ma wielu klientów, nie boi się żadnych inspektorów. A jeśli dzięki niej, kilku pracodawców zacznie swoich pracowników traktować jak ludzi a nie jak niewolników, to on jest jak najbardziej „za”.

Gdyby odkleić od Jadwigi Staniszkis wszystkie znane nam etykiety: profesorka, legenda opozycji, komentarka, wyrocznia, ekscentryczka, to kim ona, Pana zdaniem, była?

Była jedną z nielicznych w Polsce prawdziwych intelektualistek publicznych, a przynajmniej osobą, która całe życie do tego miana aspirowała, chodząc do mediów i dając wykłady wszędzie, w tym na uczelniach wyższych wykluczonych z głównego obiegu wiedzy, z debat ogólnokrajowych. Komentowała rzeczywistość i oczywiście możemy się z tym zgadzać albo nie (ja sam z wieloma jej propozycjami się nie zgadzam), ale znów, z drugiej strony łączyła to z analizą filozoficzną, socjologiczną. Nie bała się też publicznie eksperymentować intelektualnie. W tym sensie nie była do końca akademicką w takim współczesnym znaczeniu, to znaczy w takim, w jakim często dziś rozumiemy akademię: że trzeba coś wymyślić pod grant, pod finansowanie, tak by przeszło przez komisję, której jeden z członków ma fiksję na punkcie kwestii, które niekoniecznie są intelektualnie czy nawet życiowo istotne. Jadwiga Staniszkis po prostu nie bała się myśleć.

Pan ją poznał osobiście? Spotkał się z nią?

Trudno to tak nazwać, bo było to przelotne. „Spotkaliśmy się” na wydziale socjologii w 2023 roku. Po prostu zostaliśmy sobie przedstawieni, tak jak i kilku studentom. Nawet nie do końca zdawałem sobie wtedy sprawę, że to klasyczka z naszego wydziału...

Dlaczego zdecydował się Pan napisać właśnie o niej? Co było bezpośrednim impulsem?

Od pewnego czasu łączę pracę akademicką z reporterską, dlatego zacząłem myśleć o biografii kogoś, kto z jednej strony pozwoli pokazać, czym jest socjologia, a z drugiej stanie się punktem wyjścia do opowieści o współczesnej historii Polski. Zależało mi przy tym, by nie była to postać typowa, wpisująca się w schematy znane ze stereotypowo przedstawianych badań jakościowych. Szukałem raczej kogoś idącego pod prąd, osoby odważnej, w pewnym sensie bezczelnej, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Pamiętam, jak uderzył mnie jej styl pisania: momentami osobliwy, pokretny, zupełnie inny niż to, do czego byliśmy przyzwyczajeni. Bezpośredni impuls był taki, że jestem z tego samego wydziału, co Staniszkis. Mogę się nazwać uczniem niektó-

– Była jedną z nielicznych w Polsce prawdziwych intelektualistek publicznych. Nie bała się mówić tego, co uważała, nawet jeśli nie mieściło się to w mainstreamie – mówi Krzysztof Katkowski, autor książki „Radykalna. Wszystkie sprzeczności Jadwigi Staniszkis”

Anita Czapryn



Krzysztof Katkowski: Jadwiga Staniszkis była jedną z nielicznych w Polsce prawdziwych intelektualistek publicznych

KRZYSZTOF KATKOWSKI: JADWIGA STANISZKIS NIE BAŁA SIĘ MYŚLEĆ

rych z jej dawnych znajomych z wydziału, jak np. profesora Jacka Raciborskiego, który omawiał ze studentami jej teksty na zajęciach.

Co Pana najbardziej zaskoczyło podczas pracy nad jej biografiami? I który z rozmówców miał opowieść, która najmocniej Pana porwała? Samo pisanie tej książki było dużym wyzwaniem. Na początku przytaczam zresztą Ignacia Ramoneta, autora biografii różnych polityków Ameryki Łacińskiej, który

po prostu ich wysłuchiwał. A pytanie: jak słuchać, jeśli żyjemy w takiej sytuacji politycznej, gdy wszyscy jesteśmy na siebie (nie)słusznie wku*wieni? To była żmudna praca: chodzenie do różnych polityków, akademików, ludzi, z którymi bardzo często kompletnie się nie zgadzam, ale jednak ich słuchać i zobaczyć, co z nich wyjdzie, kiedy zaczną mówić. Bo chyba jest ciekawe to, co wyszło. Moja książka to opowieść o naszych lokalnych elitach intelektualnych: Staniszkis to

punkt odniesienia, straszak, ale i punkt wyjścia do refleksji. Nie tylko o nich, ale i o nich samych.

Jak reagowali, gdy przychodził Pan, mówiąc, że chce rozmawiać o profesor Staniszkis? Byli chętni do rozmów o niej?

W gruncie rzeczy pojawiły się dwa typy reakcji. Z jednej strony byli ci, którzy odpowiadali otwarcie; to właśnie ich głosy znalazły się w książce. Co istotne, nikogo z nich nie musiałem szcze-

gólnie namawiać do rozmowy, niezależnie od tego, czy chodziło o Mateusza Morawieckiego, Piotra Glińskiego, Leszka Balcerowicza czy Macieja Gdulę. Z drugiej strony w książce znalazła się również lista osób, które odmówiły. Przytaczam nawet fragmenty naszej korespondencji, w tym SMS-y. Pisałem często do ludzi, których znałem i o których wiedziałem, że znali Staniszkis, zakładając, że zgodzą się porozmawiać. Tymczasem reakcje okazały się zaskakujące.

Adam Michnik i Jarosław Kurski odpowiedzieli niemal identycznymi wiadomościami - czy to SMS-em, czy mejlowo. Nie brakowało też reakcji polegających na milczeniu albo na zdawkowych odpowiedziach w rodzaju: „Nie rozumiem, co miałbym tu panu powiedzieć”, przy czym chodzi o osoby, które osobiście znały JS. I właśnie wtedy zaczęły ujawniać się różne trudne, niekiedy nieprzyjemne epizody związane z profesorem Staniszkis. Do tego stopnia, że przy jednym z cytatów prawnik wydawnictwa zasugerował jego usunięcie, uznając, że może on zahaczać o zniesławienie. To było dla mnie szczególnie interesujące, jak silne emocje wciąż wywołuje ta postać, i to ponad wszelkimi podziałami. Teoretycznie sam jestem bliżej środowiska skupionego wokół Agory, a jednak w bezpośrednim kontakcie znacznie bardziej życzliwy okazali się dla mnie Piotr Gliński niż Włodzimierz Czarzasty, który, mimo kilku rekomendacji, zbył mnie przez telefon. A niby, patrząc obojami, to można mnie prędzej skojarzyć z nim niż z Glińskim.

Z marszałkiem Czarzastym i Jadwigą Staniszkis kojarzy się słynne zdjęcie z młodości.

Tak, jak obydwójce byli piękni i młodzi. Nigdy nie była to jednak bliska relacja, raczej typowa relacja dwóch osób działających jakoś w lokalnym polu politycznym. Co do wyglądu Staniszkis, to jest jednak istotne. Michał Łuczewski zwraca uwagę, że Staniszkis w pewnym sensie „grała” swoim wyglądem: charakterystyczną, legendarną czerwoną szminką, stylem, sposobem bycia. Z kolei Piotr Sztompka, autor podręczników do socjologii, napisał mi w jednej z wiadomości (którą akurat zacytowałem), że była „grand Polish lady” tej dyscypliny. To napięcie wydaje się szczególnie interesujące: mamy kobietę działającą w środowisku zdominowanym przez mężczyzn, która jednocześnie nie wpisuje się łatwo w oczywiste kategorie. Kiedy rozmawiałem z Agnieszką Graff czy pisałem do Klementyny Suchanow - postaci już kanonicznych dla współczesnego polskiego feminizmu, mimo że raczej z pozycji konserwatywno-liberalnych, jak w przypadku Graff - obie były wyraźnie zaskoczone, że w ogóle łączę Staniszkis z tym kontekstem. Szczególnie zapamiętałem rozmowę z Graff: nie było w niej odrzucenia, raczej moment zawahania, pytanie, dlaczego właściwie miałaby to komentować. I właśnie w tej niejedno-

FOT. BARTEK SYTA

znacznosci kryje się jej wyjątkowość. Z jednej strony nie była oczywistą figurą feministyczną, z drugiej już w latach dziewięćdziesiątych podważała tak zwany kompromis aborcyjny, czyli rozwiązanie, którego wiele osób, dziś identyfikujących się jako liberalne czy lewicowe, wówczas nie kwestionowało, zajęte raczej odnajdywaniem się w realiach transformacji.

Z jakiego domu ona wyszła? Był to dom idei, hierarchii, ciepła, czy może dom, który od początku ją formatował i dawał jej poczucie, że ma kimś być? Co wzięła od swojej rodziny?

Jeśli chodzi o rodzinę, to właśnie tutaj najpełniej ujawnia się jeden z kluczowych motywów tej książki. Jej tytuł odnosi się nie tylko do sposobu myślenia akademickiego Jadwigi Staniszkis, lecz także do samej konstrukcji biografii. Przy uważnej lekturze widać, że głos oddany zostaje również jej rodzeństwu, a ich relacje nie zawsze są ze sobą zgodne (tak jak i wiele wypowiedzi kolejnych, gdzie nawet są minimalne błędy, których celowo nie poprawiałem, jeśli nie były zmieniane w autoryzacji). Niekiedy rozmijają się także z tym, co sama Staniszkis opowiadała o swoim domu. Z jednej strony wyraźnie obecny jest wątek silnego zaangażowania politycznego rodziny. Jej rodzice, ale też dziadkowie i pradiadkowie, należeli do ludzi, dla których polityka stanowiła istotną treść życia. Pradziadek był litewskim działaczem niepodległościowym przełomu XIX i XX wieku, dziadek - którego Jadwiga nigdy nie poznała - ważnym działaczem narodowej demokracji, a rodzice byli związani z ruchem faszyzmem, o czym ona sama mówiła bardzo niechętnie. W książce przywołuję między innymi relację Izabeli Mrzygłód, badaczki dziejów ONR-u i jednej z najwybitniejszych polskich badaczek polskiego przedwojennego piekielka, która wspomina, że próby rozmowy o rodzicach spotykały się raczej ze zbyciem. Staniszkis ograniczała się do ogólnikowego stwierdzenia o ich radykalnych poglądach i sugerowała, że to właśnie one popchnęły ją później w stronę bardziej lewicową. Sama zresztą wielokrotnie podkreślała, że wywodzi się z rodziny radykalnej prawicy i przez całe życie starała się od tego dziedzictwa dystansować. Z drugiej strony pojawiają się zupełnie inne narracje: opowieści rodzeństwa, wspomnienia o matce, która po wojnie w dużej mierze samodzielnie wychowuje dzieci, gdy ojciec trafia do więzienia. Są też re-

lacje młodszego brata, Piotra, dla którego, ze względu na różnicę wieku, odgrywała ważną rolę we wczesnych latach życia. Do dziś przechowuje on w domu kostki do gry, które Jadwiga zrobiła z chleba w więzieniu po Marcu 1968 roku w Polsce. I znów pojawia się charakterystyczna dla tej postaci sprzeczność. Z jednej strony Staniszkis mówiła o sobie jako o osobie znajdującej się w spektrum autyzmu - w książce nie rozstrzygam tej kwestii, przywołuję jedynie głos psycholożki i diagnostki Agaty Zapory, która podkreśla, że diagnozowanie osoby nieżyjącej byłoby nieetyczne. Sama przedstawiała się często jako ktoś, kto emocji właściwie nie odczuwa. Z drugiej jednak strony relacje jej przyjaciół i bliskich sugerują coś zupełnie przeciwnego - że przeżywała bardzo intensywnie. Ta dwoistość wydaje mi się istotna dla zrozumienia jej postaci. Przywołuję na myśl... Geralt z Rivii - wiedźmina, bohatera słynnej sagi Andrzeja Sapkowskiego. To również figura często opisywana jako idealny typ lat dziewięćdziesiątych: samotnik, ekspert, ktoś zdystansowany emocjonalnie. A jednak zarówno w prozie Sapkowskiego, jak i w jej późniejszych interpretacjach wyraźnie widać, że Geralt wcale nie jest nieczuły; przeciwnie, przeżywa bardzo wiele. Mam wrażenie, że w przypadku Staniszkis było podobnie.

Dlaczego ona tak bardzo wymyka się prostym podziałom: lewica - prawica, elita - bunt czy intelekt a emocje? Myślę, że za to między innymi zapłaciła ogromną cenę. Choćby taką, że w pewnym momencie właściwie przestała być drukowana na Zachodzie. Nie piszę o tym w książce, bo trudno tutaj ustalić nic poza plotkami. Ta jej niejednoznaczność przestała być wygodna.

To znaczy, że wielu ludzi nie mogło jej wybaczyć choćby tego, że zbliżyła się do PiS? Tak, zdecydowanie, i mam wrażenie, że właśnie w tym tkwi źródło części reakcji, jakie wywoływała. Zresztą było to widoczne także w jej relacji z Zygmuntem Baumanem. Nie byli przyjaciółmi, ale Aleksandra Jasińska-Kania, jego partnerka i wieloletnia towarzyszyca życia, opowiadała mi, że Bauman uważał Staniszkis za swoją najwybitniejszą uczennicę. Tym bardziej znaczące jest więc to, że w momencie gdy przesunęła się w stronę Prawa i Sprawiedliwości, podobno był na nią autentycznie zły; może to przesunięcie naruszało nie tylko różnice poglądów, ale też pewne głębsze oczekiwa-

nia, jakie wobec niej miał? Bo jednak Bauman wyjeżdża za granicę, też pisze, pisze aż za dużo i nie boi się myśleć, a Staniszkis daje się atakować na polskim poletku na prawo i lewo.

Często mówiono o niej: genialna, ale trudna. I że miała niezwykłą intuicję polityczną. Ona naprawdę widziała więcej od innych? Zaczniemy choćby od PRL-u, który bardzo wcześnie próbowała rozpoznać.

Powiedziałbym, że mamy tu do czynienia z dwiema równoległymi cechami. Z jednej strony ogromną siłą Staniszkis był jej hermetyczny język. Paradoksalnie stanowiło to zaletę, pozwalając jej wykraczać poza utarte schematy i podejmować odważne eksperymenty intelektualne. Z drugiej jednak strony wiązało się to z dużą swobodą w operowaniu cudzymi pojęciami. Jej książki mogą być wręcz mylące dla osób rozpoczynających przygodę z filozofią czy socjologią, ponieważ często przywoływała innych myślicieli w sposób podporządkowany własnej konstrukcji wyводу. Dobrym przykładem jest Hegel - pojawia się u niej wyraźnie „po swojemu”, przez selekcję i reinterpretację tych elementów, które da się wpisać w jej własny tok myślenia. „Ontologia socjalizmu”, bardzo ciekawa analiza, w dużej mierze opiera się właśnie na takim autorskim przetworzeniu schematu heglowskiego. Mówiąc prościej: Staniszkis traktuje Hegla dość instrumentalnie. W „Ontologii...” miesza różne pojęcia - „pozór”, „zjawisko”, czasem coś w rodzaju „złudzenia” - używając ich właściwie zamiennie. A u Hegla to wcale nie jest to samo. U niego ważna jest subtelna różnica: „pozór” oznacza coś niesamodzielnego, jakby nie do końca realnego, a „przeświecanie” to moment, w którym przez to, co widzimy, ujawnia się głębsza istota rzeczy. Innymi słowy: to, co istnieje, nie jest do końca stabilne ani autonomiczne, zawsze jest trochę „na niby”, bo zależy od czegoś głębszego. Staniszkis tę precyzję trochę rozmywa i podporządkowuje własnemu wywodowi. Nie sięga zresztą bezpośrednio do Hegla, tylko czyta go głównie przez Marksa i jego krytykę. A samego Hegla wrzuca w szerszy zestaw inspiracji - obok amerykańskiej socjologii organizacji czy funkcjonalizmu w duchu tamtejszego nadkasyka Talcotta Parsonsa. Efekt jest taki, że Hegel staje się u niej bardziej narzędziem niż punktem wyjścia, czymś, co można dopasować do własnej koncepcji, zamiast trzymać się jego oryginalnych

rozróżnień. Ten przykład, jak sądzę, dobrze pokazuje napięcie obecne w jej twórczości: między intelektualną oryginalnością a metodologiczną swobodą, która bywała zarazem jej największą siłą i największą słabością.

Jest też jej pojęcie samoograniczającej się rewolucji, które do dziś mówi bardzo dużo nie tylko o Solidarności, ale też o polskiej historii, o naszych zrywach, naszych granicach odwagi.

Tak, i to jest właśnie fascynujące. To pojęcie nie tylko się przyjęło, ale do dziś funkcjonuje własnym życiem. Przywołuję w książce przykład amerykańskiego socjologa zajmującego się ruchami społecznymi na Bliskim Wschodzie, który nadal korzysta z kategorii samoograniczającej się rewolucji. To dobrze pokazuje skalę jej intelektualnego oddziaływania. W tym czasie, niejako z pozycji inteligentkiej Warszawy, potrafiła napisać książkę, która jednocześnie stawała po stronie robotników i opisywała ich ruch językiem ambitnej teorii. Podobnie jest z jej myśleniem o postkomunizmie. To dla mnie szczególnie interesujące, bo z jednej strony stało się ono później pewnym intelektualnym zapleczem dla środowiska PiS; widać to choćby w języku, w którym powraca teza, że wciąż żyjemy w postkomunizmie. U niej jednak to pojęcie nie ma przede wszystkim charakteru moralizującego, i to jest kluczowe. Ona nie mówi: „Tak powinno być”. Raczej opisuje sytuację, w której się znaleźliśmy, i stawia pytanie, jak sobie z nią poradzić. W jej pisaniu nie ma tej wyraźnej normatywności obecnej u wielu innych autorów, którzy od razu wskazują właściwy kierunek i stronę sporu. U niej dominuje siła opisu i to także świadczy o jej niezależności. Bo nawet wtedy, gdy środowisko PiS korzystało z jej diagnozy, ona sama nie chciała się mu podporządkować. Zresztą kiedy później się do niego zbliża, a następnie gwałtownie odchodzi, i to jeszcze opowiadając się po stronie Komitetu Obrony Demokracji, dla wielu osób z prawicy było to kompletnie niezrozumiałe. W rozmowie z Bronisławem Wildsteinem bardzo wyraźnie wybrzmieło to zdumienie: jak to w ogóle możliwe? A przecież ta niezależność była u niej obecna dużo wcześniej. Już w latach siedemdziesiątych, gdy wielu intelektualistów odchodziło od języka marksizmu, a Adam Podgórecki przekonywał do takiego kroku, ona, jako osoba związana z opozycją, pisała, że nie należy marksizmu po prostu porzucić, bo pozostaje on

istotną metodologią. To bardzo wiele o niej mówi: nie interesowało jej przyłączanie się do gotowego obozu, nawet jeśli był to obóz jej najbliższy. Bardziej pociągało ją myślenie wbrew wygodzie.

Czy Jadwiga Staniszkis kochoła Polskę? Była patriotką? Co ją w Polsce drażniło?

Myślę, że Staniszkis można wpisać w nurt patriotyzmu krytycznego, obecnego w polskiej tradycji co najmniej od czasów Frycza Modrzewskiego. Była zafascynowana wizją Polski jako kraju, który nie pozostaje na peryferiach, do którego wszystko dociera z opóźnieniem, lecz jako państwa naprawdę istotnego, także intelektualnie. Jednocześnie warto dodać pewne zastrzeżenie. Z jednej strony była patriotką, ale gdyby zapytać, czy była wyłącznie polską filozofką czy intelektualistką, to odpowiedź, być może przewrotnie, brzmiałaby: nie. Bardzo świadomie starała się uczestniczyć w obiegu myśli globalnej. Była po prostu intelektualistką w szerszym sensie. Kiedy analizowała procesy zachodzące w Polsce, sięgała po autorów z innych krajów, choćby badaczy społecznych z Turcji, których wówczas w Polsce niemal nikt nie przywoływał. To pokazuje skalę jej ambicji i horyzontów. Można więc powiedzieć tak: była głęboko zakorzeniona w polskości, ale jednocześnie uczestniczyła w znacznie szerszej, globalnej całości, którą próbowała zrozumieć i wykorzystać. Tak jak mówiłem, jest to często literatura pełna intuicji, przebiegów geniuszu, ale i pomyłek.

Dlaczego budzi emocje również po śmierci?

Wydaje mi się, że kluczowa była tu właśnie jej niezależność. W Polsce nie brakowało i nie brakuje intelektualistów, ale bardzo wielu z nich mówi przede wszystkim to, co dobre się sprzedaje albo łatwo wpisuje się w obieg medialny. Dziś ten obieg jest jeszcze silniej podporządkowany klikalności, algorytmom i uproszczeniom. Wiele mediów, głównie tych dużych (nie mówię o niezależnym dziennikarstwie), pisze to, co myślą ich subskrybenci. Nie ma obiegu myśli, ale są etaty dla wiernych, którzy mówią o obiektywnych podziałach i przyznają sobie nagrody. Taki milutki, uroczy samozachwyty, ale świadczący o kulturze kompletnie niedojrzałej i co najwyżej pociesznej. W nowych mediach jednak już najlepiej trzymają się algorytmy, które nadają nowy ton dyskusjom: i to pewnie dlatego wszelkie Literatury na Świecie, Przeglądy polityczne i niepolityczne czy Ar-

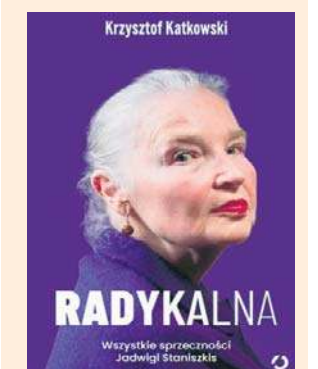
cana pójda zaraz do lamusa. Dwa najważniejsze przedruki z mojej książki, w „Newsweeku” i w Wirtualnej Polsce, dotyczyły rozdziału poświęconego jej życiu prywatnemu, w tym relacjom romantycznym. Można to odczytać jako gest w pewnym sensie patriarchalny: z całej opowieści o niezwykle ciekawej intelektualistce, o jej myśleniu, odwadze i miejscu w życiu publicznym, wybiera się przede wszystkim to, co najbardziej klikalne. Na pierwszy plan trafia więc historia przemycy ze strony partnera, Ireneusza Iredyńskiego, a ona sama zostaje pokazana głównie jako ofiara. Tymczasem była osobą o ogromnej sprawczości. Warto o tym pamiętać: w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych należała w Polsce do bardzo nielicznych kobiet, które naprawdę liczyły się intelektualnie, publicznie i osobiście. W czasie gdy zarówno opozycja, jak i PZPR kojarzyły się przede wszystkim z mężczyznami o wielkich ambicjach zmieniających świat, ona była jedną z nielicznych kobiet uczestniczących w tej grze na własnych zasadach. Fajnie, żeby było w naszym kraju jak najwięcej myślenia globalnie, ale o lokalności. I prowokacji, walki na słowa. Tą moją książką trochę też o to wołam, tak jak i wołała o to sama Staniszkis.

CV



FOT. JAKUB SZFRANSKI

Krzysztof Katkowski
Socjolog, tłumacz, dziennikarz, poeta. Absolwent Uniwersytatu Pompeu Fabra w Barcelonie i Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książki „Radykalna. Wszystkie sprzeczności Jadwigi Staniszkis”, która ukazała się 8 kwietnia nakładem wydawnictwa Otwarte.



Czego ty szukasz? - nie bez irytacji pyta twoja mama ojca we lwowskim hotelu. Rodzice rozmawiają na tyle głośno, że słyszysz odpowiedź, która brzmi: Przeszłości. Chciałbym się w końcu od niej uwolnić. A ty czego szukałaś?

Przeszłości. Ale nie po to, by się od niej uwolnić albo się od niej odciąć, ale by ją poznać. Szukałam korzeni mojej rodziny i dziś po skończeniu pracy nad książką jedyne, czego jestem pewna, to fakt, że nadal niewiele wiem. Rozmowa, którą przytaczasz, miała miejsce, kiedy z rodzicami i bratem pojechaliśmy na wymarzone wczasy do Bułgarii. Byłam wtedy siedmio-, może ośmioletnim dzieckiem, które wyrusza w podróż życia. Ojciec się uparł, by jechać przez Lwów, co było kompletnym bezsens i nakładaniem drogi. W hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, spędziliśmy parę godzin, bo pogryzły nas pluskwy i mama zarządziła ewakuację. Z tamtej perspektywy wydawało się, że przystanek w tym strasznym miejscu był kompletną pomyłką, ale to właśnie wtedy ojciec jedyny raz powiedział cokolwiek o sobie, choć wówczas także nie padło zbyt wiele słów. Wynikało z nich tylko, że w trakcie wojny urodził się we Lwowie i tu spędził dzieciństwo. Nigdy wcześniej ani później z jego ust nie usłyszałam nic więcej na temat przeszłości.

A ty nie pytałaś?

Kiedy jesteś dzieckiem, nie zadajesz pytań. Skoro dorodzi nie mówią o sobie, nie snują przy stole rodzinnych opowieści, uznajesz, że to jest normalne, że tak jest i już. Podobnie było u Artura Spiegelmana, autora komiksu „Maus”, który przez wiele lat myślał, że skoro jego ojciec w nocy krzyczy, to wszyscy ojcowie pewnie tak mają. Fakt, że mój ojciec nie mógł spać po nocach, też uznawałam za coś naturalnego. Nie miałam porównania. Tak samo było z dziadkami. Mając kilka lat, nie zastanawiałam się, skąd wynika takie a nie inne ich zachowanie, dlaczego babka ze strony ojca była zimna i nie okazywała mi żadnych ciepłych uczuć. Te pytania zadałam sobie teraz, już jako dorosła osoba, która próbowała się dowiedzieć, co z jej rodziną było nie tak i, jak już wiesz, nie znalazłam na wszystkie pytania odpowiedzi.

Ale masz domysły?

Czułam, nadal czuję, że w rodzinie ojca musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że stali się tak dalecy, niedostępni, że swoje własne wnuki traktowali przedmiotowo. Nie było

W pewnym momencie zrozumiałam, że z jakiegoś powodu moi przodkowie nie chcieli, bym dowiedziała się, co się im przydarzyło. Teraz już wiem, że nie jestem w tym wyjątkowa i że istnieją rodziny, które skazują swoje dzieci i wnuki na życie w milczeniu, wśród niedopowiedzeń i pilnie strzeżonych tajemnic – mówi Magda Huzarska-Szumiec, dziennikarka, autorka książki „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć. O dziedziczeniu milczenia i traumy”.

Katarzyna Kachel



FOT. ANDRZEJ BANAS

MAGDA HUZARSKA-SZUMIEC: CHCIAŁAM SIĘ DOWIEDZIEĆ, DLACZEGO MÓJ OJCIEC NIE MÓGŁ ZASNAĆ

w tych relacjach uczucia, nie było czułości. Wydawać by się mogło, że dziadkowie wybudowali sobie mur, którym odcięli się od najbliższych osób. Teraz wiem, że mogło to wynikać z ich strachu, z tego, że może zdarzyć się znowu coś takiego, co spowoduje po raz kolejny utratę. Zresztą tak naprawdę dziadków widziałam kilka razy w życiu i nie wspominam tych spotkań dobrze.

Zabawkami cię nie rozpieszczali, ale piszesz, że babka ugotowała ci raz całkiem smaczną parówkę.

Bo byłam chuda i zagłodzona, jak oceniły z ciotką Małgorzatą, oglądając mnie dokładnie w świetle lampy. A ja marzyłam tylko o tym, by wrócić do domu. Choć ta parówka była pyszna. W Rzeszowie, gdzie mieszkałam, takich nie było. W Katowicach kupowało się je łatwiej, bo były przydzielone dla górników. Ale wracając do zasadniczej kwestii, zastanawiałam się, czy moja niechęć do dziadków wynikała z moich subiektywnych odczuć, czy może jestem przewrażliwiona i przesadzam, demonizując ich obraz. Jednak kiedy parę lat temu poznałam moich kuzynów, Alę i Maćka, córkę i syna brata mojego ojca, i zaczęliśmy rozmawiać o dziadkach, okazało się, że oni mają podobne wspomnienia z dzieciństwa. Także pamiętają skąpiane w mroku schody kamienicy w Katowicach i strumień światła padający przez otwarte drzwi, w których stała nasza babka. Oni też marzyli, żeby stamtąd jak najszybciej uciec. To skłoniło mnie do zadania sobie pytania, dlaczego wszyscy mamy tak złe wspomnienia. Myślałam, że znajdę na to odpowiedź, odkrywając historię mojej rodziny. Jednak okazało się to bardzo trudne, ślady przeszłości zostały skrętnie zamazane. Niczego nie znalazłam, co też jest znamienne, tak jakby cała przeszłość została wyczyszczona, zamieciona. W archiwach nie trafiłam na żadne informacje na ich temat. Nadal nie wiem, kim byli. Przedziwne, bo o krzeniach babci ze strony mamy, która urodziła się w tym samym czasie pod Lwowem, z archiwalnych dokumentów dowiedziałam się niemal wszystkiego. I to bez większego problemu. Poznałam też losy mojego drugiego dziadka, który w czasie I wojny światowej w wieku 16 lat uciekł do wojska, gdzie został skrybą. Natomiast część mojej rodziny ze strony ojca pozostawała wciąż otoczona mrokiem tajemnicy. Kiedyś znajomy opowiedział mi, że poznał ludzi, którzy noszą takie samo nazwisko i też pochodzą ze wschodu. Okazało się, że organizują rodzinne

zjazdu, dzięki którym utrzymują ze sobą ścisły kontakt. Aż podskoczyłam z radości, bo wydawało mi się, że wreszcie trafiłam na jakiś trop. Ale ci ludzie nic nie wiedzieli o moich dziadkach.

Co z tym zrobiłaś?

Odpuściłam, choć znasz mnie i wiesz, że nie przyszło mi to łatwo. W pewnym momencie zrozumiałam, że widocznie z jakiegoś powodu moi przodkowie nie chcieli, bym dowiedziała się, co się im przydarzyło. O tym, że nie jestem wyjątkowa i że wiele rodzin skazuje swoje dzieci na życie w milczeniu, wśród niedopowiedzeń i pilnie strzeżonych tajemnic, przekonałam się, sięgając po książki, takie jak m.in. „Traumaland” Michała Bilewicza czy „Cena” Anny Bikont. Po ich lekturze zaczęło do mnie docierać, że wiele historii przytaczanych przez autorów publikacji, podejmujących temat przekazywania traumy wojennej z pokolenia na pokolenie, skądś znam i że sama mam z nimi wiele wspólnego. Urodziłam się przecież długo po wojnie, a jeżeli cokolwiek mi się śni, to jest to zawsze z nią związane. Od wielu lat, kiedy jeszcze nie było to takie oczywiste, jako dziennikarka drażyłam temat Holokaustu, opisywałam opowieści ludzi ocalałych z Zagłady, takich jak Niusia Horowitz-Karakulska, bohaterka mojej poprzedniej książki Niusia z listy Schindlera. Literatura dotycząca traum transgeneracyjnych utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie jestem sama. Że 19 procent naszego społeczeństwa, jak podaje Michał Bilewicz, żyje w nieświadomości tego, jaki wpływ na nich mają doświadczenia wojenne przodków. Teraz, kiedy książka jak ukazała, słyszę od wielu osób, że oni też żyją wśród nieświadomości, rodzinnych tajemnic. Ta zmowa milczenia jest wciąż żywa, jest doświadczeniem wielu osób, do których kieruję moją książkę.

Książkę, która prowadzona jest dwutorowo. Z jednej strony to opowieść o tym, jak z kruchów pamięci budujesz swój dom, a z drugiej to historia pana Bolesława.

Tak, nawet tytuły poszczególnych rozdziałów odnoszą się do pomieszczeń, z których zbudowany jest dom. Ta część to moja prywatna historia, która zająłaby się ze zbeletryzowaną opowieścią o panu Bolesławie, mężczyźnie, którego poznałam zupełnie przypadkowo w areszcie śledczym przy Montelupich.

Skąd się tam wzięłaś?

Pracując w „Gazecie Krakowskiej” upierałam się, żeby pi-

sać o Holokauście, ale też o wszystkim, co jest związane z kulturą żydowską. Pracowałam razem, więc wiesz, że moje zainteresowania nie zawsze pokrywały się z zainteresowaniami redaktorów. Dlatego od czasu do czasu robili mi niespodzianki i zlecali tematy, które były dla mnie dość abstrakcyjne. Jednym z nich była rozmowa ze skazanym za morderstwo mężczyzną. Może to i byłoby ekscytujące z dziennikarskiego punktu widzenia, ale nie w tych okolicznościach i nie w tym dniu, który dokładnie opisuję w książce. Nie miałam jednak innego wyjścia i znalazłam się za kratkami. I tam jeden z wychowawców poprosił mnie o rozmowę ze starszym panem, który przychodził czytać więźniom wiersze. Tak poznałam pana Bolesława. Siedzieliśmy razem w celi, a on opowiadał mi historię swojego życia. W pewnym momencie doszedł w niej do ucieczki z przemyskiego getta. Wcześniej getto udało się opuścić jego matkę, od której dostał wiadomość, że czeka na niego na Winnej Górze. To takie wzniesienie na obrzeżach Przemysła, dziś dość luksusowy teren z pięknymi przedwojennymi willami. Tylko jak miał ją znaleźć wystraszony chłopiec, który już doskonale wiedział, co grozi mu za ucieczkę z zamkniętej dzielnicy żydowskiej. Biegł przez miasto, aż poczuł zapach świeżego pieczywa. Dochodził on z kamienicy, w której znajdowała się piekarnia. On był tak strasznie głodny, że nie bacząc na niebezpieczeństwo, wszedł do niej. Piekarze go przegonili, pobiegł wówczas do mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie przegarnęła go pewna kobieta z małą dziewczynką. Nakarmiła wystraszonego chłopca, umyła, pozwoliła mu się przespać i zaprowadziła do mamy. I teraz wyobraź sobie, że siedzę przed człowiekiem, który ze szczegółami opisuje mi moją babcię i mamę, która miała wtedy dwa latka. Na dodatek obydwie mieszkaly w kamienicy nad piekarnią, która wówczas była jedna w tej części miasta, czyli na Zasaniu.

Nie zadałaś mu żadnych pytań?

Uciekłam. W normalnej sytuacji każdy dziennikarz powinien złapać temat i go nie wypuścić, ja nie wydobylałam z siebie żadnego słowa. To było ponad 20 lat temu, dokładnie w tym roku, kiedy zmarły moja mama i babcia. Nie byłam w stanie dalej tego słuchać. Wyparłam to spotkanie z pamięci. Przez długie lata nikomu o tym nie opowiadałam. Musiało upłynąć

sporo czasu, aż zdecydowałam się o tym mówić. Pamiętam dokładnie wieczór po spotkaniu w Muzeum Polin w Warszawie, które dotyczyło „Niusi z listy Schindlera”. Z redaktorkami z Wielkiej Litery poszliśmy na kolację i opowiadałyśmy sobie różne historie z życia. Ja opowiadałam tę. Kiedy skończyłam, usłyszałam: „A czy ty wiesz, że masz początek kolejnej książki?”. Zaczęłam się śmiać, ale równocześnie rozumiałam, że to było coś ważnego, że była to historia, której bałam się do tamtej pory dotknąć.

Chciałaś ją opowiedzieć sobie czy innym?

Przed wszystkim sobie. Sama wiesz, pisząc swoje książki, że robi się to dla siebie. Dopiero później przychodzi refleksja, że ktoś będzie je czytał i że może w opisanych historiach odnajdzie siebie. Ja dzięki książkom innych ludzi rozumiałam, skąd biorą się moje takie a nie inne zachowania, dlaczego tak gwałtownie reaguję na sytuacje, które są całkiem naturalne i nie powinny wzbudzać we mnie lęku, z kolei ze stoickim spokojem wysłuchuję strasznych opowieści Ocalonych. Kiedy pisałam książkę o Niusi, uswiadomiłam sobie, że słucham jej opowieści bez większego, emocjonalnego zaangażowania, jakbym wybudowała sobie mur, który oddzielał mnie od jej strasznej historii. Ta pancerna ściana pozwalała mi się zdystansować, stanąć obok i tylko słuchać, a nie przeżywać tego, co przeżywała moja bohaterka. Wytworzyłam w sobie mechanizm obronny, który umożliwił mi przebywanie w jej świecie i równocześnie opisywanie tego co się w nim działo.

To dlaczego to robiłaś?

Bo z jednej strony czułam przed tym tematem lęk, a z drugiej niezwykle nim z ciekawości. W książce „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć” cytuję profesora Pawła Holasa, który zajmuje się zawodowo badaniem transmisji traum między generacjami. Mówi, że często zdarza się, iż pokoleniowo przekazywane są nie tylko treści i znaczenia emocjonalne samych traumatycznych przeżyć, ale też sposób, w jaki nasz przodek sobie z nimi radził. Sam profesor, kiedy był już dorosły, dowiedział się, że ma korzenie żydowskie. Doświadczył wtedy silnego strachu. Nagle bowiem uswiadomił sobie, że jeszcze niedawno za to mordowano, że fakt pochodzenia wiąże się z całym bagażem uprzedzeń. I nie miał tu znaczenia fakt, że dziś nic mu nie grozi. Z jednej strony stara się temat omijać, a z drugiej

w niego brnie. Czułam podobnie. Choć pisząc książkę nigdzie nie użyłam słowa „Żyd” w kontekście moich przodków. Nie zrobiłam tego, ponieważ nie wiem. Nie mam pewności, jakie było pochodzenie mojego ojca, ani moich dziadków. Nie mam żadnych namacalnych dowodów, tylko całą garść przeczuć, niedopowiedzeń, zawieszonych w połowie zdań.

Co miałaś na myśli, mówiąc o swoich gwałtownych reakcjach w sytuacjach, które dla innych są całkiem naturalne?

W książce opowiadałam o tym, jak tłum ludzi, którzy skakali obok mnie pod sceną podczas koncertu Maanamu, sprawił, że wpadłam w histerię. Kora śpiewała moje ulubione kawałki „Cykady na Cykladach” czy „Nie poganiaj mnie, bo tracę oddech”, a ja usiłowałam się wy dostać z sali, bo czułam, że to ja zaraz stracę oddech, a może i życie. Ten atak paniki był niewspółmierny do tego, co się działo podczas koncertu. Dziś wiem, że mógł on wynikać z tego, co naukowcy nazywają transmisją transgeneracyjną na poziomie epigenetycznym, czyli z przekazywania w genach kolejnym pokoleniom pamięci o sytuacjach stresowych, które były udziałem przodków. Pamiętam, jak w szkole pojechaliśmy na wycieczkę do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Tam dałam dopiero popis, choć miejsce może było bardziej adekwatne do takiego zachowania.

Mama zapytała cię zanim wsiadłaś do autokaru: „Na pewno chcesz tam jechać”?

Myślisz, że odpuściłabym sobie wycieczkę z klasą? To przecież miała być przygoda. Ale moja reakcja w obozie, kiedy się zgubiłam i chodziłam po barakach sama, a potem szukałam wyjścia, była za mocna. Dostałam ataku histerii i długo nie mogłam się uspokoić. Na pewno w dużym stopniu ta panika była wynikiem przeczytanych lektur, obejrzanych filmów, tego, czym karmiono wówczas dzieci niemal do kołyski. Kto nie oglądał „Stawki większej niż życie” albo „Czterech pancernych i psa”? Nie dawałam się odciągnąć od telewizora, choć panicznie się bałam, gdy na ekranie pojawiali się Niemcy.

Wróć do twojego ojca. Bardzo poruszyła mnie scena jego pogrzebu, na który pojechałaś razem z bratem. Moment, kiedy patrzysz na trumnę i czujesz cholerną złość, bo tak naprawdę go nie znałaś, nie wiedziałaś, kim był.

Pamiętam dobrze, kiedy mieszkałam w akademiku

w Krakowie i do moich koleżanek przyjeżdżali ojcowie, a ja im strasznie zazdrościłam. Nie samych odwiedzin, ale relacji, wspólnych spacerów po Plantach. Ja nie mogłam mojego ojca zaprosić na spacer, porozmawiać z nim, zapytać o te istotne i mniej istotne sprawy, bo go w moim życiu nie było. I właściwie jedno z ważniejszych pytań, które sobie stawiałam w trakcie pisania tej książki, brzmiało: „Dlaczego?” I, jak wiesz, nie potrafię sobie do dziś na nie odpowiedzieć.

Mocny jest rozdźwięk między ojcem, którego pamiętałaś z dzieciństwa i człowiekiem, w którego zmienił się z biegiem czasu. Wspominaś, jak chodził z tobą na plac zabaw i kręciliście samoloty, co wprawiało w zdumienie matki, które pilnowały swoich pociech bawiących się w piaskownicy.

To było w latach 70., kiedy widok ojca bawiącego się z dzieckiem w piaskownicy nie był czymś powszechnym, był wręcz czymś niespotykanym. Ojcowie się tak nie zachowywali. Opieka nad dziećmi była domeną kobiet. A potem nastąpiło załamanie, ale ja byłam za mała, by je rozpoznać. Mogłam zadać to pytanie mamie, zapytać wprost, co dzieje się z ojcem, dlaczego coraz bardziej zamyka się w sobie, oddala. No i dlaczego nie śpi po nocach.

Bo w domu się milczało.

Tak, o wielu rzeczach się nie mówiło. To symptomatyczne, że o tym, iż moja babcia uratowała żydowskie dziecko, dowiedziałam się od obcego człowieka. Sąsiadki babci Broni w małym mieście, jakim był Przemysł, raczej nie pochwaliby jej za odwagę. Słowo „Żyd” ciągle było słowem tabu. Babci Broni w ogóle by przez myśl nie przeszło, że można je swobodnie użyć przy dziecku. Za to należało za nim biegać z garnuszkiem pełnym poziomkiem ze śmietaną, mimo że to dziecko się buntowało. Dziś wspominam to z czułością, wtedy to był niezły obciach.

Z książki wynika, że twoim życiem rządził przypadek.

Nie wiem, może sama je prowokuję, ale przypadkiem natknęłam się na pana Bolesława, przypadkiem dowiedziałam się o tym, co zrobiła moja babcia, kolejnym przypadkiem było spotkanie rodziny ze strony ojca, której wcześniej nie znałam. Opowiedzieć ci, jak do tego doszło?

Opowiadaj.

Pewnego razu mój brat poszedł do lekarza, którego nie tyle zastanowiło jego zdro-

wie, co fakt, że ma kolegę ze studiów, który nosi to samo imię i nazwisko, a na dodatek urodził się w tym samym roku co Maciek. Od słowa od słowa i tak poznaliśmy naszego najbliższego kuzyna Maćka. Okazało się, że ma on młodszą siostrę Alicję. Parę lat temu umówiliśmy się wszyscy na Kazimierzu. Nigdy nie zapomnę, jak do „Kolanek” wszedł nieznany mi wcześniej Maciek. Nagle w drzwiach zobaczyłam młodszą siostrę, wyglądającego identycznie jak on, mającego ten sam tembr głosu, podobnie gestykulującego. Ale to nie wszystko. Za chwilę odkryliśmy, że nasze dzieci noszą te same imiona, mamy podobne zainteresowania, pasje. Wymyśliłabyś to? Krok po kroku okazywało się, że nie znając się, nie mając ze sobą kontaktu, dokonywaliśmy w życiu bardzo podobnych wyborów. Jak widać, genów nie da się oszukać.

Co ważnego jeszcze przyniosła ci ta podróż w przeszłość?

Odkrycie prostej prawdy, że nie muszę mieć na wszystkie pytania odpowiedzi. I że nie jestem w tym sama. Są ludzie, którzy podobnie jak ja czują, że niosą w sobie jakąś tajemnicę, którą odziedziczyli po przodkach i być może nigdy jej nie odkryją. Dla nich też jest ta książka. Dzięki niej może zrozumieją, co sprawia, iż odczuwają wewnętrzny niepokój. Pewnie mogłabym dalej szukać, może bym na coś trafiła, poszła za tym, a wrodzona ciekawość nie pozwoliłaby mi odpuścić. Ale zatrzymałam się, postawiłam kropkę. I dlatego ta książka kończy się cytatem z Thomasa Manna: „Cisza zmusza, abyśmy nasłuchiwali wszystkiego, co nie jest w niej zupełnie ciche”.

SPOTKANIE



Spotkanie z Magdą Huzarską-Szumiec, poświęcone książce „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć”, odbędzie się w Krakowie w Pałacu Nieśmiertelności (ul. Krakowska 13) we wtorek, 14 kwietnia o godzinie 18. Wstęp wolny.

LEKARZ OD TEMATÓW TABU: SŁYSZA, ŻE „JAK SWĘDZI, TO TRZEBA SIĘ UMYĆ, IM CZYŚCIEJ, TYM LEPIEJ”. A TO BŁĄD

Wstyd, odkładanie wizyty „na później”, leczenie na własną rękę i dopiero na końcu decyzja o konsultacji ze specjalistą. Taki scenariusz powtarza się w gabinetach proktologicznych w całej Polsce. – Przychodzą dopiero wtedy, kiedy jest dramat – przyznaje poznański proktolog

Sylwia Rycharska

Największy sprzymierzeniec choroby? Dr Łukasz Gmerek, proktolog, dyrektor do spraw leczenia i ordynator oddziału wielospecjalistycznego w Szpitalu Św. Wojciecha w Poznaniu, twierdzi, że to wstyd.

– To on jest głównym powodem, dla którego pacjenci trafiają do nas późno, i myślę, że najbardziej wstydzą się mężczyźni. Dla nich to jest bardzo krępujące, żeby zgłosić się z problemem okolicy kanału odbytu – mówi. – Kobiety też mają opory, ale zdecydowanie mniej. Mężczyźni często przychodzą dopiero w ostatecznym momencie, kiedy, jak ja to mówię, jest już dramat – dodaje.

Ten „dramat” ma bardzo konkretny wymiar: silny ból, nasilone krwawienia i duży dyskomfort, który utrudnia codzienne funkcjonowanie.

Krew, która straszy

Najczęstszym objawem, który powinien skłonić do wizyty u specjalisty, jest krew.

– Pacjenci widzą krew i pierwsze, co robią, to biorą smartfona i wpisują zapytanie w wyszukiwarkę. A tam najczęściej pojawia się informacja, że to może być nowotwór jelita grubego. I wtedy przychodzą, ze strachu – mówi dr Gmerek.

Nie każde krwawienie oznacza jednak najgorsze.

– Znaczenie ma to, jaka to jest krew, czy są zaparcia, czy zmienia się rytm wypróżnień. Przy chorobach nowotworowych pojawiają się też inne objawy: śluz, nieregularne, często tzw. wybuchowe stolce – wyjaśnia lekarz.

Dlatego tak ważna jest diagnostyka i profilaktyka – w tym kolonoskopia, która powinna być wykonywana regularnie po 45. roku życia, a przy obciążeniu rodzinnym po 40.

– To najlepsza profilaktyka nowotworowa, bo pozwala wykryć i usunąć polipy, zanim przekształcą się w raka – podkreśla.

Niepokój powinny wzbudzić także inne objawy: niere-

gularne krwawienia, zmiana rytmu wypróżnień, pojawienie się śluzu czy nagły spadek masy ciała. – Do tego wszelkie nowe zmiany – zgrubienia, brodawki. To sygnał, że trzeba zgłosić się do lekarza jak najszybciej – zaznacza rozmówca „Głosu Wielkopolskiego”.

Zdecydowana większość pacjentów – około 90 proc. – zgłasza się do proktologa z objawami choroby hemoroidalnej. Jeszcze kilkanaście lat temu była ona kojarzona głównie z osobami starszymi. Dziś to się zmieniło.

– To jest choroba cywilizacyjna i zaczyna dotykać coraz młodszych osób. Dzisiaj objawy mają ludzie 20-, 30-letni. Zdarzało mi się operować pacjentów, którzy mieli 18 lat i wymagali leczenia operacyjnego, bo choroba była już bardzo zaawansowana, z obfitymi krwawieniami – podkreśla dr Gmerek.

Zmienił się styl życia, a wraz z nim profil pacjenta.

– My po prostu nie jesteśmy stworzeni do tego, żeby tak dużo siedzieć. Siedzimy w drodze do pracy, siedzimy w pracy po 8-10 godzin, a potem wracamy do domu i znowu siedzimy – przed telewizorem albo z telefonem w ręku. Nawet rower to w pewnym sensie też jest siedzenie – zauważa.

Problem zaczyna się już w młodym wieku – zamiast aktywności fizycznej dominuje spędzanie czasu przed ekranami komórek lub komputerów. A to wszystko, jak mówi dr Gmerek, przekłada się na zdrowie i sprawia, że te problemy pojawiają się coraz wcześniej.

Jak wyjaśnia dalej, profilaktyka w tym przypadku sprowadza się do rzeczy prostych, choć nie zawsze łatwych do wdrożenia. – Powinniśmy jak najczęściej wstawać, ruszać się, zmieniać pozycję. Jeśli się da, warto pracować częściej na stojąco – stąd popularność biurek stojących. U młodszych kluczowy jest ruch. Natomiast są zawody, jak kierowcy, gdzie tego problemu nie da się całkowicie wyeliminować, i tych pacjentów



Dr Gmerek tłumaczy, że coraz młodsze osoby mają hemoroidy. Jest to choroba cywilizacyjna, do której w głównej mierze przyczynia się nadmierne siedzenie

też jest bardzo dużo – zaznacza dr Gmerek.

Zanim pacjent trafi do specjalisty, często próbuje radzić sobie sam. – Dzisiaj pierwszym lekarzem jest doktor Google. Pacjenci szukają informacji, kupują leki bez recepty, często wykupują wszystko, co jest dostępne w aptece. Problem w tym, że nie ma leków na hemoroidy. Są tylko leki na objawy – tłumaczy rozmówca. Pacjent przychodzi dopiero wtedy, kiedy widzi, że nic nie pomaga. – A zdarza się, że trafiają do nas osoby, które wcześniej wielokrotnie były na SOR-ze z powodu masywnych krwawień i wymagały przetoczenia krwi. To są już stany zagrożenia życia – dodaje.

Za czysto to niezdrowo?

Jednym z największych – i najbardziej zaskakujących – problemów jest nadmierna higiena. – Pacjenci bardzo często słyszą: „Jak swędzi, to

trzeba się umyć, im czyściej, tym lepiej”. I rzeczywiście tak robią, czasem nawet z zalecenia innych lekarzy. A to błąd – mówi dr Gmerek. – Zbyt intensywne mycie, używanie mokrego papieru czy kosmetyków prowadzi do odparzeń i nasilenia objawów. W tej okolicy powinno być przede wszystkim sucho. W ciepłym i wilgotnym środowisku rozwijają się grzyby i pojawia się świąd – wyjaśnia.

Zmiana nawyków bywa dla pacjentów trudna. – Kiedy mówię im, że muszą ograniczyć higienę, robią duże oczy. To dla nich obrót o 180 stopni. Ale wracają po 2-3 tygodniach i mówią: „Miał pan rację” – dodaje.

Do błędów należy także mechaniczne podrażnianie okolicy odbytu. – Próby „dokładnego czyszczenia”, ingerowania w kanał odbytu czy nawet golenie tej okolicy mogą prowadzić do podrażnień, uczuleń i stanów zapalnych – tłumaczy proktolog.

Nie bez znaczenia pozostają także dieta i styl życia. Jak podkreśla, kluczowe są: odpowiednie nawodnienie, ograniczenie słodyczy i dieta bogata w błonnik oraz aktywność fizyczna.

„Najgorsze, co można zrobić, to zwlekać”

Choć choroba hemoroidalna dominuje, problemów proktologicznych jest więcej. – Spotykamy się także z ropniami, przetokami, chorobą uchyłkową jelita grubego czy nieswoistymi chorobami zapalnymi jelit, jak wrzodziejące zapalenie jelita grubego czy choroba Leśniowskiego-Crohna – wylicza.

Do tego dochodzą choroby przenoszone drogą płciową. Jak wyjaśnia, kłykciny kończyste, wywołane przez wirusa HPV, to zmiany, które często wymagają leczenia operacyjnego. Preparatów dostępnych na rynku nie wolno stosować na śluzówkę kanału odbytu.

Jednym z największych mitów pozostaje sama wizyta u proktologa. – Pacjenci wyobrażają sobie różne rzeczy, a prawda jest taka, że badanie jest krótkie, niebolesne i nie jest szczególnie krępujące. Najpierw rozmawiamy, potem wykonujemy badanie i decydujemy o dalszej diagnostyce – mówi lekarz.

Jak opisuje, badanie najczęściej odbywa się w pozycji na lewym boku, która jest dla pacjentów bardziej komfortowa niż pozycja kolankowo-łokciowa.

– Można powiedzieć, że tylko pierwsza wizyta jest trudna. Każda kolejna jest już znacznie łatwiejsza. Staram się rozluźnić atmosferę, żeby pacjent czuł się swobodnie – dodaje.

Jak podkreśla, w proktologii kluczowa jest nie tylko wiedza, ale i podejście do pacjenta.

– To dziedzina, w której trzeba mieć doświadczenie, trochę „nosa”, ale też umiejętność rozmowy i empatię. Pacjent musi się otworzyć, powiedzieć dokładnie, co mu dolega. Tylko wtedy możemy dobrać skuteczne leczenie – zaznacza.

Barierą pozostaje także strach przed operacją. – Pacjenci słyszą, że po zabiegu nie będą trzymać stolca, że uszkodzone zostaną zwieracze. To nieprawda. Jeśli operuje specjalista, takie ryzyko nie istnieje – podkreśla.

Sam zabieg i rekonwalescencja w praktyce okazują się mniej obciążające niż pacjenci myślą. Jak opisuje dr Gmerek, pacjent wychodzi do domu na drugi dzień, a najtrudniejsze są pierwsze dwa tygodnie, głównie ze względu na dyskomfort przy wypróżnianiu. – Ale później wszystko szybko się poprawia. Po kilku tygodniach pacjenci mówią jedno: „Dlaczego tak długo zwlekałem?” – dodaje.

Bez tabu

Jeszcze niedawno wielu pacjentów nie wiedziało nawet, że istnieje taka specjalizacja. Dziś świadomość tego, kim jest proktolog i czym się zajmuje – leczeniem chorób kanału odbytu i dolnego odcinka przewodu pokarmowego – bardzo wzrosła. Kiedyś to wcale nie było takie oczywiste – jak zauważa poznański lekarz.

Coraz większą rolę w budowaniu tej świadomości, jak i w zmianie podejścia pacjentów do samej wizyty odgrywają media społecznościowe. Dr Gmerek prowadzi profil edukacyjny, w którym w przystępny sposób, z nutą humorystyczną, mówi o problemach proktologicznych. – Bardzo dużo pacjentów przychodzi do mnie i mówi, że zobaczyli film w internecie i uznali, że to nie jest takie straszne. To naprawdę działa – przyznaje.

Internet daje też przestrzeń do zadawania trudnych pytań. – W wiadomościach prywatnych ludzie są dużo bardziej otwarci niż w gabinecie. Pojawiają się pytania bardzo intymne, także dotyczące życia seksualnego. Piszą m.in. osoby homoseksualne, które często mierzą się z problemami, o których trudno mówić wprost. To pokazuje, jak duża jest potrzeba edukacji i rozmowy – podkreśla.

ROZDZIELILI GO Z SIOSTRAMI 17 LAT TEMU. DZIŚ MARCIN PRÓBUJE JE ODNALEZĆ

Życie go nie rozpieszczęło. Mieszkaniec Tarnowa sporą część dzieciństwa spędził w domu, w którym brakowało rodzicielskiego ciepła i uczuć.

W pewnym momencie wraz z czterema siostrami został odebrany matce, która nie radziła sobie ze swoimi problemami. Rodzeństwo zostało rozdzielone. Od tamtego czasu Marcin nie ma z nimi kontaktu i nie wie, gdzie się znajdują. Jego wielkim marzeniem jest ponowne spotkanie z siostrami.

Robert Gąsiorek

Dziewczynki zostały zabrane do domu dziecka. Marcin miał więcej szczęścia, bo trafił do babci, która przez następne lata wychowywała go i dawała to, czego nie była w stanie zapewnić mu jego matka. - Wtedy ostatni raz widziałem siostry - wraca pamięcią do momentu rozdzielenia. - Myślałem wtedy, że nawet jak sobie znajdą rodziny, będziemy mieli kontakt. No teraz z perspektywy czasu wiem, że adopcja wygląda nieco inaczej i to nie jest też takie łatwe - opowiada 26-latek.

Byłem najstarszy, obrywałem najczęściej

Powroty do wspomnień z lat wczesnego dzieciństwa nie są dla niego łatwe. Niedługo po narodzinach Marcina jego mama rozstała się z jego ojcem i znalazła sobie kolejnego partnera, z którym miała kolejne dzieci. Wspólne życie w ich mieszkaniu w centrum miasta nieopodal tarnowskiego Rynku nie było jednak przepełnione radością i szczęściem.

Marcin ma w pamięci alkoholowe libacje, które były wręcz codziennością, ciągle obecny dym papierosowy, a także awantury i przemoc fizyczną, którą dorośli stosowali wobec dzieci.

- Szczęście jest takie, że ja byłem najstarszy, to obrywałem najbardziej. Mówię szczęście w takim znaczeniu, że moje siostry nie były bite aż tak bardzo, chociaż zdarzały się sytuacje, które nigdy nie powinny się wydarzyć - podkreśla Marcin.

Pierwsza interwencja służb w mieszkaniu, w którym wychowywał się Marcin, miała miejsce tuż przed rozpoczęciem przez niego nauki w szkole podstawowej. Po wizycie urzędników i policji wraz z dwoma siostrami trafił do domu dziecka.

- Początkowo odczuwałem wielki strach. Nagle do domu



Marcin do kluczy ma przypięty specjalny brelok z jego imieniem i napisem „Najlepsze dopiero przed tobą”. Daje mu to też nadzieję, że w końcu odnajdzie swoje siostry

przyjeżdża policja i nas gdzieś zabiera. Nie wiedziałem dokąd. Później, zarówno mój tata, jak i opiekunowie w domu dziecka, prowadzili z nami rozmowy, strach nieco minął, a ja miałem poczucie bezpieczeństwa. Przekonywali nas, że wrócimy, że wszystko będzie dobrze, a pobyt w placówce jest chwilowy. Może to zabrzmieć komically, ale izolacja od domu traktowana była trochę jak wyjazd wakacyjny, taka kolonia - opowiada.

Po kilku miesiącach Marcin z siostrami faktycznie wrócili do mamy i jej partnera. Przez pierwszy okres po powrocie wszystko nawet zaczęło się układać, ale do czasu. Wkrótce alkohol znów zaczął coraz częściej pojawiać się na stole i wszystko złe co z nim związane.

Dwa światy: jeden dobry, drugi bardzo zły

Marcin miał to szczęście, że troszczyła się o niego babcia od strony ojca. Często spędzał u niej weekendy.

- Jako małe dziecko widziałem tak naprawdę dwa różne światy, bo jak przychodziłem na weekend z tatą do babci i było „wow”. Miałem gdzie się umyć, nawet kilka razy w ciągu dnia. Zawsze było co jeść. Więc ten przeskok był dla mnie potężny. Babcia i jej dom był tak naprawdę moim takim azylem bezpieczeństwa. Oprócz wizyt u babci, od poniedziałku do piątku była szkoła. Tam wiedziałem, że mi się nic złego nie stanie. Tyle że po szkole wracało się do szarej rzeczywistości. Wydaje mi się, że jako dziecko myślałem, że po prostu tak funkcjonuje świat - opowiada młody mężczyzna.

W końcu przyszedł rok 2009 i moment, w którym ostatni raz widział swoje siostry: najstarszą Kasię, Olę, Magdę i najmłodszą Emilkę.

- Nie wiem, czy one jeszcze mnie pamiętają. Kasia już miała pięć lat, więc to był taki wiek, że powinna pamiętać. Natomiast mózg ludzki płata figle i czasem traumatyczne wydarzenia wy-

piera z pamięci - przyznaje Marcin.

Kilka lat po tym, jak opuścił dom rodzinny, do Marcina dotarła informacja, że jego mama miała później jeszcze jedno dziecko: chłopca. On też trafił ostatecznie do rodziny adopcyjnej.

Misja odnalezienia rodzeństwa

Gdy Marcin stał się pełnoletni, za cel postawił sobie odnalezienie swojego rodzeństwa. Cennych informacji szukał między innymi w biurze adopcyjnym w Tarnowie.

- To nie jest tak proste, jak mi się wydawało. Myślałem, że po prostu tam pójść, powiem, że jestem bratem i oni wszyscy ucieszą się i powiedzą: O, to super, że pan chce znaleźć siostry, zaraz damy wszystkie namiary. Okazało się, że to dużo bardziej skomplikowane - wspomina.

W końcu udało mu się dowiedzieć, że najmłodsza z siostr znajduje się w rodzinie adopcyjnej w Tarnowie lub

w okolicy. Do Marcina trafił list od rodziców adopcyjnych jego siostry.

- Było w nim napisane, że na razie nie mogą się ze mną spotkać, ale że siostra ma się dobrze. Opisali, co lubi robić, czym się interesuje. Z jednej strony mnie to uspokoiło, bo wiedziałem, że jest bezpieczna i że ma kochającą rodzinę. Natomiast z drugiej dobił mnie fakt, że znowu trzeba czekać i nie mogę jej zobaczyć ani się z nią spotkać - mówi.

Szukał sióstr, odnalazł brata

Mężczyzna prowadził w dalszym ciągu poszukiwania kolejnych sióstr, a także brata. Zaczął między innymi zamieszczać wpisy na facebookowej grupie: „Adoptowani poszukujący swoich bliskich”. W 2023 roku po jednym z jego wpisów dostał prywatną wiadomość. Napisała do niego kobieta, która jest matką adopcyjną jego brata.

Po zweryfikowaniu wszystkich informacji i potwierdzeniu, że rzeczywiście odeszł do niego opiekunowie, do których trafił brat, Marcin pojechał na Śląsk, aby spotkać się z chłopcem i jego rodzicami. Było to olbrzymie przeżycie dla niego. Wielka chwila. Do dziś utrzymuje kontakt z odnalezionym bracijszkiem i jego rodzicami adopcyjnymi.

- Miałem nadzieję, że jeśli uda mi się odnaleźć wszystkie siostry, to może jakimś takim szczęściem, efektem kuli śnieżnej uda się znaleźć też brata. No i o ironio losu, okazało się, że najpierw znalazłem najmłodszego brata, co dało mi trochę też kopa w tamtym momencie. Staram się nie zwalniać w poszukiwaniu sióstr - podkreśla.

Do dziś jednak nie udało mu się ustalić, gdzie może przebywać reszta jego rodzeństwa.

- Tak sobie nieraz myślę, że mogę je mijać na ulicy, gdzieś się z nimi spotykać, albo nawet pracować, bo często pracuję z młodzieżą - mówi.

Wielkie marzenie Marcina

Marcin dziś sam stara się pomagać młodym osobom. Prowadzi m.in. warsztaty dla młodzieży z rodzin adopcyjnych i zastępczych. Od czterech lat zajmuje się także animacjami dla dzieci jako „Animator Marcinek”. Często można go spotkać w stroju Supermana na różnego rodzaju festynach, kinderballach czy też imprezach okolicznościowych.

- Myślę, że moja praca też jest w pewien sposób taką działalnością, którą troszeczkę sobie rekompensuję dzieciństwo, ale jednocześnie daję dzieciakom możliwość zabawy, której ja byłem pozbawiony - przyznaje.

26-latek udziela się także społecznie, angażując się w różne inicjatywy charytatywne. Jeszcze jako nastolatek zorganizował w tarnowskim amfiteatrze koncert Marka Piekarczyka, z którego dochód był przeznaczony na chore dziecko.

Sam również jest wielkim fanem muzyki, szczególnie mocniejszych, rockowych brzmień. Gra na gitarze, a jego muzycznych umiejętności można posłuchać nie tylko na rockowych scenach, ale również w... kościele.

Marcin bowiem od wielu już lat angażuje się w grupie muzycznej działającej przy Duszpasterstwie Akademickim „Tratwa” w Tarnowie. Czasem można go usłyszeć w okolicznych parafiach, a niekiedy podczas rekolekcji dzieli się z młodymi ludźmi swoim świadectwem.

Mężczyzna sporo czasu poświęca innym, a dla siebie ma tylko jedno wielkie marzenie.

- Żebyśmy wszyscy, siostry i brat siedli przy jednym stole. Spotkali się na kręglach czy w jakimś McDonalddie, tak żeby po prostu usiąść i porozmawiać, pośmiać się i mieć ze sobą kontakt. Liczę, że gdzieś to się tak zakończy - mówi nie ukrywając wzruszenia.

RALPH KAMINSKI: NIE MOGĘ ZAWIERZAĆ POCZUCIA WŁASNEJ WARTOŚCI OSIĄGANYM SUKCESOM

Jest jedną z najbardziej wyrazistych postaci na polskiej scenie muzycznej. Właśnie ukazała się jego nowa płyta – „Góra”. Przy okazji jej premiery Ralph Kaminski zdradził nam czy jest wrażliwą osobą i czy lubi często płakać

Parwel Gzyl

„Góra” to twój pierwszy album wydany samodzielnie. Skąd ten pomysł?

Zebrałem na to odpowiedni kapitał. Początkowo każdy artysta bierze kredyt od wytwórni i spłaca go z czasem. Umowy są jednak tak skonstruowane, że mimo tego, nie nabywa się praw do tych fonogramów. Dlatego, kiedy mogłem sobie na to pozwolić, postanowiłem sam wydać nową płytę. To po prostu naturalny etap w karierze artysty.

To dlatego czekaliście na „Górze” aż cztery lata?

Nie. Promocja „Balu u Rafała” trwała aż dwa lata. Potem zrobiłem sobie rok przerwy, ale w tym czasie komponowałem nowy materiał. Potem nastąpił proces nagrań i realizowania teledysków, co trwało bardzo długo i zajęło mi prawie pół roku. Dlatego dopiero teraz wydaję nowy album.

„Bal u Rafała” był twoją najbardziej nowoczesną i wręcz mainstreamową płytą.

„Bal u Rafała” nie był robiony pod mainstream. To nie jest wyzłowany pop do radia. To concept-album, który był dla mnie eksperymentem w zanurzeniu się w elektronikę, na której tak naprawdę się nie znam i w której nigdy wcześniej się nie poruszałem w pełni. Pomyślałem po prostu, że spróbuję w tej materii zrobić coś po swojemu, może nie tak, jak powinno się robić ten rodzaj muzyki, ale tak jak ja to czuję. Poza tym była to muzyka robiona pod kątem widowniska na scenie.

Spodziewałeś się, że „Bal u Rafała” odniesie tak duży sukces?

Bardzo zaskoczyło mnie, jak szeroko poszedł ten projekt. Zagraлиśmy w telewizji m.in. na 30-lecie „Paszportów Polityki” czy na Bestsellerach Empiku. W życiu nie spodziewałem się, że „Bal” osiągnie tak duży sukces komercyjny. Nie wiem skąd się to wzięło. Na pewno ten odbiorca nie znał mnie wcześniej i nagle coś go zaintrygowało. Być może uznał, że jestem inny niż wszystko co do tej pory widział w telewizji. Wcześniej też taki byłem, ale to przy tym projekcie dostałem szansę występu na polsatowskim festiwalu w Sopocie. Nina Terentiew i Kasia Wajda zaufały mi i pozwoliły zaprezentować ten materiał, a występ ten wywołał spory szum wokół „Balu u Rafała”.

Dlaczego w takim razie nie poszedłeś za ciosem i nie nagrałeś podobnych piosenek, tylko na „Górze” wracasz do wyciszonych i akustycznych utworów, jakie śpiewałeś na początku kariery?

Po flircie z tą mainstreamową częścią show-biznesu, uznałem, że nie czuję się w tym do końca dobrze. Jasne – każdy artysta chce, żeby jego twórczość docierała do słuchaczy maksymalnie szeroko, ale ja szukam czegoś innego w muzyce. Robię piosenki do słuchania i przeżywania, a nie po to, żeby bić rekordy.

I właśnie taka jest ta nowa płyta. Pojawiają się na niej również echa muzyki ludowej – przede wszystkim w tytułowej „Górze”. Skąd taki pomysł?

Kiedy komponuję, nie mam nigdy jakichś konkretnych założeń, że będę robił taką, a nie

inną muzykę. Wszystko dzieje się bardzo naturalnie. I jakiś czas temu zdałem sobie sprawę, że wpadają mi do głowy folkowe pomysły. Nic dziwnego: pochodzę z Podkarpacia, u mnie w rodzinie na posiadówkach ciotki zawsze śpiewają ludowe przyspiewki. To momentami bardzo zabawne, a momentami bardzo wzruszające teksty. Dlatego to we mnie siedzi. Już na „Balu u Rafała” pojawiła się piosenka „Ale mi smutno”, która miała tekst rodem z ludowej przyspiewki. Pracując nad „Górami”, chciałem nawiązać do koncertu fortepianowego Wojciecha Kilara, gdzie są takie szeroko grane akordy i połączyć to ze śpiewem góralskim. Miałem bowiem w zespole przez dekadę basistę – prawdziwego górala. Nie raz słyszałem więc choćby na jego urodzinach, jak on i jego kuzyni pięknie grają i śpiewają po góralsku. Brałem też udział w projekcie Miuosha „Pieśni Współczesne” z towarzyszeniem Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk. Oслуchałem się z tymi aranżacjami i teraz u mnie są podobne chóralskie partie. To zresztą bardzo charakterystyczne dla polskiej muzyki w ogóle.

Pod względem tekstów „Góra” to też powrót do twych korzeni – czyli do emocjonalnej spo-

wiedzi. Dlaczego postawiłeś ponownie na taką bardzo intymną treść?

Myszę, że w sumie na każdym albumie stawiam na intymną opowieść dla słuchacza. Wiadomo – jest ona zamknięta w poetycki język i metafory, ale czasem wprost mówię o trudnych rzeczach. Wydaje mi się, że taki rodzaj przekazu jest największą siłą piosenki i dlatego od pierwszej płyty poruszam się w tym kręgu. Również jako odbiorca sam szukam takiej muzyki – bardzo osobistej. Lubię po prostu dopuszczać słuchacza blisko siebie.

Pierwsze piosenki z płyty opowiadają o szczęśliwej miłości („Kiedy przyjdiesz do mnie” i „Pocałunki w deszczu”), potem pojawia się poczucie straty i tęsknota („Góra” czy „List z wielkiego miasta”). Skąd taka konstrukcja?

Zawsze staram się ustawiać utwory na moich płytach nieprzypadkowo, tylko dramaturgicznie. Tym razem, dopiero przy masteringu tego materiału na winyl, okazało się, że „Góra” ma dwie części, które niby są ze sobą zespolone, ale jednak różnią się od siebie. Pierwsza jest bardziej minimalistyczna, głównie oparta na pianinie, a druga – folkowa, z wiodącą gitarą akustyczną, którą po raz pierwszy

tak szeroko wykorzystałem w swej twórczości. Nie było to jednak założenie. Po prostu samo się to tak ułożyło.

W piosence „Ania” to poczucie straty przyjmuje postać twej zmarłej nauczycielki śpiewu – Anny Domżałskiej. To dzięki niej jesteś dziś tym, kim jesteś?

Już wcześniej zdarzało mi się w piosenkach oddawać hołd bliskim mi osobom – choćby dziadkowi czy babci. W innych utworach przewijają się z kolei ważne dla mnie imiona. Moja nauczycielka śpiewu była dla mnie niezwykle istotną osobą – swego rodzaju „matką zawodową”. Bardzo dużo mnie nauczyła i wiele jej zawdzięczam. Jej strata była więc dla mnie bolesna. Pierwszy raz przeżyłem czyjąś śmierć na takim dorosłym poziomie. Nigdy wcześniej z nikim nie żegnałem się tak na zawsze. Spotkałem się z nią i ona otwarcie mówiła, że odchodzi. Nie było w tym żadnego udawania. Utwór „Ania” jest dla mnie wyrazem porażenia siebie ze stratą i żałobą po niej, sposobem na przepracowanie traumy, ale też skromną próbą zapewnienia jej nieśmiertelności. Śpiewam tam: „W piosence nic ci nie grozi, piosenki są wieczne”. Sztuka zapewni nieśmiertelność nie tylko artystom, ale też tym, którzy się w niej za ich sprawą pojawiają. Zapraszanie bliskich mi osób do teledysków, to w jakimś sensie ich uwiecznianie w danym momencie życia. To mój sposób na radzenie sobie z tym, co przemija w tej ziemskiej materii.

W kilku piosenkach, jak „Góra” czy „Ostatni dzień lata”, pojawia się motyw płaczu. Często sobie pozwalasz na łzy?

Właśnie nieczęsto. Czas promocji „Balu u Rafała” był dla mnie bardzo trudny pod wieloma względami. Dawanie koncertów pełnych choreografii nie było łatwe i stanowiło duże, fizyczne obciążenie. W takim cugu nie ma miejsca na własne emocje, dlatego kiedy się to kończy, organizm sam wypłakuje się za ten czas. Stąd w przerwie po zakończeniu promocji „Balu u Rafała” bardzo dużo płakałem. Musiało się po prostu wylać ze mnie wszystko to, co się nazbierało wcześniej. Ale nie powiedziałbym, że tak z natury bardzo się wzruszam. Kiedy jednak pracowałem nad nową płytą, to płakałem na maksa, tak, że żartowałem sobie, że chyba się od tego odwodnię (śmiech). Szedłem do kawiarni z książką i... leciały mi łzy. Cóż: natura szuka równowagi, podobnie i my w naszych emocjach powinniśmy ją zachować.

Nowy album jest dla ciebie oczyszczeniem z tych nagromadzonych emocji?

W jakimś stopniu na pewno. Ale jest też zapisem trudniej-

szego momentu mojego życia i głębokiej refleksji nad nim. W trakcie promocji „Balu u Rafała”, kiedy było jeszcze różowo, wymyśliłem sobie, że kolejną płytą będzie akustyczna, muszę więc na niej mieć pianino, gitary i waltornię, ale również, że napiszę pogodne i radosne teksty. Niestety, życie miało swój scenariusz. To nauczyło mnie, żeby nie zakładać sobie co chcę zrobić, tylko opisywać to, co się aktualnie u mnie dzieje w sposób naturalny. Jedynie mogę sobie do tego dobrać różne instrumenty.

Płytę kończy pogodna piosenka „Ostatni dzień lata”, w której śpiewasz o zmienności ludzkich losów. Znajdujesz w niej pocieszenie?

Ten utwór napisałem prawie półtora roku temu w ostatni dzień lata. Kiedy kończy się ta pora roku, zawsze włącza mi się sentyment, że szkoda, iż już mija. Rozwinałem to i skomponowałem tę piosenkę dla siebie i dla innych na pocieszenie. Utwory z „Góry” dotyczą trudnych i bolesnych tematów, ale nie dobijają słuchacza. One mają za zadanie dać wyraz często pochowanym gdzieś głęboko, trudnym emocjom, od których mamy tendencję do uciekania. Szczególnie teraz, w zabieganym świecie, w którym nie mamy czasu, aby się zatrzymać i przeżyć to, co musi zostać przeżyte. Dlatego zależało mi, aby płytę zakończył „Ostatni dzień lata”. Co więcej: podczas obecnych koncertów, wykonuję po tej piosence cover utworu Czesława Niemena do wiersza Jarosława Iwaszkiewicza „Nim przyjdzie wiosna”. To pięknie pokazuje to, co chcę przekazać na tej płycie: że nawet największe mrozy muszą minąć. Kocham ten utwór, bo niesie piękną nadzieję.

Generalnie twoje teksty zawsze mają bardzo emocjonalny charakter. Od dziecka byłeś taką uczuciową osobą?

Z tego, co pamiętam i co słyszałem od moich najbliższych, to od zawsze byłem bardzo wrażliwy. Nadal taki jestem, ale jako dorosła osoba, uczę się jak sobie z tym radzić. Każdy twórca ma w sobie duże pokłady wrażliwości. Bez tego nie da się kreatywnie działać. Powstaje tylko pytanie: czy my sobie z tą wrażliwością radzimy? Każdy ma na to własny sposób, uczymy się tego całe życie. Ja również. Nie doradzę więc co można z tym robić, ale na pewno trzeba to chronić i uważać na siebie.

W twojej najbliższej rodzinie nie było artystycznych tradycji. Decyzja, by zając się muzyką wymagała dużej determinacji i odwagi?

Moja rodzina miała artystyczne zapędy. Mój ojciec chrestny miał genialny gust muzyczny. Podrzucał mi wspaniałe płyty, pokazywał mi kasyety VHS z te-

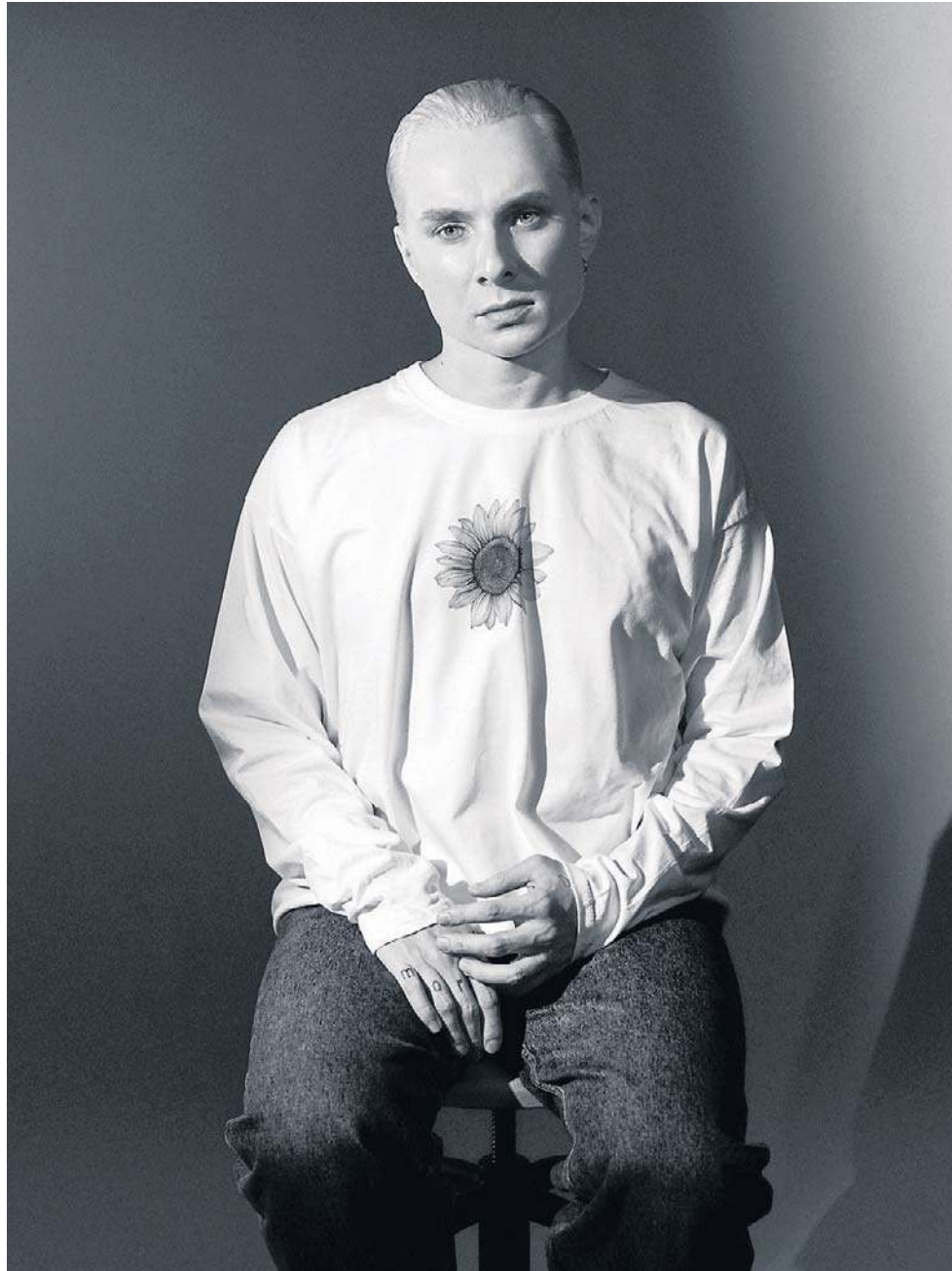
ledyskami z poprzednich dekad. Wtedy nie było YouTube czy Spotify, sam bym więc na to nie trafił. Moja mama marzyła, aby zostać aktorką, ale żyła w małym mieście w czasach PRL-u i Warszawa czy inne duże miasto było dla niej za daleko. Świat artystyczny był dla innych ludzi, wydawało się, że trzeba mieć znajomości, żeby do niego wejść. Kiedy mój dziadek dowiedział się, że zdaję na Akademię Muzyczną, ku czemu bardzo kierowała mnie moja mama od dziecka, powiedział: „Dorota, gdzie ty go wysyłasz? Tam są same dzieci dygnitarzy”. Takie było kiedyś podejście. Już na samym początku rezygnowano z marzeń. Często zdarzało się, że słyszałem od niektórych członków rodziny pytanie, co ja będę po takich studiach robił. Wtedy była totalna moda na prawo i medycynę, a teraz okazuje się, że wcale nie gwarantuje to szczęśliwego i dostatniego życia. Jeśli kiedyś będę miał dzieci i któreś z nich zostanie rzemieślnikiem, to będę się cieszył, bo to najpewniejszy zawód, na którym dzisiaj można naprawdę zarobić. (śmiej)

Studiowałeś w Gdańsku, potem trafiłeś do Warszawy, a pochodzisz z Jastki. Miałeś kompleks chłopaka z prowincji, kiedy zaczynałeś karierę?

Miałem, ale ukryty. Nie chciałem tego pokazywać. Kiedy młody człowiek słyszy od dorosłych, że czegoś mu brakuje i nie może spełniać swych marzeń, to zaczyna w końcu myśleć, że może to i prawda. Z drugiej strony na szczęście miałem przekonanie, że może i trudniej jest startować z małego miasteczka na prowincji, ale ja wam jeszcze pokażę! I to było dla mnie wielkim wsparciem. Z czasem zobaczyłem, że kiedy ma się wszystko pod nosem, to potrafi rozleniwic. Kiedy w tym zawodzie jest za prosto i odnosi się sukces za szybko, to nie jest według mnie dobre. Mam znajomych, którzy bardzo wcześnie zadebiutowali i dostali wsparcie dużej wytwórni, ale po dekadzie nie już im się nie chciało. Ja mam swoją drogę i wiem, ile ona mnie kosztowała. W tym roku, w listopadzie, minie dziesięć lat od mojej debiutanckiej płyty - i ktoś mnie spytał co uważam za swój największy sukces. Odparłem, że największym sukcesem jest dla mnie to, że po dekadzie nadal wykonuję ten zawód. Z tego się najbardziej cieszę.

Już twoja debiutancka płyta pokazała, że interesuje cię piosenka w starym stylu spod znaku Grechuty, Niemena, Wodeckiego. Nie obawiasz się pójść pod prąd modnym trendom?

Powiem ci szczerze, że za każdym razem, kiedy coś robię, to czuję, że idę pod prąd. „Jezu, może ja powinienem inaczej?



Ralph Kaminski: Popularność nie była przyczyną mojej depresji czy nerwicy. Decydowały o tym raczej moje prywatne doświadczenia

Teraz wszyscy robią inne brzmienia” - myślałem tak przy debiucie. Bo zawsze są jakieś mody i trendy. Teraz jest znów to samo. Robiąc „Góre”, album do słuchania w skupieniu i przeżywania, nie ułatwiłem sobie życia. Ale akurat na tym etapie coś takiego poczułem. Nie wiem, jak będzie za kilka lat - jeśli będę chciał robić same hity, to wtedy je zrobię. Teraz tego kompletnie nie czuję. Jeśli bym się do tego zmusił, to nie byłoby mi z tym dobrze. Taka totalna komercja jest czasem dobra, ale najczęściej oznacza pójście na wiele kompromisów. Ja w swojej twórczości chcę je ograniczać do minimum. Wiadomo - trzeba robić muzykę dla ludzi. I ja też staram się taką robić. Ale nie czułbym się dobrze, gdybym z góry zakładał, że muszę zrobić piosenkę, która trafi na pierwsze miejsce w RMF-ie czy w Zetce.

Twoje interpretacje mają zawsze mocno aktorski charakter. Występowałeś zresztą z sukcesami na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Co cię ciągnie w tę stronę?

To wyraz mojej tęsknoty za aktorskimi przygodami, które zdarzały mi się i zdarzają od czasu do czasu. Ja nigdy nie chciałem być piosenkarzem i śpiewać piosenek. Chciałem być aktorem. Jako dziecko urządziłem w domu teatryki, brałem udział w przedstawieniach w przedszkolu, robiłem w podstawówce własne filmy animowane. Tylko to mnie interesowało. Ale w liceum, na zajęciach z wiersza, instruktorka bardzo mnie skrytykowała w niekonstruktywny sposób - i wtedy załamałem się. Stwierdziłem, że nie mam do tego talentu i w ogóle się do tego nie nadaję.

To skąd śpiewanie?

Kiedy robiłem te własne filmy animowane, nagrywałem do nich soundtracki na keyboardzie i w pewnym momencie zauważyłem, że wychodzą mi całkiem fajne piosenki. Okazało się, że mam do tego naturalne predyspozycje, bardziej niż do aktorstwa. Pewnie gdybym się bardzo uparł, to zdałbym do akademii teatralnej, ale dziś cieszę się, że to nie jest mój zawód. Znam wielu aktorów,

miałem też takich współlokatorów i wiem, że to przekichane. Tworząc muzykę, sam jestem w pełni odpowiedzialny za to, co wymyślam i śpiewam. A film czy spektakl to dzieło zespołowe. Dziś pozwalam sobie więc tylko na aktorskie przygody - jak choćby w serialu „Lady Love”. Moje interpretacje są więc może wyrazem tęsknoty za teatrem i filmem, a może po prostu tak tylko potrafię to przekazywać.

Pewnie te aktorskie ciagoty sprawiają również, że zawsze prezentujesz odmienny i wyrazisty image - fryzurę i ubranie.

Na pewno traktuję koncerty jako spektakle. Muzyka jest jednak dla mnie najważniejsza. Oczywiście znamy twórców, dla których ważniejsza jest cała otoczka. I OK - każdy ma swoje priorytety. Kiedy zaczynałem, nie było zbyt wielu artystów, którzy przykładali wagę do kostiumów czy scenografii na koncertach. Teraz jest już powszechne - i z pożytkiem dla publiczności. Ja staram się robić coś swojego i zawsze zadaję sobie pytanie, czy sam chciałbym to zoba-

czyć albo czy spodobałoby mi się to, gdybym to oglądał. Tak próbuję patrzeć na to, co robię.

Kiedyś powiedziałeś: „Zawsze chciałem zobaczyć jakie to uczucie być sławnym”. Po „Balu u Rafała” mogłeś już to poczuć. I jak to jest być sławnym?

Już w liceum zastanawiałem się, jak to jest być sławnym, kiedy oglądałem zdjęcia zagranicznych gwiazd, zrobione przez paparazzich. „Ale to musi być śmieszne, tak się ukrywać” - myślałem. Zdobyłem pewną popularność już wcześniej, ale za sprawą „Balu u Rafała” zaczęto mnie kojarzyć niekoniecznie z muzyki. Początkowo bardzo mnie krępowało i wstydziałem się tego, że ktoś mnie rozpoznaje w miejscu publicznym. Musiałem sobie pokładać w głowie, że występowanie na scenie to moja praca i zawsze jestem na niej jakąś tam postacią. Schodzę jednak z estrady - i nie chcę odgrywać gwiazdy w życiu prywatnym. „Skoro mnie teraz ludzie rozpoznają, to nie mogę już jeździć autobusem miejskim?” - myślałem. Nie chciałem grać w tę grę poza sceną. Przemyślałem to sobie i przyzwyczaiłem się do tego z biegiem czasu. Oczywiście są bardzo nieprzyjemne sytuacje, jak stalking, wchodzenie w moją prywatną przestrzeń czy obsesja na punkcie wyobrażenia na temat mojej osoby. Zdarza się to bardzo rzadko, ale jednak przeraża. Moi przyjaciele, mimo że już się oswoili z moją rozpoznawalnością, to nie lubią, kiedy ktoś do mnie podchodzi, przerywa prywatne spotkanie i prosi o zdjęcie czy autograf. Muszę więc stawiać wyraźne granice. Generalnie nie mam najgorzej, bo jestem znany tak w sam raz. Bardzo współczuję tym, którzy są powszechnie znani w Polsce czy wręcz na świecie. To musi być koszmar.

Sukces w show-biznesie ma zawsze swoją cenę. W twoim przypadku to depresja i nerwica?

Wydaje mi się, że popularność nie była przyczyną mojej depresji czy nerwicy. Decydowały o tym raczej moje prywatne doświadczenia. Co ciekawe: zauważyłem, że sukcesy artystyczne i związana z tym sława nie stanowią żadnej rekompensaty dla moich osobistych kompleksów. To nie załatwia mi żadnych prywatnych braków. Nie tędy droga. Zrozumiałem, że nie mogę zawiązać poczucia własnej wartości osiaganym sukcesom. Bo to zawsze jest względne, raz jest góra, a raz dół. Myślę, że cena, jaką płacę za ten sukces, jest tak naprawdę minimalna. Staram się bowiem chronić siebie i nie pokazywać swego prywatnego życia tak szeroko, jak robią to niektóre osoby publiczne. Oczywiście nie dlatego, że się wstydzę mo-

ich bliskich czy przyjaciół, ale po to, by ochronić swoją najbardziej wrażliwą część. Moja twórczość jest bardzo osobista i wydaje mi się, że i tak dużo mówię w niej o sobie. Dlatego muszę mieć coś swojego, coś tylko dla siebie.

Od lat masz wspaniałych fanów, którzy otaczają cię szczerą admiracją. Uwielbienie ze strony słuchaczy nie ma terapeutycznych właściwości, dzięki którym masz większe poczucie własnej wartości?

Nie do końca. Oczywiście jest to bardzo przyjemne i moi słuchacze są dla mnie bardzo ważni. Jest to jednak bardzo specyficzna relacja. Trochę też nierówna. Zdarzało się, że byli fani totalnie wkręceni w moją twórczość, ale kiedy zmieniałem kierunek artystyczny, nagle przestawali nimi być. Dlatego nie mogę temu zawiązać. Doceniam tych, którzy poświęcają naprawdę znaczną część swego życia, aby mnie słuchać i cieszy mnie, kiedy mówią, że moja muzyka im bardzo pomaga lub pozwala poznać innych ludzi o podobnej wrażliwości. Ja stoję jednak na scenie, która odgradza mnie od publiczności. Taka to dziwna relacja i muszę trzymać ten dystans, bo nie da się inaczej. Nikt nie wymyślił lepszego sposobu. Najważniejsi są dla mnie ludzie, którzy widzą mnie bez scenicznego kostiumu. Dlatego trzeba dbać o kontakty z dobrymi osobami, bo towarzystwa wzajemnej adoracji w show-biznesie nie brakuje. To niby jest OK, ale co będzie jak się rączka omsknie i przyjdzie gorszy czas? Jak się jakiś projekt nie uda albo płyta się źle sprzeda? Wtedy wszystko się zaraz kończy. Dlatego śpiewam w „Pocałunkach w deszczu”: „Chcę być chciany nie jak idol, lecz przez ciebie”.

No właśnie: w zeszłym roku zdradziłeś w jednym z wywiadów, że jesteś szczęśliwie zakochany. Ten stan nadal trwa?

(śmiej) Szybko pożałowałem, że to powiedziałem. Dlatego nie kontynuuję tego wątku.

Jesteś w idealnym wieku na założenie rodziny. Masz takie plany?

Marzę o założeniu rodziny. Tak się złożyło, że mój młodszy brat już ją ma. Dlatego myślę o tym, ale zdaję sobie sprawę, że z chwilą jej założenia moje życiowe priorytety bardzo się zmieniają. Najważniejsza stanie się wtedy właśnie rodzina. Dlatego póki jeszcze mam w sobie siłę, chciałbym zrobić jeden lub dwa projekty artystyczne. Bo wiem, że jak będę miał dzieci, to maksymalnie mi odbije na ich punkcie. Widzę to po wszystkich moich znajomych, którzy założyli rodziny. A ostatnio sporo tego wokół mnie. Jak więc założę rodzinę - to dam znać. Ale dopiero po fakcie. (śmiej)

LESZEK MOŹDŻER: NAJBARDZIEJ FASCYNUJĄCE JEST TO, CO CHCE SIĘ UKRYĆ

– Kiedy artysta jest młody, uważa, że sztuka jest czymś najważniejszym na świecie. A potem się okazuje, że jest tylko małym elementem większej układanki – mówi kompozytor, pianista i producent muzyczny Leszek Możdżer

Amita Czupryn

Naszą rozmowę chciałabym zacząć od „Balu w Operze” Juliana Tuwima, który właśnie wystawia Warszawska Opera Kameralna jako widowisko muzyczno-teatralne z Pana muzyką i udziałem. Tuwim pokazuje świat, który bawi się tuż przed katastrofą. Co Pana najbardziej przyciągnęło do tego tekstu?

Nie miałem pojęcia, o czym jest tekst Tuwima, zrozumiałem go dopiero, kiedy w niego wszedłem. Pierwsza inscenizacja odbyła się kilkanaście lat temu we Wrocławiu, i teraz, kiedy powtórnie przystępujemy do tego tekstu, widzę, jak bardzo świat się zmienił. Ale też jak bardzo ten tekst cały czas jest aktualny. To znaczy pod względem technicznym sytuacja się zmieniła, ale Tuwim już wiedział pewne rzeczy.

It w 1936 roku!

W 1936 roku on już wiedział, jak świat będzie wyglądał i na czym to wszystko polega. Jego przenikliwość jest niesamowita. Do tego dodajmy odczyty, chyba astralne. Bo te jego tezy, że dwanaście małych na tej zodiakalnej karuzeli się ustawiło i sieje jakiś zamęt... Ta estetyka dwunastki cały czas powraca. Chociażby w postaci symbolicznej, na przykład Wyspy Węży i dwunastu żołnierzy niby broniących tej wyspy. Cały czas ta ikonografia funkcjonuje w mainstreamie. A jest to ikonografia na swój sposób biblijna.

W utworze Tuwima jest też odwołanie do Apokalipsy.

Tak, na początku tekstu Tuwim rzeczywiście przywołuje tekst Apokalipsy i mówi o tym, że ten świat się zakończy, że wszechmocna pijana krwią świętych zostanie usunięta z powierzchni ziemi. I to by mówiło o tym, że koniec świata tak naprawdę jest końcem starego świata, końcem złego świata, końcem krwawego świata, końcem świata opartego na kłamstwie. I mam nadzieję, że to przesłanie dotrze.

Dziś też żyjemy w świecie elit, ludzi pięknie ubranych, którzy nie chcą widzieć tej katastrofy. Tak można to czytać?

Dla nich nie ma żadnej katastrofy. Wszystko da się sprzedać i wszystko da się kupić, więc o katastrofie nie ma mowy. Z punktu widzenia tak zwanych elit, choć nie jest do końca wiadomo, co to i kto to w ogóle jest, bo są to też często ludzie, którzy podlegają takim samym presjom, jak my, niewolnicy - to katastrofy nie ma. Jak się spojrzy na kariery polityczne, to one przecież też czasami kończą się źle. Chociaż ci najważniejsi raczej zawsze łądują na cztery łapy. Ale dla tych ludzi katastrofy nie ma. Jest to zwykły system operacyjny.

O czym Pan myślał, kiedy tworzył muzykę do „Balu w Operze”?

Starałem się wejść w tekst. Przede wszystkim język polski ma taką rytmikę, która zmusza do pewnego wysiłku, jeżeli chodzi o organizację tekstu pod względem muzycznym, więc właściwie trudno mi powiedzieć, że o czymkolwiek myślałem. Starałem się ten tekst zorganizować. Ale dzisiaj wydaje mi się, że miałem jakiś rodzaj prowadzenia, natchnienia, że to pole energii, które za tym tekstem stoi, jest tak mocne, że poprowadziło mnie na swój sposób. Uważam, że jest to jedna z bardziej udanych moich kompozycji. Mimo tego, że byłem wtedy nieświadomym młodym człowiekiem, kiedy to pisałem.

Tuwim ma rytm, ma nerw, ma też ironię. Czy Pan, pracując nad muzyką, słuchał jego języka, czy raczej chciał mu się przeciwstawić?

Nie. Ja bardzo szanuję polski język. Uważam, że jest fantastyczny i niesamowity. Jest też bardzo trudny, ale bardzo barwnie i mądrze opisuje świat. Zależało mi na tym, żeby nie przestawić ani jednego słowa w tym, co Tuwim napisał.

W dwóch, trzech miejscach może zmieniłem kolejność słów, żeby zachować rytmikę melodii, ale nic nie zostało zmienione nawet na ułamek. Tekst Tuwima bardzo szanuję; czuć, że to jest naprawdę wybitny umysł, który miał jakies wglądy.

Publiczność usłyszycie w Pańskiej muzyce coś politycznego? Rozpozna, nawet jeśli muzyka nie składa prostych deklaracji?

Jest fragment, w którym są motywy kołęd, motywy hymnu Polski. Jest fragment Mazurka Chopina, ukryty, zakopany w aranżacji. Są fragmenty chociażby Hymnu do radości Beethovena, który dzisiaj jest hymnem Unii Europejskiej. Ale to nie są jakieś znaczące cytaty, które miałyby komentować bieżącą sytuację polityczną. To spektakl oparty na tekście uniwersalnym, który opowiada o kondycji polskich elit od lat trzydziestych aż do dzisiaj. Zresztą widać, że była cała ogromna operacja wycięcia elit. Potem były punkty za chłoptwo, czyli ludzie, którzy zajmowali się bardziej rytmami przyrody, rytmami księżycy, rozumieli, jak przyroda wzrasta, jak się rozwija, zostali ubrani w garnitury i wsadzeni do polityki. I dzisiaj to widzimy.

Przed chwilą, na próbie, zobaczyłam, jak własnoręcznie przestawia Pan fortepian. Co robi z Panem obecność na scenie? Bo w tym projekcie nie jest Pan tylko kompozytorem, ale kimś obecnym w całym widowisku. Lubi Pan być w samym środku scenicznego żywiołu czy woli dystans?

To jest dla mnie wkroczenie na nowe terytorium. Rzeczywiście mam tu jakieś proste zadania aktorskie i nawet trochę tekstu do mówienia. I to jest dla mnie wejście w nowe. Każdy chce się rozwijać i każdy chce się uczyć. Nie czuję wewnętrznego sprzeciwu. Wydaje

mi się, że mam na tyle szerokie postrzeganie, że mogę się zająć również i tym.

Samo słowo „bal” w naszym języku jest formą społecznego przedstawienia. Bal to kostium, rola, są gesty i pozory. Ma Pan poczucie, że żyjemy w epoce nieustannego balu? Czy sztuka powinna zdzierać maski, czy pokazywać, że wszyscy ich potrzebujemy?

Nie da się przejść przez życie, nie ubierając masek. I też budzenie się, nazwijmy to, z tego oprogramowania jest niestety bardzo bolesne. Zdaję sobie sprawę z tego, że człowiek, kiedy się budzi, zaczyna się orientować, że jest niewolnikiem, że tak naprawdę dostał bardzo wąski zakres środków wyrazu. I że pewne obowiązujące normy, reguły bardziej ograniczają niż rozszerzają świadomość. Ale bal to nie jest nic złego. Składa się z bardzo wielu rzeczy. To jest pewnego rodzaju synteza różnych zjawisk. Pomijam już sprawy alkoholu, muzyki czy pewnych międzyludzkich relacji, tego tańca godowego, który się na takim balu odbywa. Ale bal jest w porządku. Wydaje mi się, że to jest bardzo fajna rzecz. Pytanie tylko, jak go obsłużyć, żeby nie była to żadna degradacja ani dla duszy, ani dla psychiki, ani dla człowieka w całości.

Co Pana bardziej interesuje jako artystę: to, co człowiek pokazuje światu, czy to, co chce przed światem ukryć?

Najbardziej fascynujące jest oczywiście to, co chce się ukryć. Prawda jest najbardziej fascynująca. Chociaż Tomasz Stańko twierdził, że prawda jest oczywista; po prostu jest prawdą i nie da się jej zmienić. I że to właśnie kłamstwo jest najbardziej ciekawe. Patrząc na współczesną politykę, można to zobaczyć, bo tam są teraz dwa nurty informacyjne: jeden tak zwany mainstreamowy, drugi, powiedzmy, spi-

skowy. A ja chodzę sobie po jednym i po drugim. Raz jeden się lepiej dopina, raz drugi. Ale informacja, dezinformacja i w ogóle broń informacyjna są już walką na wyższym poziomie. Wiadomo, że dusza, która otrzymuje ciało ludzkie, przez pierwsze wcielenie używa po prostu przemocy fizycznej. Ci ludzie są też używani do wielkiej polityki, powiedzmy, jako żołnierze czy jako przestępcy, czy w jakikolwiek inny sposób. Później dusza wchodzi na poziom broni informacyjnej. I tutaj są te wszystkie polityczne sprawy: dezinformacja, informacja, to, że za pomocą informacji można uruchomić wielkie potencjały tkwiące w tkance społecznej. Trzeci etap to jest wchodzenie na drogę samodoskonalenia. Znika już instytucja wroga i zaczyna się rozumieć wszystkie te polaryzacje. Wydaje mi się, że mnie udało się jakoś wdrapać na ten trzeci poziom: nie oceniam już ani informacji, ani dezinformacji. Tym bardziej że bardzo często okazuje się, iż informacja jest dezinformacją, a dezinformacja informacją. Więc to jest po prostu taka gra. Wiem, że informacja jest bronią. Jest też pewną materią, którą się handluje. Więc obserwuję to wszystko spokojnie i staram się z tego życia jak najbardziej skorzystać.

Na ile wielka kultura, opera, teatr, koncert może być miejscem prawdy? Często bywa też po prostu miejscem ośniewającej dekoracji.

Budda zakazywał teatru, bo twierdził, że życie i tak już jest wystarczającym teatrem, że budowanie kolejnego piętra jest zabójcze dla duszy. My się tutaj dosyć bezkarnie bawimy w teatr i bawimy się tą iluzją. Wydaje mi się, że życie jest ciekawe, i filmy, i teatr, i te zachowania, które nie są w zgodzie z naturą i są w sprzeczności z logiką; to wszystko, co się widzi w filmach, jest właśnie tym, co jest ciekawe. I na tym polega

ten cały Matrix: żeby właśnie uprawiać teatr w życiu codziennym, i też na scenie.

Pana zdaniem artysta ma dzisiaj obowiązek diagnozować rzeczywistość? Czy wystarczy, że będzie uczciwie tworzył własny język?

Muzyka jest matematycznym systemem dwunastotonowym. Więc ta iluzja, że my tworzymy coś wielkiego, jest w ogóle błędem w założeniu. Bo to jest bardzo prymitywny, prosty system, w którym zostaliśmy zamknięci jako muzycy, w tym kole kwintowym. Tam jest tylko dwanaście dźwięków w różnych wersjach.

Ale co to robi z duszą człowieka!

No właśnie, co to robi z duszą człowieka, to już jest osobny temat. Wydaje mi się, że jakieś analizy sytuacji bieżącej nie są domeną artystów, bo my wszyscy, którzy czytamy media czy internet, mamy do dyspozycji może 10, może 20, najwyżej 30 procent tego wszystkiego, co się dzieje. Mamy do czynienia tylko z wersjami oficjalnymi, więc nic nie wiemy. Ani o polityce, ani o tym, kto tym wszystkim rządzi, ani jak ten świat jest zbudowany. Nie wiemy, na czym polegają reguły gry. Nie wiemy, po co właściwie się żyje. Co to jest śmierć, co to są narodziny. To wszystko trzeba doświadczyć, tę drogę własnoręcznie wykopać, jakieś klejnoty wiedzy i zrozumienia tego, na czym polega życie. I to jest najciekawsze. Jeżeli się do czegośkolwiek człowieka dokopie, to warto o tym powiedzieć głośno, dlatego że to może być inspiracją. A czy już ktoś w to uwierzy? Trudno mi brać na siebie odpowiedzialność za kogoś, kto weźmie za poważne słowa takiego idioty, jak ja.

Kiedyś powiedział Pan, że nie przywiązuje się do etykiet, że jest po prostu muzykiem. Czy wraz z dojrzałością arty-



FOT. SISI CECYLIA/MATERIAŁY PRASOWE

Leszek Możdżer: Muzyka jest matematycznym systemem dwunastotonowym. Więc ta iluzja, że my tworzymy coś wielkiego, jest w ogóle błędem w założeniu

styczną tym bardziej trzeba się bronić przed zaszufadkowaniem?

Mnie zaszufadkowanie nie przeszkadza. Zaszufadkowanie jest tylko po to, żeby usystematyzować sprzedaż, czyli żeby było wiadomo, na której półce szukać danego wyrobu. Ja też mam rachunki do opłacania, więc jeżeli państwo mają taką potrzebę, czy to krytycy, czy dziennikarze, czy sprzedawcy, to bardzo proszę mnie zszufadkować. Mnie to nie przeszkadza.

Po latach sukcesu i uznania potrafi Pan jeszcze sam siebie zaskoczyć? I czy w ogóle chce Pan takich zaskoczeń?

Zdarza mi się, tak. Ale coraz bardziej zewnętrznosc, czyli moje doświadczenia spoza muzyki, zaczynają przenikać do muzyki. Rozumiem to w ten sposób, że muzyka jest wyrazem pewnych treści, których człowiek dotyka, których poszukuje. U Picassa tak było, że jak zajął się rzeźbą, to zaczął łamać struktury swojego malarstwa tak, że dany obiekt było widać z każdej strony. Po prostu, obracając rzeźbę, zrozumiał, że może spojrzeć na nią z każdej strony, i od razu przeniknęło to do jego malarstwa. I poniekąd tak samo jest też u muzyka: wszystko, czym zajmujesz się w swoim czasie, zwanym prywatnym czasie, chociaż taki czas nie istnieje,

wszystko, co tam odkryjesz, zaczynasz automatycznie przenosić na grunt swojej twórczości muzycznej. I w moim przypadku jest dokładnie tak samo. Chyba u wszystkich twórców można znaleźć taki mechanizm.

A co Pan przenosi?

Chociażby poszukiwania harmonii, jeżeli chodzi o odrębne strojenia. System dziesiętkowy, który staram się w muzyce urzeczywistnić, bo gramy w systemie dwunastkowym. Poszukiwania terapeutyczności muzyki, czyli wszystkie rozwiązania na temat tego, jak to zrobić. Oprócz tego muzyka jest przede wszystkim terenem samodoskonalenia. I to jest najwspanialsze w muzyce: że każdy muzyk musi zamknąć się w pracowni na wiele, wiele godzin, żeby uzyskać dostęp do własnych mięśni, opanować je i w ten sposób uzyskać kontakt z samym sobą. W Indiach mówi się, że muzyka jest nauką samą w sobie. Uprawianie muzyki jest po prostu przestrzenią samodoskonalenia. A o to w życiu chodzi: by doświadczyć kontaktu z samym sobą. I że ta samotność jest uzdrawiająca, czymś, co sprawia, że człowiek się rozwija.

Bardziej pociąga Pana doskonalność czy ryzyko?

Jednak ryzyko. Doskonalność chyba jest nieosiągalna.

Wciąż jest w Panu ten muzyczny buntownik czy dzisiaj już bliżej Panu do kogoś, kto bardziej słucha świata niż z nim walczy?

Walczyć ze światem nie mam zamiaru, bo już wielokrotnie się przekonałem, że kiedy zaczyna się walczyć z systemem, to przychodzi dokładnie taka sama siła przeciwna, więc każdego tutaj, w tym systemie, można nauczyć pokory. Matrixa trzeba szanować. Ja bardzo szanuję tę sytuację. Z jakichś powodów to tak jest ustawione. Jesteśmy jeszcze cywilizacją bardzo nisko rozwiniętą, jeżeli chodzi o samoświadomość. Może świadomość mamy niezłą, natomiast samoświadomości jeszcze nie widzę. Ale raczej staram się patrzeć na świat i próbować zrozumieć jego zasady, żeby się nim posługiwać, a nie po to, żeby z nim walczyć.

Czy jest coś takiego jak polska wrażliwość muzyczna?

Możemy mówić na przykład o melancholii, rozdarciu, ironii albo czułości? Zaobserwował Pan coś takiego? Na czym ta polskość polega? Przede wszystkim trzeba by tu mówić o czymś, co jest narodowe. A ja nigdzie nie dokopałem się do przekonującej definicji takiego słowa, jak „narod”. Wiem, że narody oparte są na rodach, czyli chodzi

o rody. Tymczasem cała wiedza rodowa jest systematycznie wycinana i kasowana. Jak się wpisze to hasło w Wikipedii, to wychodzi definicja, z której wynika, że naród to grupa ludzi, która czyta te same książki i ma swoją drużynę piłkarską. Więc wydaje mi się, że my właściwie nie mamy pojęcia, czym jest naród, jak przebiegają napięcia wewnątrz tej tak zwanej tkanki narodowej. Tym bardziej że wprowadzono termin „obywatelstwo”, a terminu „narod” właściwie już nie ma. Trudno mi więc powiedzieć, czy narody jeszcze istnieją. Mam co do tego duże wątpliwości. Nawet w Polsce bardzo została podmieniona ta tkanka społeczna. Ludzie mówią w innych językach, mają inne kolory skóry. Rzeczywistość bardzo się zmieniła. To nie jest już rzeczywistość narodowa. Oczywiście pole energii pod nazwą „narod” cały czas istnieje i można się z niego jakoś zasilać. Natomiast ja mam kłopot z definicją tego słowa, więc nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, jakie są cechy polskiej narodowej muzyki, bo nie wiem, czym w ogóle jest naród. Na pewno nie jest tym, co nam się mówi, że jest. Skoro narody polegają na rodach, to trzeba by pielęgnować wiedzę rodową, czyli mieć świadomość tego, skąd się człowiek wziął, kim są jego przodkowie. Kiedyś ta wiedza była dosyć mocno pielęgnowana i był to podobno ogromny dział nauki. W tej chwili widzę, że nikogo to nie interesuje. Ale to też ma swoje dobre strony, bo człowiek ma wtedy jakby wykasowaną pamięć i staje w pewnej bezbronności wobec żywiołu życia, i musi sam, własnymi siłami duchowymi, się w tym odnaleźć. To jest w ogóle bardzo ciekawe zjawisko: zajmować się życiem z takiej perspektywy.

W Polsce łatwiej jest być słuchanym, czy łatwiej być konsumowanym?

Konsumpcja nie przekłada się na sprzedaż płyt. Wiem, że klikałność, czyli tak zwane afery i skandale, też nie przekładają się na liczbę sprzedanych egzemplarzy. Dzisiaj ostatecznym weryfikatorem dla mnie jest scena. Wydaje mi się, że to właśnie na scenie jest ten świat, w którym mogę się zweryfikować przed publicznością, i publiczność ma szansę zobaczyć, z kim ma do czynienia. Bo liczba wypracowanych godzin przy instrumentach i to, z jaką żarliwością gram, po prostu świadczą o mnie i o jakości tej usługi, którą dostarczam publiczności. Oczywiście doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że żyjemy w rzeczywistości obrazkowej. Nawet pierwsze przykazanie zostało przez Kościół katolicki usunięte,

bo pierwsze przykazanie brzmi: „Nie czyn sobie podobizny Boga rzeźbionej ani malowanej”. Więc bardzo wyraźnie widać, że dzisiaj mamy kulturę, cywilizację obrazkową, opartą na obrazku, i to pierwsze przykazanie trzeba było usunąć. Zdając sobie z tego sprawę, też posługuję się swoim wizerunkiem jako pewnego rodzaju kartą w tej całej zabawie, która nazywa się show-biznes. Czyli musi być show i musi być biznes. Ale dopóki nie wymiotuję, to znaczy, że nie jest tak źle.

Jak Pan rozumie dojrzałość artysty? Jako dojrzały artysta czuje Pan większą wolność, większą samotność, większą odpowiedzialność?

Raczej większą samotność. Odpowiedzialność z siebie zdjąłem, bo próbowałem parę razy głośno mówić o swoich odkryciach i to nie był dobry pomysł. Tak że z odpowiedzialności raczej zrezygnowałem. Mogę być odpowiedzialny tylko za jakość swojej własnej wyobraźni, za jakość swojego własnego postrzegania, które cały czas staram się rozszerzać. A dojrzałość artystyczna to nic przyjemnego. Zaczyna się definiować swój zasięg i zaczyna się rozumieć, że sztuka nie jest najważniejszą rzeczą na świecie. Kiedy artysta jest młody, uważa, że sztuka jest czymś najważniejszym na świecie, a potem się okazuje, że jest tylko małym elementem większej układanki.

Sztuka może jeszcze budować wspólnotę ludzi?

Oczywiście, nawet musi budować wspólnotę. Wydaje mi się, że to, iż artyści zostali pozamykani w akademiach muzycznych i grają repertuar, który jest niedościgny dla tak zwanych słuchaczy, jest pewnego rodzaju dramatem. Bo artyści zamienili się w sportowców wyczynowych, którzy grają sonaty, scherza i etudy, natomiast nie są w stanie zagrać wspólnej ludowej pieśni tak, żeby wszyscy przy stole mogli razem zaśpiewać. Oczywiście jest to sytuacja na swój sposób dramatyczna. Staram się w wolnych chwilach pielęgnować tę naszą wspólną świadomość. Chociaż zdaję sobie sprawę, że to pole też jest terenem jakiejś walki, że nie pielęgnuje się piosenek, które są wartościowe – chociażby Wasowski, Przybora, Grechuta, Turnau i jeszcze parę nazwisk by się znalazło. Nawet utwory Lady Pank to są też takie fajne, hymniczne piosenki, które wspólnie przy stole można zaśpiewać. Fajnie byłoby pielęgnować te treści, bo przede wszystkim wspólne uprawianie muzyki, kiedy razem się śpiewa, daje niesamowite poczucie jedności.

Co Pana dziś najbardziej porusza jako człowieka, nie artystę?

Wszystko mnie porusza: przyroda, ludzie, piękno. Wszystko.

Czego nauczył się Pan o człowieku dzięki muzyce, czego nie nauczyłyby żadna inna dziedzina życia?

Dzięki muzyce mogłem zajrzeć i za kulisy wielkiej polityki, i do niskich stref społeczeństwa, bo muzyk wszędzie się przyda. Mogłem więc zobaczyć, na czym polega ludzkie życie. Zmieniając często szerokości geograficzne, podróżując z koncertami, widziałem też bardzo różnych ludzi: bardzo różnie ubranych, bardzo różnie się zachowujących, mających przeróżne przekonania. To dało mi pewien dystans do całej rasy ludzkiej. Dzięki muzyce stałem się człowiekiem, który potrafi spojrzeć z daleka na całą tkankę społeczną. I to sprawiło, że zacząłem się interesować sprawami położonymi dosyć wysoko w dziedzinie ludzkiej świadomości.

Czy można być wolnym muzykiem w dzisiejszym świecie sztucznej inteligencji, algorytmów i natychmiastowej konsumpcji?

Nie wiem, czym jest wolność, nie zastanawiam się nad tym. Moim zdaniem samo bycie istotą humanoidalną co do zasady sprawia, że wolność nie istnieje. Jesteś poddany prawom grawitacji, prawom biologii, prawom emocjonalności, normom społecznym. Ogranicza cię przeszłość i tak dalej, więc wolność jest oczywiście iluzją. Tym bardziej że im człowiek bardziej rozwija się mentalnie, tym sam sobie narzuca pewne ograniczenia, wiedząc, że łamanie pewnych praw przynosi określone konsekwencje. Więc tak naprawdę im bardziej człowiek posuwa się na drodze samorozwoju, tym bardziej sam siebie ogranicza. Wolność jest chyba tylko dla ludzi nieświadomych. Dla ludzi świadomych żadnej wolności nie ma – są tylko wybory, które przynoszą konsekwencje.

Po latach grania, komponowania, szukania nowych brzmień muzyka dziś bardziej Pana uspokaja czy bardziej niepokoi?

To zależy, dlatego że muzyka ma w sobie różne ładunki. Tekst ma ładunek, artysta ma ładunek, instrumentacja ma ładunek, nawet sam strój może mieć w sobie pewnego rodzaju ładunek. Ale ja jestem tylko po to, żeby obserwować swoje emocje. A ta polaryzacja lubię – nie lubię jest główną przyczyną cierpienia, więc staram się po prostu funkcjonować w tym dualistycznym świecie tak, żeby nie ulegać emocjom.



Negocjacje z napastnikiem trwały 10 godzin. Do akcji w łódzkiej fabryce wezwano kontrterrorystów z Warszawy i Poznania, użyto także drona

FOT. GRZEGORZ GALASINSKI

STRZAŁY W FABRYCE ŻYLETEK

Kiedy rankiem 1 kwietnia w fabryce Gillette na obrzeżach Łodzi rozległy się strzały i zarządzono natychmiastową ewakuację, wiele osób myślało, że to prima aprilis.

Anna Gronczerowska

Fabryka Gillette znajduje się na obrzeżach Łodzi, w jej przemysłowej części. Wokół nie ma prywatnych domów, tylko budynki należące do innych firm. Z daleka widać wieżowce Retkini, jednego z największych osiedli miasta. Pracownicy nie chcą opowiadać o tym, co wydarzyło się 1 kwietnia.

- Nie możemy - tłumaczą. - Dla wielu z nas było to makabryczne przeżycie. Nie wiedzieliśmy czy wrócimy do domu.

Piotr Wójcik mieszka na Retkini. W środę 1 kwietnia wyjechał z parkingu i jechał do centrum Łodzi.

- W okolicach przystanków przy ul. Popiełuszki zobaczyłem siedmioro, ośmioro ludzi owiniętych złotymi foliami, takimi, jakie daje się ludziom w przypadku jakis wypadków - opowiada. - Ten widok bardzo

mnie zdziwił. Zwolniłem, nie zobaczyłem żadnego śladu wypadku, żadnych samochodów. Dopiero potem dowiedziałem się, że byli to ludzie ewakuowani po strzelaninie w Gillette...

Dwa lub trzy strzały

Około godziny 7.00 w Gillette pojawił się uzbrojony mężczyzna. Na teren fabryki wszedł przez płot, potem przedostał się do jej wnętrza. Odszukał mężczyznę, który był jego szefem, który siedział w swoim biurze. Wyciągnął pistolet i oddał w jego stronę dwa - trzy strzały. Do dziś nie ma jasności ile. Tak jak nie wiadomo, czy kierownik zawdzięcza życie kiepskiemu oku zamachowca, czy temu, że tamten nie zamierzał go w rzeczywistości zabić. W każdym razie nie trafił. Były szef zaczął uciekać, a napastnik pobięł za nim.

W fabryce wybuchła panika, wezwano policję, ewakuowano około 400 pracowników i rozpoczęto poszukiwania strzelca.

- Kazali mi wyjść, tak jak stałem - opowiadał TVN 24 jeden z pracowników Gillette. - Słyszałem jeden huk, na hali było koło 200-300 osób. Nie było żadnej paniki, wyszliśmy spokojnie. Nie znam tego mężczyzny, który to robił, słyszałem jedynie plotki.

Szybko ustalono, że był nim 42-letni Dominik Ż., który przez 14 lat pracował w Gillette, ale w 2024 roku został zwolniony.

Dominik uciekł i zabarykadował się w jednym z pokoi. W fabryce pojawili się antyterrorysty i policjanci negocjatorzy. Przez wiele godzin przekonywali Dominika, by się poddał. Udało się to dopiero koło godziny 17.00. Mężczyzna oddał się w ręce policji.

Podczas przesłuchania Dominik Ż. zapewniał, że nie chciał nikogo zabić.

- Umarł mój pies i na terenie fabryki chciałem popełnić samobójstwo - tłumaczył.

Nie podobały mu się porządki w fabryce

Śledczy szybko obalili takie wyjaśnienia. Skoro chciał się zabić, to dlaczego strzelał do swojego byłego przełożonego? Nic nie wskazywało na to, by miał zamiar popełnić samobójstwo. Potem podejrzany zaczął tłumaczyć się inaczej.

- Podczas przesłuchania 42-latek oznajmił, że działania na terenie fabryki podjął z uwagi na swoje wcześniejsze złe relacje z przełożonym - powiedział nam Paweł Jasiak, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Łodzi. - Nie podobały mu się stosunki panujące w fabryce.

Przeszukano plecak Dominika Ż., w którym był rewolwer czarnoprochowy, z którego strzelał do byłego szefa. Co ważne, na posiadanie tego rodzaju broni nie potrzeba zezwolenia. W plecaku były też szczyrzyki, noże, gaz pieprzowy, kajdanki.

- W mieszkaniu mężczyzny zabezpieczono kilkadziesiąt sztuk amunicji i elementy broni czarnoprochowej, które zostaną przebadane przez biegłego do spraw balistyki - mówiła nam komisarz Edyta Machnik, rzecznik prasowy KWP w Łodzi. - Policjanci znaleźli także susz roślinny, którego wstępne badanie potwierdziło, że jest to marihuana.

Dominik Ż. nie był dotąd karany. Prokuratura postawiła mu zarzut usiłowania zabójstwa, za co grozi dożywocie, a także stawiania gróźb karalnych i posiadania narkotyków. Aresztowano go na trzy miesiące. Teraz będzie poddany badaniom psychiatrycznym.

Już na drugi dzień w Gillette pracowano normalnie. Był to pierwszy taki dramatyczny przypadek w tej fabryce. Jej pracownicy nie są chętni do rozmów, ale w internecie pojawiły się ciekawe komentarze.

Jedna z internautek napisała, że w Gillette przepracowała 5 lat.

- Pracę wspominam raczej dobrze, bo nie pracuje się za kilku, tylko ma się swoje stanowisko pracy i wie się, co ma się robić - tłumaczyła. - Nikt się nie czepiał, kiedy poszło się na krótką, dodatkową kawę, czy herbatę, jeśli powierzona praca była zrobiona. Ponadto, uczniwie wypłacane nadgodziny, itp. (...) Jeśli dobrze pamiętam, to wypłata składała się wtedy z najniższej krajowej i dodatku za pracę w systemie 4-brygadowym - jeśli nadal tak jest, to uważam, że za tę pracę jest to w porządku wynagrodzenie, tym bardziej że dochodziły do tego więcej płatne święta (tylko dla chętnych) i datek za godziny nocne.

Z nożem do kolegi z pracy

To co się stało 1 kwietnia w Gillette, nie było pierwszym takim wydarzeniem. Podobna sytuacja miała miejsce w 2015 roku, także w Łodzi.

Do tych wydarzeń doszło w jednej z firm informatycznych. Pracownicy jednego z działów mieli zebranie. Około 15.00 do tego pokoju wszedł kolega, 27-letni Konrad G. Pracował w innym dziale. Mężczyzna usiadł na krześle, w pewnym momencie wstał, wyciągnął nóż i ugodził nim jednego z uczestników zebrania.

- Napastnik, nic nie mówiąc, zaatakował nożem rówieśnika, doprowadzając do powstania rozległej rany ciętej policzka - tak o tej sytuacji mówił Krzysztof Kopania, ówczesny rzecznik

prasowy Prokuratury Okręgowej w Łodzi. - Kiedy pokrzywdzony upadł na podłogę, napastnik wymierzył mu dwa uderzenia w podbródek i szyję. Kolejne cztery ciosy padły także w okolicę głowy, spowodowały jednak jedynie rany rąk, którymi ofiara próbowała się zasłaniać. Dalszy atak powstrzymali obecni w pokoju mężczyźni.

Pobity i ugodzony nożem informatyk trafił do szpitala, a kolegę, który go zaatakował, aresztowano. Podczas przesłuchania Konrad powiedział, że nie chciał nikogo zabijać. Twierdził, że niewiele pamięta. Znał dobrze kolegę, którego zaatakował, pracowali razem kilka lat i nie mieli konfliktów.

Śledczy mieli wątpliwości co do stanu poczytalności zatrzymanego. Został poddany obserwacji sądowo-psychiatrycznej. Biegli stwierdzili, że 27-latek nie mógł rozpoznać znaczenia czynu ani pokierować swoim postępowaniem. Oznacza to, że nie może ponosić odpowiedzialności karnej. Z opinii wynika, że może ponownie popełnić poważne przestępstwo. Prokurator skierował do sądu wniosek o zastosowanie środka zabezpieczającego w postaci umieszczenia mężczyzny w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

W grudniu ubiegłego roku dramatyczne sceny rozegrały się w jednym z zakładów w Jarocinie, w województwie wielkopolskim. Doszło do kłótni między dwoma pracownikami. W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął nóż i ugodził kolegę. Ofiarą był 37-letni Kolumbijczyk, a atakującym 40-letni obywatel Wietnamu. Wietnamczyka aresztowano i postawiono mu zarzut uszkodzenia ciała przy użyciu noża, czym naraził swoją ofiarę na ciężki uszczerbek na zdrowiu. Grozi mu za to do 5 lat więzienia.

Dlaczego dochodzi do takich ataków w pracy? Czesław Michalczyk, psycholog i biegły sądowy odniósł się do przypadku z łódzkiego Gillette.

- Być może był tam konflikt lub poczucie bycia potraktowanym niesprawiedliwie - tłumaczy. - Ale musiały temu towarzyszyć problemy osobowościowe. Bo nawet jeśli pojawiają się konflikty lub problemy w pracy, nikt nie sięga z tego powodu po broń. Coś sprawiło, że atakujący nie kontrolował swojej agresji. Możliwych powodów jest wiele, a prawdziwego nie znamy. Mogły to być na przykład zaburzenia osobowości, psychoza albo efekty spożycia lub abstynencji od alkoholu lub innych substancji psychoaktywnych. Jeśli pracownik wykazywał zachowania agresywne lub nieadekwatne do sytuacji, to prawdopodobnie dało się to zauważyć już wcześniej. Dlatego przypomina, że rolę przełożonego jest zachowanie uważności i w razie potrzeby - zareagowanie.

Sprawa do dziś budzi emocje i rodzi kolejne, czasem wręcz nieprawdopodobne hipotezy. Co ciekawe, Prokuratura Generalna Federacji Rosyjskiej wciąż bada tragedię sprzed 66 lat. Jak poinformowano w 2019 r. „bierze pod uwagę” kilkadziesiąt istniejących wersji śmierci grupy.

Przyciągnąć uwagę

Emocje wokół wydarzeń od lat podsycą popkultura. Kilka przykładów: widzowie pokazanego w 2013 r., w horroru, a właściwie thrillera „Tragedia na Przełęczy Diatłowa” Renny’ego Harlina (scenariusz napisał Vokram Weet) mogli się np. dowiedzieć, że śmierć „Diatłowców” była wynikiem wszechogarniającego spisku, z gościnnym udziałem „sił nieludzkich”, przerażających i mściwych.

Film Harlina, choć miejscami wręcz idiotyczny, wyświetlany był na europejskich festiwalach filmowych, m.in. Fantasy Filmfest w Niemczech oraz Night Visions w Finlandii. Pomimo mieszanych recenzji krytyków, „Tragedia...” została nawet wyróżniona nominacjami do dwóch nagród filmowych.

W tym samym roku opublikowano w Stanach książkę „Dead Mountain: The Untold True Story of the Dyatlov Pass Incident”, w której autor - Donnie Eichar, amerykański producent filmowy - postawił hipotezę, że za opuszczenie namiotu w panice przez uczestników wyprawy odpowiedzialne były infradźwięki - fale akustyczne, których częstotliwość jest za niska, aby usłyszał je człowiek. Eichar za źródło owych fal uznał wiatr i ukształtowanie terenu.

Z kolei w książce Alice Lugen „Tragedia na Przełęczy Diatłowa. Historia bez końca” (wydanie polskie - 2024 r.) autorka snuje rozważania o biurokratycznym chaosie, zimnowojennej hysterii i politycznych rozgrywkach wśród towarzyszy. Zamiast horroru z paranormalnym tłem dostajemy biurokratyczny thriller.

Na cześć partii

Nie znaczy to, że nie ma „poważnych” teorii na temat uralskich wydarzeń. Ale na początek trochę historyczne. 23 stycznia 1959 r. grupa dziewięciu studentów i absolwentów Uralskiego Instytutu Politechnicznego w dawnym Swierdłowsku (dziś Jekaterynburg) wyruszyła na narciarską wyprawę w północną część Uralu. Towarzyszył jej 37-letni przewodnik Siemiona Zołotariowa. Celem wyprawy był szczyt Otorten.

Wszyscy uczestnicy ekspedycji mieli duże doświadczenie w podobnych wyprawach i byli przygotowani na niezwykle surowe warunki, jakie oczekiwali ich zimą w górach Uralu. Igor Diatłow - szef wyprawy - planował przysłać wyprawę do Ark-

TAJEMNICZE ZDARZENIA NA PRZEŁĘCZY DIATŁOWA

W nocy z 1 na 2 lutego 1959 r., na wschodnim stoku góry Chołatczachl na Uralu Północnym, w tajemniczych okolicznościach zginęło dziewięcioro uczestników studenckiej wyprawy, zwanej grupą Diatłowa. Sprawy nie wyjaśniono do dziś

Mariusz Grabowski



Ratownicy dotarli na miejsce dopiero 26 lutego i znaleźli zapadnięty namiot. Dlaczego młodzi, doświadczeni turyści opuścili go bez ubrań w środku mroźnej nocy?

tyki i traktował wypadki podobne do wyprawy w okolice Otortenu jako przygotowanie do arktycznej podróży.

Co ciekawe: ekspedycja została zorganizowana z okazji XXI zjazdu KPZR, który odbywał się w Moskwie od 27 stycznia do 5 lutego 1959 r. Co ważne: trasa wyprawy liczyła ponad 300 kilometrów. Po opuszczeniu ostatnich zamieszkałych osad turyści poruszali się po ziemiach należących do ludu Mansów oraz terenach administracyjnie należących do Iwdellagu, to jest sieci łagrów, podlegających pod miasto Iwdel.

40 kg na plecach

Młodzi ludzie otrzymali pozwolenie na wyjazd z klubu, który w tamtych czasach był instytucją nadzorującą tego rodzaju wyprawy. W ramach klubu sportowego działały sekcje turystyczne, których komisje przyznawały akredytacje, lub odrzucały takie projekty. Jeśli weryfikacja przeszła pozytywnie, grupa otrzymywała dofinansowanie, a po powrocie była zobligowana do złożenia raportu z wyprawy.

Realia wyprawy były dalekie od współczesnych. Nie było oznaczeń na szlakach, sprzętu do łączności ze światem, jednostek ratownictwa górskiego, a aktualne mapy, z których korzystali głównie wojskowi, były utajnione. Obliczono, że plecaki każdego z uczestników ekspedycji ważyły po 40 kg, zaś zrolowany namiot 20 kg. Ochraniające przed chłodem, getry i maski na twarze uszyli sami.

Żaden z nich nie posiadał też specjalistycznego sprzętu sportowego. W latach 50. - 60. na górskie wyprawy zabierano kompas i ręcznie rysowane mapy, choć akurat turystyka była wtedy w Związku Radzieckim dyscypliną sportową nagradzaną medalami.

Co to było???

27 stycznia wyprawa wyruszyła w stronę góry Otorten. Następnego dnia jeden z uczestników - Jurij Judin zachorował i musiał zawrócić do Wiżaju. Okazał się jedynym członkiem wyprawy, który pozostał przy życiu. Na podstawie prowadzonego przez turystów dziennika wyprawy wiemy, że

28 stycznia poruszali się wzdłuż rzeki Łozwy, a 29 stycznia i 30 stycznia wzdłuż rzeki Auspii. 31 stycznia ekspedycja dotarła do granicy, gdzie zaczął się las. Członkowie wyprawy zbudowali mały schron, gdzie pozostawili zapasy żywności na drogę powrotną, po czym kontynuowali podróż. Wieczorem 1 lutego dotarli na zbocze góry Chołatczachl (w języku Mansów „Martwej Góry”). Tam postanowili przeczekać nadciągającą burzę.

Potem stało się coś dziwnego. Zachowane ślady wskazywały, że członkowie ekspedycji nagle opuścili namiot. Pomimo że temperatura tamtej nocy wynosiła między -15 a -18 °C, część z nich była częściowo rozebrana, niektórzy byli boso bądź mieli założony tylko jeden but.

Co więcej: z przeprowadzonej ekspertyzy wynika, że namiot turystów został w dwóch miejscach przecięty nożem od wewnątrz. Od namiotu prowadziły ślady stóp, kierujące się w stronę przeciwnego brzegu przełęczy i odległego o półtora kilometra cedru na krawędzi lasu, jednak

po 500 metrach ślady te zniknęły pod śniegiem.

A może hipotermia?

Członkowie ekipy poszukiwawczej z Uralskiego Instytutu Politechnicznego dotarli na miejsce obozu Diatłowców 26 lutego. Znaleźli ślady - nie byli zgodni, czy ślady zostały zostawione przez 8 czy 9 osób - a pod cedrem znaleziono ślady ogniska. Z drzewa obłamano gałęzie do wysokości 4 metrów, na korze znajdowały się ślady krwi i wyszarpanych tkanek miękkich.

Zniewyjaśnionych przyczyn ofiary ścięły nożem ok. 20 choinek i zaciągnęły je po ziemi do jaru, w głębi lasu, a następnie ułożyły je na ziemi w formie prostokąta. Rzeczy turystów znaleziono w namiocie oraz w śniegu, niedaleko od miejsc, w których odkryto zwłoki.

Badania ciał wskazały, że pięć osób zmarło z powodu hipotermii, czyli zamarznięcia. Jedna z osób miała lekko pękniętą czaszkę, inne poparzenia, jednak zdaniem anatomopatologów nie było to obrażenie zagrażające życiu. Cztery pozostałe ciała miały „poważne obrażenia”, m.in. strzaskane czaszki i zmiażdżone klatki piersiowe.

50 lat ciszy

Śledztwa wokół tragedii (prowadziła je prokuratura w Swierdłowsku) były wielokrotnie umarzone i ponownie wznowiane. Ostatni protokół zamknięcia dochodzenia został sporządzony 28 maja 1959 r. Według oficjalnej wersji przyczyną śmierci członków wyprawy było „działanie potężnej siły”.

Anna Matwiejewa, rosyjska dziennikarka i autorka reportażu śledczego „Przełęcz Diatłowa” twierdzi, że akta śledcze zostały w 1959 r. utajnione na 50 lat, co oznacza w praktyce, że do 2009 r. dostęp do nich nie był możliwy lub wymagał specjalnej zgody prokuratury. Powstaje pytanie: dlaczego?

Obecnie dokumenty śledcze sprawy „o śmierci turystów w rejonie góry Otorten” znajdują się w Państwowym Archiwum Obwodu Swierdłowskiego w Jekaterynburgu. Część dokumentów została sporządzona odręcznie w piśmie. W aktach znajdują się protokoły sporządzone przez śledczych, mapy, telegramy oraz protokoły zeznań świadków.

Mansowie i wojsko

Co wynika z akt? Rosyjscy badacze Jewgienij Bujanow i Borys Słobcow, którzy dokonali próby rekonstrukcji wydarzeń z 1959 r., czego owocem była w 2011 r. książka „Tajemnica śmierci grupy Diatłowa” dowodzą, że można brać pod uwagę cztery „poważne” wyjaśnienia. Odrzucili wszelkie teorie o zjawiskach paranormalnych, kosmitach, yeti,

ukrywających się na Uralu nazistach i zemście KGB.

Wedle nich obóz Diatłowców mogli zaatakować Mansowie poirytowani faktem, że wędrowcy wkroczyli na ich tereny. Z drugiej jednak strony liczne przesłuchania Mansów prowadziły do wniosku, że miejscowy raczej lud nie wchodził w konflikt z turystami. Inną przyczyną tragedii mogło być przekonanie Diatłowa i jego ludzi, że z gór schodzi lawina. Lawiny nie było, ale - jak twierdzą Bujanow i Słobcow - nad obozowiskiem mógł w nocy przelecieć wojskowy odrzutowiec, a hałas silnika mógł być zinterpretowany jako huk schodzącej lawiny.

Idźmy dalej: członkowie innej ekspedycji, przebywającej w tym czasie 50 kilometrów na południe od przełęczy, opowiadali o dziwnych „pomarańczowych kulach”, jakie widzieli na niebie na północ od swojej pozycji. Wyciągnięto zatem wniosek, że tragedia była efektem wojskowych eksperymentów lub ćwiczeń. Teoria ta została odrzucona przez wojskowych: wedle nich podobne teorie „miałyby być absurdalne”.

Badacze wzięli także pod uwagę teorię, która pojawiła się pod koniec lat 90., że uczestnicy wyprawy padli ofiarą tzw. eskadronu śmierci, to jest żołnierzy, których zadaniem było chwytywanie więźniów zbiegłych z uralskich łagrów. Teoria pobudza wyobraźnię, ale nie ma na nią żadnych dowodów.

„Deska śnieżna”

W 2019 r. rosyjskie władze, ponoć pod wpływem naukowców ogłosiły plany ponownego zbadania incydentu. Rok później ogłoszono raport, że śmierć wędrowców spowodowała „nieszczęśliwa kombinacja lawiny i słabej widoczności”. Państwowa agencja prasowa RIA w lipcu 2020 r., oficjalnie podała, że potok śnieżnych płyt, czyli zbitych kawałków lodu i zmrożonego, twardego śniegu, zaskoczył śpiące ofiary i zmusił je do szukania schronienia na pobliskim grzbiecie górskim.

Mając widoczność ograniczoną do kilkunastu metrów, wędrowcy zamarzli na śmierć, próbując przedostać się z powrotem do namiotu. Biorąc pod uwagę brak „kluczowych szczegółów naukowych” w oficjalnych ustaleniach, jak również notoryczny „brak przejrzystości” rosyjskiego rządu, wyjaśnienie to nie zdołało jednak ucieszyć ludzkiej ciekawości.

Zwłaszcza że do tajemnicy z 1959 r. doszła kolejna: 5 sierpnia 1993 r. miał miejsce „incydent” w górach Chamar-Daban. 7-osobowa grupa turystów prowadzona przez doświadczoną instruktorkę Ludmiłę Korowinę, prawie w całości zginęła tragicznie i w nieznanych okolicznościach. Ze względu na zbieżność zdarzeń, wydarzenie to nazwano „Przełęczą Diatłowa Buriacji”.

RAFAŁ MAJKA: JUŻ NIE JEŹDŹĘ NA ROWERZE, GDY PADA DESZCZ

– Na szczyt nie dochodzi się przypadkiem. Trzeba być wytrwałym i gotowym na ciężką pracę. Żeby zająć naprawdę wysoko, trzeba solidnie trenować, ale też mieć poukładane w życiu – mówi kolarz Rafał Majka

Anita Czupryn

Jak wygląda życie po zejściu z trasy? Da się po prostu przebrać być kolarzem?

Szczerze? Było ciężko. Człowiek musi sobie poradzić sam ze sobą. Mnie bardzo pomaga rodzina. Mam dużo zajęć z dziećmi, z Mają i Oliwierem, żona też daje mi dużo energii. A poza tym nadal trenuję. Oczywiście nie tak jak kiedyś, ale pięć, sześć razy w tygodniu jestem na rowerze. Tyle że dziś rower nie jest już taką męczarnią, jak w zawodowym sporcie. Niedawno wróciłem z Majoroki i to był bardziej wyjazd rekreacyjny. Oczywiście czasem trzeba jeszcze dać sercu popracować na wyższych obrotach, ale nie można z dnia na dzień wszystkiego odciąć. To mogłoby się źle skończyć dla organizmu.

Co pan robił na Majorce?

Dużo rozmawiałem z amatorami kolarstwa. O treningu, diecie, o tym, jak się ruszać mądrze, żeby sobie nie zaszkodzić. Wielu ludzi nie wie, jak ćwiczyć rozsądnie i jak traktować sport bardziej rekreacyjnie niż wyczynowo.

Jak pan przechodził z życia na najwyższych obrotach do wyczynowości?

To nie stało się z dnia na dzień. Wychodziłem z tego dwa lata. Wiedziałem, że 2025 będzie moim ostatnim sezonem. Najpierw myślałem o 2024 roku, ale dałem sobie jeszcze rok. Do tej decyzji dojrzałem razem z rodziną. Przez lata żyłem na walizkach, poza domem byłem prawie 300 dni w roku. Nie byłem nauczony codziennego życia z rodziną. Ale mam mądre dzieci, żonę i dużo zajęć. Jeśli człowiek ma czym zapełnić dzień, ma ruch, plan, obowiązki, to łatwiej przechodzi przez koniec kariery. Adrenaliny oczywiście brakuje, ale próbuję szukać jej gdzie indziej.

Gdzie pan jej szuka?

Ostatnio próbowałem sportów motorowych. Nie jako



Rafał Majka: Największą dumę dał mi medal olimpijski. To coś wyjątkowego, bo igrzyska są raz na cztery lata

kierowca, tylko pasażer, ale i tak daje to dużą adrenalinę. Jedno jest pewne: sportowiec po zakończeniu kariery musi mieć zajęcie. Jeśli go nie ma, mogą przyjść naprawdę duże problemy.

Musi być plan B?

Zdecydowanie. Bez tego mogą pojawić się problemy, także psychiczne. Przez lata żyje się w rutynie treningowej. Trenuje się właściwie cały rok, może 20 dni jest się bez roweru, a przez całą resztę czasu się pracuje. Tak wyglądało moje życie przez 25 lat. Tego nie da się odciąć w jeden dzień. Dlatego staram się wychodzić z tego spokojnie, małymi krokami. Teraz uczę się

z tym żyć. Mam dużo eventów, rozmów o kolarstwie, ale nie tylko. W weekend będę na Bike Expo w Warszawie, we wrześniu wychodzi moja książka.

Oficjalnie zaprasza pan na tegoroczne targi Bike Expo na PGE Narodowym. Jak pan widzi tam swoją rolę?

Będę miał dużo spotkań i rozmów z dziećmi, z rodzinami; spodziewam się rozmów typowo o kolarstwie, ale też o moim życiu po zakończeniu kariery. Będzie też sporo wystawców rowerowych. To dla mnie ważny moment, bo tam będzie ponad 120 tysięcy osób, czyli mnóstwo ludzi naprawdę niezwy-

nych z kolarstwem. Będzie można zobaczyć nowe technologie, które wchodzi do tej dyscypliny. My, jeżdżąc w zawodowych drużynach, mieliśmy je wcześniej, byliśmy zawsze krok do przodu, a dopiero później te rozwiązania trafiały na rynek dla zwykłych ludzi. Myślę, że będzie ciekawie, będzie dobra atmosfera. W niedzielę o 12 ma być też rodzinna parada. Chcę nadal być związany z kolarstwem, pozostać w tym świecie.

Jakie wartości chce pan promować? Co chce pan przekazać młodym ludziom?

Że na szczyt nie dochodzi się przypadkiem. Jeśli ktoś chce dojść na szczyt w sporcie, musi być wytrwały i gotowy na ciężką pracę. Żeby zająć naprawdę wysoko, trzeba solidnie trenować, ale też mieć poukładane w życiu. Zawsze byłem zdania, że bez rodziny nie osiągnąłbym takich sukcesów. To ona daje człowiekowi oparcie, uspokaja. Kiedy były kraksy, kiedy coś nie wyszło, zawsze dzwoniłem do żony albo do taty. To oni też byli tym wszystkim obarczeni, oni to ze mną dźwigali. Na targach chcę więc rozmawiać nie tylko o samym kolarstwie, ale też o tym, co jest poza nim.

Jak się pogodzić z tym, że się już nie jest w peletonie?

To jest trudne. Czasem oglądam wyścigi i myślę, że mógłbym tam jeszcze być. Ale z drugiej strony wiem też, jak bardzo ten sport się zmienił. Kolarstwo zrobiło się brutalne. Kiedy zaczynałem, na szczyt wchodziło zawodników około trzydziestki, a kariera trwała nieraz prawie do czterdziestki. Dziś wchodzi dwudziestka, dwudziestolatki. To wszystko przesuwają się coraz wcześniej. Tylko że potem taki kolarz może skończyć karierę już koło trzydziestki i nie wiedzieć, co zrobić ze sobą dalej. Bo nie jest do tego dojrzałe przygotowanie.

Kariere zakończył pan po ostatnim Tour de Pologne, ale decyzję podjął wcześniej. Chodziło o to, żeby umieć powiedzieć sobie dość, zanim sport to wymusi?

Zawsze chciałem skończyć na szczycie. I tak właśnie się stało: jako mistrz Polski. W tym roku jeszcze mogę jeździć w tej koszulce i to ma dla mnie znaczenie. Chciałem odejść tak, żeby nogi zapamiętały, że wciąż jeździłem z przodu, że nadal potrafiłem się ścigać, że męczyłem się, ale jeszcze w ten dobry, sportowy sposób. Wielu zawodników nie potrafi tego momentu uchwycić i przeciąga karierę. Tyle że jeśli się ją przeciąga, człowiek jest coraz starszy, a tej najlepszej formy już się nie odzyska. Kolarstwo zrobiło się też bardzo niebez-

pieczne. W moim ostatnim sezonie też był duży kraks, na początku roku rozciąłem wargę, miałem dziewięć szwów. Nigdy wcześniej, odpukać, nie miałem nic złamanego, ale to też dało mi do myślenia. Pomyślałem, że to już jest naprawdę duże ryzyko.

17 września wychodzi pana książka, przygotowana z Tomaszem Kalembą. Będzie bilansem, spowiedzią, kroniką sukcesów?

Ta książka powstała po zakończeniu kariery, bo wielu rzeczy nie da się powiedzieć, kiedy wciąż jest się czynnym sportowcem. Zwyczajnie nie ma się na to czasu. Tu poświęciliśmy na rozmowy bardzo dużo godzin, około trzydziestu godzin samych nagrań. To nie będzie tylko książka o sukcesach, ale o życiu. O sporcie, rodzinie, o tym, jak wygląda droga na szczyt, ale też o trudniejszych momentach, nawet o czymś w rodzaju lekkiej depresji, o rzeczach, z którymi człowiek czasem sam nie wie, jak sobie poradzić. Będzie w niej i zawodowy sport, i życie prywatne, i wszystko, co się z tym wiąże.

W książce pisze pan o tych sprawach, których wcześniej sobie nie uświadamiał?

Tak, i to sporo. Ta książka będzie bardzo o mnie. O tym, czego z zewnątrz nie widać. Ludziom wydaje się, że sukces sportowca to tylko medale i chwala. A później człowiek często zostaje z tym wszystkim sam. Kiedy jest dobrze, wszyscy cię noszą na rękach. Kiedy przychodzi kryzys, doświadczasz hejtu i bardzo szybko spadasz w dół.

Do którego momentu kariery wraca pan najczęściej?

Miałem bardzo dobry okres od 2014 do 2021 roku. Ale oczywiście wracam do Rio de Janeiro i do medalu olimpijskiego, bo każdy sportowiec marzy o medalu igrzysk. Z drugiej strony wracam też do Tour de France. Lubiałem bić rekordy, osiągać coś, czego wcześniej nie dokonał żaden Polak. To zawsze mnie napędzało, ta wysoko postawiona poprzeczka.

Które zwycięstwo dało panu największą dumę, a które największy spokój?

Największą dumę dał mi medal olimpijski. To coś wyjątkowego, bo igrzyska są raz na cztery lata, a na starcie staje około 150 zawodników. Sam fakt, że wróciłem z medalem, był ogromnym powodem do dumy. A największy spokój dało mi zwycięstwo w Tour de Pologne. Wiedziałem, że jako Polak bardzo chcę wygrać ten wyścig, jako pierwszy Polak w cyklu World Tour. Oczywiście etapy w Tour de France też były czymś wielkim, ale

Tour de Pologne dał mi taki szczególny rodzaj spełnienia.

A co do dziś boli najbardziej?

Może to, że nigdy nie wygrałem etapu Giro d'Italia, choć była taka szansa. Ale byłem podporządkowany drużynie, robiłem to, czego ode mnie oczekiwano. Zawsze byłem lojalny wobec swoich zespołów i dawałem z siebie sto procent. Może kiedyś będę tego żałował, a może nie. Dziś patrzę na to tak, że byłem wierny zasadom, według których jechałem przez całą karierę.

Po tylu latach w trasie ma pan dziś jakieś zwyczajne marzenie? Takie, na które wcześniej nie było miejsca?

Tak naprawdę dopiero teraz uczę się zwyczajnego życia. I widzę, ile rzeczy wcześniej mnie omijało. Przez 25 lat praktycznie siedziałem na rowerze. Nigdy tak naprawdę nie byłem z rodziną na normalnych wakacjach. Dlatego teraz staram się to nadrabiać i przynajmniej raz czy dwa razy w roku zabrać rodzinę gdzieś bez roweru. Po prostu na zwyczajne wakacje.

Co chciałby pan jeszcze w życiu wygrać?

Zdrowie. To jest najważniejsze. Zdrowie, ruch i pozytywne nastawienie do życia. Żeby człowiek cały czas się ruszał, dbał o siebie i żeby rodzina była zdrowa. Reszta naprawdę przyjdzie sama.

Kiedy budzi się pan rano, to nadal budzi się pan jako zawodnik?

Już jest trochę inaczej. Dziś rano też wstałem i pomyślałem, że nie jadę od razu na rower, tylko zajmę się dziećmi, zawiozę je do przedszkola. Mam teraz dużo spraw, których wcześniej w ogóle nie robiłem: dom, codzienność, zwykłe obowiązki. Ale z drugiej strony coś z tego zawodnika dalej we mnie jest. Chociaż przyznam, że w te święta pierwszy raz mogłem normalnie zjeść i nie patrzeć ciągle na dietę. I to było fajne, to odbicie się od dawnej rzeczywistości.

Czyli żurek, biała kiełbasa – bez wyrzutów sumienia?

Tak, wszystko było. I ciasto też. To było trochę inne świętowanie, lżejsze psychicznie. Chociaż wiadomo, potem człowiek od razu myśli, że dobrze byłoby spalić te kalorie na rowerze.

A rower dziś to jeszcze praca czy już przyjemność?

Jedno i drugie. Dalej jest narzędziem pracy, ale takim, które sprawia mi przyjemność. I to jest chyba najfajniejsze połączenie. Rower wciąż jest częścią mojego życia, tylko już na innych zasadach. Już nie jeżdżę, gdy pada deszcz.

PIŁKA NOŻNA W PIĄTEK, 17 KWIETNIA, GŁOGOWIANIE ZMIERZĄ SIĘ NA WŁASNYM BOISKU ZE STAŁĄ MIELEC

Gol z rzutu wolnego przesądził o porażce

RED
Głogów

Po bramce zdobytej bezpośrednio z rzutu wolnego Górnik Łęczna wygrał z Chrobrym. Punkty zapewnił gospodarzom Adam Deja.

Do meczu w Łęcznej Pomarańczowo-Czarni nadal nie mogli przystąpić w optymalnym składzie. Do kadry nie powrócił jeszcze kontuzjowany Kacper Tabis, uraz wyeliminował Kacpra Nowakowskiego, a za kartki pauzują Jakub Grić i Kacper Laskowski.

Początkowo gospodarze ruszyli śmieiej, czego dowodem była sytuacja z 10. minuty, gdy po dośrodkowaniu z rzutu różnego groźnie główkował Dawid Tkacz, ale Chrobry z czasem zaczął się rozkręcać. Odpowiedział stałym fragmentem gry w 18. minucie - to mógł być niezwykle efektowny gol. Po wrzutce Szymona Bartlewicza piłkę piętą wycofał Piotr Janczukowicz, jednak zamykając to widowiskowe rozegra-

nie Myroslaw Mazur przymierzył za wysoko.

W 38. minucie przed kolejną okazją stanęli głogowianie. Dośrodkowywał tym razem Jakub Lis, po czym główkował Janczukowicz, lecz golkeeper gospodarzy pewnie chwycił futbolówkę. Na półmetku było 0:0, ale lepsze wrażenie sprawiała ekipa trenera Łukasza Becelli.

Druga odsłona znów lepiej zaczęła się układać dla miejscowych, którzy w 61. minucie objęli prowadzenie. Chwilę wcześniej zostali zatrzymani faulem tuż za polem karnym po groźnie zapowiadającej się akcji. Już wcześniej stworzyli niebezpieczeństwo po stałym fragmencie gry, a tym razem trafili do bramki - bezpośrednio uczynił to Adam Deja, nie dając interwującemu Dawidowi Arndtowi większych szans.

W 71. minucie od dwubramkowego prowadzenia Górnika uratował Chrobrego Arndt, który świetnie obronił piłkę po strzale z dystansu Kamila Orlika. Chrobry jednak także wypracowywał swoje okazje,



Tym razem głogowianie okazali się nieskuteczni pod bramką rywala

jak w 74. minucie, gdy po podaniu Pawła Tupaja strzelał Szymon Lewkot - niestety nieznacznie niecelnie.

Chrobry starał się do końca. Z przewrotki strzelał Sebastian

Strózik, a bardzo blisko było po dograniu wzdłuż bramki i zamieszaniu przy dalszym słupek, po czym futbolówka pechowo trafiła tylko w górną część siatki. W ostatnich ak-

cjach po raz kolejny w pole karne rywali wbiegał nawet Dawid Arndt, ale nic z tego - punkty zostały w Łęcznej.

Ten mecz pokazał, że z zespołami walczącymi o utrzy-

manie gra się bardzo ciężko. Głogowianie muszą się nastawić na kolejny taki pojedynek, bo w piątek na Wita Stwosza starcie ze Stałą Mielec (godz. 10). Chrobry zajmuje trzecie miejsce w tabeli I ligi z dorobkiem: 45 pkt, bramki 39-27. Ich rywal plasuje się na 15. pozycji (29 pkt, 40-53).

GÓRNIK ŁĘCZNA - CHROBRY GŁOGÓW 1:0 (0:0)

BRAMKA: 1:0 Adam Deja 61

GÓRNIK: 53. Łukasz Budzilek - 71. Kamil Nowogoński, 14. Filip Szabaciuk, 4. Paweł Jaroszyński, 3. Mateusz Hołownia, 19. Bartosz Biedrzycki - 11. Dawid Tkacz (71, 95. Fryderyk Janaszek; 90, 88. Oskar Osipiuk), 10. Adam Deja, 30. Bekzod Ahmedov, 22. Kamil Orlik - 17. Branislav Spáčil (79, 9. Patryk Paryzek).

CHROBRY: 99. Dawid Arndt - 29. Paweł Tupaj (79, 44. Albert Zarówny), 21. Michał Kozajda, 18. Myroslaw Mazur, 28. Jakub Lis - 17. Kelechukwu Ibe-Torti (73, 9. Mateusz Ozimek), 23. Szymon Lewkot, 16. Robert Mandrysz (73, 7. Sebastian Bonecki), 30. Szymon Bartlewicz - 11. Sebastian Strózik, 10. Piotr Janczukowicz (79, 72. Kuba Szabłowski).

ZŁOTE KARTKI: Spáčil, Deja, Orlik - Strózik, Janczukowicz.

SĘDZIOWAŁ: Damian Krumplewski (Olsztyn).

Kolejne sukcesy Legionu Głogów. Mariusz Lach mistrzem Polski seniorów w kickboxingu. Srebro dla Laury Polak

RED
Głogów

Mocny powrót Legionu Głogów na Mistrzostwa Polski K1 przyniósł znakomite rezultaty. Złoto zdobył Mariusz Lach, a Laura Polak była o krok od najwyższego stopnia podium.

Zawodnicy Legionu Głogów, po dłuższej przerwie ponownie wystartowali w Mistrzostwach Polski K1 seniorów i juniorów. I nie zawiedli. Mariusz Lach po czterech mocnych walkach wygrywa całe zawody i ponownie został mistrzem Polski w kategorii do 60 kg. Zawodnik we wcześniejszych latach odnosił wiele sukcesów zarówno w K1 jak i w Muaythai.

- W Mysłowicach kolejny raz pokazał, że należy się z nim liczyć bo jego technika, siła ciosu a także finezja w walce jest niebywała. Na zawodach, w każdym z czterech pojedynków przewaga Mariusza była widoczna gołym okiem a współpraca z narożnikiem była wzorowa - informuje Maciej Domińczak trener Legionu Głogów.



Mariusz Lach (z lewej) po zwycięskiej walce

Srebrną medalistką Mistrzostw Polski w kategorii 70 kg została Laura Polak. Stoczyła bardzo mocny pojedynek półfinałowy, który dzięki determinacji wygrała by potem zmierzyć się z Mistrzynią Świata w Teakwondo w finale.

- Laura przegrała tą walkę 2:1 i zabrakło jej dosłownie jednego trafienia do zwycięstwa.

Przeciwniczka bardzo niewygodna, unikała walki, cały czas stopując ataki bocznym kopnięciem i uciekając dookoła ringu - dodaje trener.

Kolejny legionista - Antek Krężel wygrał pierwszy pojedynek przed czasem, a w następnym spotkał się z aktualnym kadrowiczem, medalistą Mistrzostw Świata. Zawodnik ten



Ekipa głogowskiego klubu na zawodach w Mysłowicach

w każdej walce rozgramiał swoich rywali i tylko z Antkiem miał wiele problemów. Głogowianin przez większość starcia nacierał na rywala nie dając mu odpocząć. Stracił niestety kilka punktów za przechwytywanie nogi (przyzwyczajenia z Muaythai) co odbiło się na tablicy z wynikiem.

Z kolei Maciek Zawadzki stoczył swój drugi w życiu pojedy-

nek na tych zawodach i, jak zapewnia trener, walczył dobrze, mocno od samego początku.

- Nie wystarczyło jeszcze doświadczenia i techniki aby wygrać ale to tylko kwestia czasu aż Maciek wejdzie na zwycięskie tory - zapewnia Maciej Domińczak.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Legion Głogów wy-

walczył drugie miejsce drużynowo w Mistrzostwach Polski Muaythai, potem zdobył dwa tytuły najlepszych zawodników w Mistrzostwach Dolnego Śląska w boksie a teraz złoto i srebro w Kickboxingu. Jak widać lata doświadczenia dają efekty. Legion od dawna jest uznaną marką i tak pozostanie.

